



JULES GABRIEL VERNE

---

**Przygody trzech  
Rosjan i trzech  
Anglików w  
południowej Afryce**



JULIUSZ VERNE

# Przygody trzech Rosjan i trzech Anglików w południowej Afryce

TŁUM. WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

## I. NAD BRZEGAMI RZEKI ORANJE

W dniu 27 stycznia 1854 roku dwóch ludzi, wygodnie rozciągniętych u stóp brzozy płaczącej, prowadziło rozmowę. U stóp ich toczyły się szerokie nurty rzeki Oranje<sup>1</sup>. Wodociąg ten, zwany przez Holendrów Wielką Rzeką, a przez Hotentotów<sup>2</sup> Gariepem, może śmiało współzawodniczyć z trzema wielkimi arteriami afrykańskiego łądu: Nilem, Zambezi i Nigrem. Nie zbywa jej, równie jak tamtym, ani na wodospadach, ani na prądach gwałtownych i wylewach. Znakomici podróżnicy, jak Thompson, Alexander i Burchell<sup>3</sup>, których imiona dobrze są znane nad brzegami tej rzeki, sławią czystość jej wód i czarowny wdzięk jej wybrzeży.

W miejscu, gdzie nasi wędrowcy spoczywają, Oranje zbliża się ku łańcuchowi Gór Księcia Yorku<sup>4</sup>. Okolica tutaj prześlizczona: nieprzebyte skaliste ściany, potężne masy narostzonych głazów, mnóstwo pni drzewnych skamieniałych, olbrzymie lasy dziewicze, nietknięte dotąd niszczącą siekierą europejskiego przybysza — wszystko to razem, ujęte w ramę błękitniejących z dala Gór Gariepu, wspaniały przedstawia widok.

W górze rzeka zgnieciona skalistymi brzegami, niedozwalającymi ciasnemu łożysku objąć ogromnej masy wód, wre, kipi, szaleje, aż wreszcie, straciwszy nagle pod sobą grunt, rzuca się z wysokości czterystu stóp<sup>5</sup> z przerażającym grzmotem w przepaść. Powyżej wodospadu szeroko rozlane nurty rozbijają się o podwodne głazy, a dalej opływają mnóstwo kęp zieleni okrytych. Poniżej czarna, niezgłębiona otchłań, w którą bez przerwy spadają wody z hukiem przewyższającym turkot gromów szalonej burzy. Z przepaści tej wypadają kłęby pary, a w kropelkach ich świetlne promienie słoneczne rozszczepiając się, tworzą wieczystą tęczę.

Spomiędzy dwóch podróżnych, których tu niezawodnie zapędziła chęć zbadania tych tajemniczych krain Afryki Południowej, jeden prawie nie zważał na roztoczone przed nim wdzięki przyrody. Był to myśliwiec — piękny okaz walecznego plemienia o bystrym oku i muskularnej budowie, prowadzącego koczownicze życie w lasach.

Anglicy zowią je Buszmenami. Buszmen, po holendersku *Bochjesman*, znaczy dosłownie „człowiek zarośli”. Plemiona te koczują w północno-zachodniej części Kolonii Przylądkowej<sup>6</sup>. Nie mają one stałych siedzib, życie im spływa na ciągłym błąkanii się

Natura, Woda

<sup>1</sup>Oranje — rzeka w pld. Afryce, płynąca ze wschodu na zachód, od Gór Smoczyc do Oceanu Atlantyckiego; jej nazwa oznacza „pomarańczowa”; w czasach kolonialnych stanowiła linię graniczną pomiędzy bryt. Kolonią Przylądkową a innymi terytoriami regionu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Hotentoci (nazwa własna *Khoikhoi*) — grupa rdzennych mieszkańców Afryki Płd., spokrewnionych z Buszmenami, prowadzących koczowniczy tryb życia. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Thompson, Alexander i Burchell — Thompson, George (1796–1889), ang. kupiec i odkrywca, autor *Travels and Adventures in Southern Africa* (1827); Alexander, James Edward (1803–1885), szkocki oficer i podróżnik, autor *Expedition of discovery into the interior of Africa* (1838); Burchell, William John (1781–1863), ang. odkrywca i przyrodnik, autor *Travels in the Interior of Southern Africa* (1822–1824). [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Góry Księcia Yorku — wg *History of the British Colonies. Possessions in Africa and Australia* (1835) grzbiet górski położony na pld. brzegu rzeki Oranje, ok. 22 stopnia dł. geogr. zach.; zapewne okolice ob. Neusbergu. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>stopa — daw. jednostka długości równa ok. 0,3 m. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Kolonia Przylądkowa — daw. bryt. kolonia w Afryce Płd., nazwana od Przylądka Dobrej Nadziei, istniejąca w latach 1806–1910. [przypis edytorski]

w krainach leżących pomiędzy rzeką Oranje a wschodnimi górami. Buszmeni prowadzą wieczną wojnę z osadnikami, którzy ich wyparli z żyznej rodzinnej ziemi i zapędzili w te jałowe okolice, gdzie glaz zastępuje roślinność. Mszcząc się za to, plądrują i palą ich farmy, niszczą zbiory i zabierają cały dobytek.

Buszmen, o którym mówimy, miał około lat czterdziestu; odznaczały go wysoki wzrost i silna muskularna budowa; ciało jego nawet podczas spoczynku zdradzało energię. Twarz spalona słońcem, siła i łatwość ruchów przypominały sławionych piórem Coopera<sup>7</sup> myśliwców kanadyjskich; nie posiadał jednakże zimnej krwi „Sokolego Oka”, którego powieściopisarz amerykański w *Ostatnim Mohikanie* uwiecznił; zmiana cery za każdym silniejszym wzruszeniem wewnętrznym dowodziła tego dobitnie.

Buszmen nie był dziki jak jego pobratymcy, dawni Saquasowie. Syn Anglika i Hotentotki, mieszaniec, zyskał raczej, aniżeli stracił na ciągłym obcowaniu z Europejczykami. Ubiór jego pół europejski, pół hotentocki, składał się ze szkarłatnej koszuli wełnianej, z kaftana i spodni ze skóry antylopy, z kamaszy, na które żbik<sup>8</sup> swej odzieży dostarczył. Na szyi miał zawieszoną torbę z nożem, fajką i tytoniem, barania czapka pokrywała mu głowę, pas skórzany surowcowy otaczał kibić, ręce powyżej pięści zdobiły bransolety misternie wyrzeżane z kości słoniowej; na koniec z ramion zwieszał mu się płaszcz sporządzony ze skóry lamparciej i spływający aż do kolan. U jego stóp spoczywał pies rasy krajowej.

Buszmen co chwila pociągając dym i puszczając go kłębami, dawał widoczne oznaki niecierpliwości.

— Uspokój się, uspokój, Mokumie — rzekł do niego towarzysz w języku angielskim, który Buszmen dobrze znał. — Nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć tak niecierpliwego człowieka jak ty, gdy nie polujesz. Zastanów się, mój zacny towarzyszu, że naszego położenia nie jesteśmy w stanie zmienić; ci, na których czekamy, prędzej czy później przybyć muszą, jeżeli nie dziś, to jutro.

Towarzysz myśliwca był człowiekiem młodym, zaledwie dwadzieścia pięć lat liczącym, a zupełnie odmiennym od Mokuma. Każdy jego ruch odznaczał się spokojem i flegmą. Dość było spojrzeć, ażeby poznać, że to Anglik. Ubiór zbyt miejski świadczył wymownie, że włóczenie się po lasach nie było jego rzemiosłem. Miał minę mieszczaucha zbłąkanego w pustyni, coś na kształt buchaltera, tak że oko mimowolnie szukało pióra za uchem, które wiecznie tkwi tam u wszystkich kasjerów, buchalterów, rachmistrzów i tym podobnych okazów z licznej rodziny pracujących w bankach i kantorach.

W istocie młodzian ten nie był podróżnikiem, a tym mniej kancelistą, ale za to uczonym astronomem, którego wysłano na Przylądek dla pracowania w tamecznym obserwatorium, oddającym od wielu lat, jak wiadomo, prawdziwe usługi nauce.

Uczony ten, przesiedlony nagle w pustynie afrykańskie, oddalony o kilkaset mil angielskich<sup>9</sup> od Capetown<sup>10</sup>, z trudnością powstrzymywał niecierpliwość swego towarzysza.

— Fanie Emery — rzekł Mokum czystą angielszczyzną — od ośmiu już dni na próżno oczekujemy zapowiedzianych gości na punkcie zbornym nad rzeką Oranje, przy wodospadzie Morgheda. Jeszcze się też żadnemu z mej rodziny nie przytrafiło, ażeby na jednym i tymże samym miejscu pozostawał przez tydzień; pamiętaj pan, że jesteśmy plemieniem koczowniczym i że nam się ziemia pali pod nogami, gdy tak beczynnie siedzimy.

— Mój kochany Mokumie, pamiętaj znowu ty o tym, że ci, na których czekamy, przybywają z Anglii, a więc, że można im jakiś tydzień sfolgować. Trzebaż wziąć w rachubę rozległość oceanu, trudności, jakich doznają, płynąc w górę Oranje statkiem parowym, słowem tysiączne przeszkody połączone z podobnym przedsięwzięciem. Polecono nam, ażebyśmy przygotowali wszystko do wyprawy mającej na celu zapuszczenie się w głąb południowej Afryki, a następnie oczekiwali przy wodospadzie Morgheda mego uczonego kolegi pułkownika Everesta z obserwatorium w Cambridge. Otóż jesteśmy w miejscu

<sup>7</sup>Cooper, James Fenimore (1789–1851) — amer. autor popularnych powieści przygodowych, których akcja rozgrywa się wśród pionierów i Indian w 2. poł. XVIII w. (cykl *Pięćoksiąg przygód Sokolego Oka*). [przypis edytorski]

<sup>8</sup>żbik — tu: kot kaftyjski (*Felis silvestris cafra*), południowoafrykański podgatunek żbika. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>mila angielska — daw. jedn. odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Capetown — miasto w Afryce Płd., dawna stolica bryt. Kolonii Przylądkowej. [przypis edytorski]

naznaczonym, przy wodospadzie. Czego chcesz więcej, mój zacny Nemrodzie<sup>11</sup>?

Zdaje się, że myśliwiec pragnął czegoś więcej, bo jego palce raz po raz gorączkowo dotykały zamka wyborowego karabinu, którego stożkowe pociski<sup>12</sup> zatrzymywały w odległości dziewięciuset jardów pędzącego żbika lub antylopy; pokazuje się, że Buszmen wzgardził kołczanem i zatrutymi strzałami swych ojców, a przenosił nad nie broń europejską.

— Czy nie mylisz się tylko, panie Emery? Czy w istocie naznaczono ci spotkanie w tym miejscu i w końcu stycznia?

— Nie inaczej, mój przyjacielu, oto list pana Airy, dyrektora obserwatorium w Greenwich<sup>13</sup>, który cię przekona, że się wcale nie myłę.

Strzelec wziął list, obracał go na wszystkie strony, ale znać nieobznajmiony z wynalazkiem Fenicjan<sup>14</sup>, oddał go na powrót Williamowi, mówiąc:

— Powiedzże mi pan, co nabazgrano na tym świstku papieru?

Młody uczonec, obdarzony zadziwiającą cierpliwością, powtórzył co najmniej po raz dwudziesty treść listu. W ostatnich dniach zeszłego roku otrzymał pismo zapowiadające prędkie przybycie do południowej Afryki pułkownika Everesta i międzynarodowej komisji naukowej. O celu, w jakim ją wysyłano na najdalszy koniec stałego lądu afrykańskiego, list nie wspominał. Pan Airy o tym zamilczał. Stosownie do otrzymanych instrukcji, Emery udał się do Lattaku, angielskiej stacji posuniętej najdalej na północ w krainie Hotentotów. Przygotował tam wozy, zapasy żywności, słowem wszystko, czego w pustyni mogła potrzebować karawana. Później, znając z rozgłosu Mokuma, strzelca krajowca, który towarzyszył Andersonowi<sup>15</sup> w wycieczkach myśliwskich przedsięwziętych na zachodzie Afryki i był przewodnikiem nieustraszonego Dawida Livingstone'a<sup>16</sup>, kiedy ten udawał się po raz pierwszy na zbadanie jeziora Ngami i obejrzenie wodospadów Zambezi — William ofiarował mu dowództwo karawany.

Po zrobieniu przygotowań Buszmen, znający wybornie krainę, do której się karawana miała udać, podjął się doprowadzić Emery'ego do miejsca, gdzie naznaczono spotkanie. Tu miała się z nimi połączyć komisja naukowa. Rzeczoną komisję wyprawiono na fregacie „Eagle” należącej do marynarki królewskiej. Miała ona zarzucić kotwicę przy ujściu Oranje, na wysokości Przylądka Voltas, i wyprawić małą szalupę parową w górę tej rzeki aż do wodospadu Morgheda, a tam wysadzić uczonych na ląd. William i Mokum przybyli tutaj wozem, który pozostawili w głębi doliny. Wóz ten miał przywieźć oczekiwanych gości i ich rzeczy do Lattaku, w razie gdyby nie chcieli nałożyć kilku mil drogi dla ominięcia wodospadu i odbyć podróży rzeką Oranje i jej dopływami aż do rzecznej stacji.

Wysłuchawszy relacji i tym razem ulokowawszy ją sobie dobrze w głowie, Buszmen posunął się aż na krawędź otchłani, w głąb której spieniona rzeka rzuca się z łoskotem. Astronom posunął się za nim. Miejsce to, górujące nad biegiem wód, pozwalało objąć okiem kilkumilową przestrzeń w dół wodospadu.

Przez kilka minut obydwaj śledzili pilnie powierzchnię rzeki, która o ćwierć mili poniżej przybierała znowu postać gładkiego zwierciadła. Na jej osamotnionych falach nie widać było ani łodzi europejskiej, ani czółen krajowców.

Była godzina trzecia z południa; w miesiącu styczniu, który tutaj zupełnie odpowiada naszemu lipcowi, upał był nie do zniesienia. Pod dwudziestym dziewiątym równoleżnikiem szerokości południowej promienie słońca, padające prawie pionowo, pałą nieznośnie. Upał dochodził w cieniu do stu pięciu stopni Fahrenheita<sup>17</sup>, łagodził go jedynie

<sup>11</sup>Nemrod a. Nimrod — biblijny prawnuk Noego, sławny myśliwy. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>pociski stożkowe — używane w broni palnej wydłużone pociski o stożkowym wierzchołku (w odróżnieniu od powszechnych wcześniej pocisków o kształcie kulistym). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Greenwich — daw. przedmieście Londynu, ob. dzielnica tego miasta, słynne z Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego, przez które przechodzi linia południka zerowego, nazywanego także „południkiem Greenwich”. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>wynalazek Fenicjan — alfabet. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Anderson, Karl Johan (Charles John) (1827–1867) — szwed. odkrywca, myśliwy, handlarz i przyrodnik-amator, autor wielu książek o swoich podróżach. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Livingstone, David (1813–1873) — szkocki misjonarz, lekarz i odkrywca, miłośnik Afryki, poszukiwacz źródeł Nilu; uważany za jednego z najsłynniejszych bohaterów Wlk. Brytanii z poł. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>sto pięć stopni Fahrenheita — 32° Réaumura lub 40° Celsjusza. [przypis autorski]

słaby wietrzyk zachodni; gdyby nie to, byłby nie do wytrzymania dla każdego innego człowieka, wyjąwszy Buszmena. Ale i młody uczoney, budowy zawziętej, jakby z samych nerwów i kości złożonej, wcale nie cierpiał. A zresztą gęste sklepienie gałęzistych drzew, zwieszających się aż ponad otchłań, nie dopuszczało promieniom słonecznym przypiekać naszych podróżników. Pora to najgorętsza w całym dniu; podczas niej wszelkie stworzenie kryje się przed skwarem — ptak w gałęziach drzew, zwierz w gęstych zaroślach, i gdyby nie huk wodospadu, panowałaby tutaj głucha cisza.

Po dziesięciu minutach daremnego śledzenia, nic nie dostrzegłszy, Mokum gwałtownie uderzył nogą w ziemię, a zwróciwszy się do Williama, z niecierpliwością zawołał:

— A jeżeli nie przybędą? to cóż?

— Ależ przybędą, mój dzielny myśliwce<sup>18</sup>! Są to astronomowie, a więc ludzie nadzwyczaj słowni i punktualni jak gwiazda przechodząca przez południk. Cóż wreszcie możesz im zarzucić: powiedzieli, że przybędą w końcu stycznia. Dziś dwudziesty siódmy, a zatem mają jeszcze cztery dni czasu.

— A jeżeli te cztery dni miną, a oni nie przybędą?

— W takim razie będziemy mieli wyborną sposobność nauczenia się cierpliwości; postanowiłem bowiem na nich czekać, dopóki nie przybędą lub dokąd nie otrzymam pewnej wiadomości, że zaniechali przybycia.

— Na Boga! Pan gotów byś czekać cierpliwie, aż ta rzeka przestanie spadać w otchłań! — krzyknął Buszmen gwałtownie.

— Nie, mój celny strzelcze — odparł Emery z flegmą — trzeba się zawsze rządzić rozsądkiem. Otóż cóż nam mówi rozsądek? Gdyby pułkownik Everest i jego towarzysze, strudzeni uciążliwą podróżą, pozbawieni najpierwszych potrzeb, zbłąkani w tej samotnej okolicy, nie zastali nas w wyznaczonym miejscu, zasłużylibyśmy na wielką naganą. Gdyby ulegli jakiemu nieszczęściu, odpowiedzialność spadłaby na nas. Musimy więc zostać na stanowisku, dopóki obowiązek nam to nakazuje. Zresztą cóż nam tu brakuje? Nasz wóz oczekuje w głębi doliny i daje nam bardzo wygodny nocleg; zapasów mamy pod dostatkiem; okolica tak piękna, tak cudowna. Dla mnie jest to zupełnie nowe życie. Jakież to szczęście spędzić kilka dni z dala od teleskopów i sekstansów, pośród cienia tych przepysznych lasów, nad brzegami tej wspaniałej rzeki. A tobie, mój Mokumie, cóż brakuje: nieprzebrane mnóstwo zwierzyny skrzydlatej i czworonogiej uwija się wkoło; broń twoja nie próżnuje i codziennie dostarcza nam przysmaków. Idź więc i poluj, zabijaj zwierzynę i czas, morduj daniela lub bawoły. Ja sobie tymczasem będę tutaj spoczywał i wyglądał naszych gości, a ty w pole, żebyś przypadkiem nie zapomniał chodzić!

Myśliwcowi śnać trafiła do przekonania rada astronoma, bo powstał z ziemi i postanowił przejrzeć okoliczne zarośla. Dzielny strzelec, nawykły do błędzenia po lasach południowoafrykańskich, nie lękał się ani lwa, ani pantery lub lamparta. Gwizdnął na psa zwanego Top, podobnego z sierści do hieny, a pochodzącego z pustyni Kalahari, z rasy, z której niegdyś Balabasowie utworzyli swoje psy gończe, i skierował się ku zaroślom. Roztropne zwierzę zdawało się podzielać niecierpliwość pana, gdyż w skok zerwało się z miejsca, a radosnym szczekaniem zdawało się potakiwać zamiarom pana. Wkrótce i myśliwy, i pies znikli w gąszczu, którego rozległe obszary zaległy wzgórze za wodospadem.

William Emery, pozostawszy sam, rozciągnął się pod wierzbą w błogim oczekiwaniu snu, który duszące powietrze obiecywało mu sprowadzić, a tymczasem rozmyślał o swym obecnym położeniu. Oddalony od osad, znajdował się nad mało znanymi brzegami Oranje. Oczekiwał Europejczyków, współrodaków, którzy opuścili ojczyznę dla rzucenia się w wir przygód, nieodłącznych od dalekiej podróży. Ale jakież był cel tej wyprawy? Jakież zadania naukowe postanowiono rozwiązać w tych pustyniach południowej Afryki? Jakże spostrzeżenia miano zbierać pod trzydziestym stopniem szerokości południowej? Tego wszystkiego nie wyjaśniał bynajmniej list szanownego Airy, dyrektora obserwatorium w Greenwich. A że jego, Williama Emery'ego, jako uczonego obeznanego z tutejszym klimatem wezwano do współdziałania, więc widocznie szło o jakieś jego prace naukowe i wiadomości były niezbędne uczonej komisji Zjednoczonego Królestwa<sup>19</sup>.

<sup>18</sup>myśliwiec (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Zjednoczone Królestwo — tu: Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii, hist. państwo (1801–1922), utworzone poprzez połączenie Królestwa Wielkiej Brytanii oraz Królestwa Irlandii. [przypis edytorski]

Podczas gdy młody astronom rozmyślał nad tymi kwestiami i zadawał sobie tysiące pytań, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi, upał przygniatał ołowiem jego powieki i na koniec, nie wiedząc kiedy, usnął głęboko. Gdy się obudził, słońce już zapadło za wzgórze zachodnie, których łagodne, siniejące kontury wyraźnie rysowały się na szkarłatnym niebie wieczornym. Kurczenie się żołądka zapowiadało mu, że się zbliża godzina wieczery; w istocie była już godzina szósta — czas, w którym zwykle odwiedzano wóz napelniony prowiantami.

Prawie w tej chwili rozległ się wystrzał wśród zarośli okrywających stoki wzgórz i dochodzących do piętnastu stóp wysokości. Zaraz potem wybiegł z nich Top, a tuż za nim ukazał się myśliwiec.

Mokum włókł za rogi zwierza, którego powalił celny strzał jego strzelby.

— Prędeż, prędeż, kochany szafarzu — zawołał William Emery. — Cóż nam przynosisz na wieczerzę?

— Koziorożca — odrzekł strzelec, rzucając u stóp astronoma piękne zwierzę, którego potężne rogi zakrzywiały się łukiem.

Była to antylopa znana pod nazwą kozła skalnego, znajdująca się licznie w tych okolicach Afryki Południowej. To piękne zwierzę cisawej barwy ma grzbiet pokryty bujnym jedwabistym włosem, podbrzusze śnieżnej białości, upstrzone kasztanowatymi cętkami. Jego mięso, wyborowego smaku, miało stanowić główną potrawę dzisiejszej wieczerzy.

Myśliwy związał nogi kozła, założył je na drag, a obydwaj z astronomem, wzięwszy go na ramiona i opuściwszy brzegi wodospadu, w pół godziny potem doszli do swego obozowiska, kędy czekał na nich wóz strzeżony przez dwóch bochjesmańskich przewodników.

## II. PRZEDSTAWIENIE URZĘDOWE

Przez trzy dni następne Mokum i Emery nie opuszczali miejsca zbornego. W czasie gdy pierwszy, ulegając instyktom myśliwskim, uganiał się po przyległych wodospadach okolicach za płową zwierzyną i dziczyzną wszelkiego rodzaju, młody astronom wciąż zwracał uwagę na rzekę. Widok tej precudnej krainy, tak dzikiej a tak uroczej, wprawiał go w zachwycenie i przepelniał duszę przyjemnymi wrażeniami. Matematyk ten, bez odpoczynku pochylony nad stolikiem przy robieniu zawikłanych obliczeń, przepędzający noc z okiem przykutym do szkła lunety, liczący godzinami sekundy przechodzenia gwiazd przez południk, polujący na chwilę, w której jedna chowa się za drugą — nagle znalazł się w objęciach dziewiczej przyrody, pod ciemnym lazurem niebios, pod liściastymi sklepieniami pierwotnych lasów, wśród wzgórz fantastycznie zatoczonych dokoła wodospadu Morgheda. Nieznane uczucie poezji owionęło tego zapleśniałego ducha, który otrząsnąwszy pęta matematycznych obliczeń, lubował się wdziękiem pustych i nieznanych Europejczykom obszarów. Wrażenia te osładzały mu nudę oczekiwania, a duch i ciało rosły w siły na łonie przyrody. Właśnie położenie to, całkiem dla niego nowe, wytłumaczyć potrafił tę niezachwianą cierpliwość, której towarzysz nie zdołał jego zrozumieć. Stąd też, gdy myśliwiec zżymał się i szerzył nieustannie skargi, uczony odpowiadał mu z słodkim spokojem, który jednakże nie zdołał ułagodzić nerwowej natury Mokuma.

Na koniec nadszedł 31 stycznia, ostateczny termin spotkania się naznaczony listem pana Airy. Gdyby uczeni nie pojawili się, Emery byłby w niemałym kłopotcie. Spóźnienie bowiem mogło przedłużyć się do nieskończoności, a dopóki miał pozostawać w takim razie na swoim stanowisku?

— Przyszła mi pewna myśl — odezwał się w tym dniu Mokum. — Jak mniemasz, panie Williamie, czy nie byłoby stosowne udać się w dół rzeki na ich spotkanie? Wszak nie mają innej drogi jak koryto Oranje. Ponieważ więc płyną w górę rzeki, więc jest niemożliwe, abyśmy się z nimi rozminęli, idąc w dół.

— Przewyborna myśl, pogromco koziorożców! Idźmyż więc w dół, a w najgorszym razie wrócimy tutaj doliną południową. Ale czy znasz dobrze dolny bieg rzeki?

— Ba! Przebywałem ją dwukrotnie aż do samego ujścia i znam jej cały bieg, jak moją kieszeń, od przylądka Voltas aż do połączenia się z nią Harta<sup>20</sup>, na granicy Republiki

<sup>20</sup>Hart, dziś popr.: Harts — pfn. dopływ rzeki Vaal, największego dopływu Oranje; naturalna granica daw. burskiej republiki Transvaalu. [przypis edytorski]

Transvaalu<sup>21</sup>.

— Czy od wodospadu aż do ujścia cała jest żeglowna?

— Wyjawszy, że na pięć lub sześć mil przed ujściem przy schyłku pory suchej wody ma bardzo mało. Tworzy się tam wtenczas rodzaj mielizny, o którą biją wściekle od zachodu fale oceanu.

— Mniejsza o to, bo w czasie kiedy ją nasi przyjaciele przebywali, wody jeszcze było pod dostatkiem, a zatem nie istnieje żaden powód, który by im nie dozwolił przybyć na czas — i przybędą.

Buszmen nie odrzekł słowa, zarzucił strzelbę na ramię, gwizdnął na psa i poprzędając towarzysza, ruszył wąską ścieżką, która spuszczać się z wyżyny wodospadu o czterysta kroków poniżej, zbiegała na brzeg rzeki.

Było to około godziny dziewiątej z rana. Dwaj badacze, których tym mianem godzi się obdarzyć, szli lewym brzegiem rzeki w kierunku ujścia. Ścieżka ta nie miała najmniejszego podobieństwa ze zwykłymi nadbrzeżnymi drogami, jakie służą do holowania statków w górę. Urwiste i strome brzegi gęsta pokrywała roślinność; girlandy *Cynanchum filiforme*, wspomnianego przez Burchella, przeskakując z drzewa na drzewo, rozciągały gęstą sieć na drodze wędrowników. Nóż Buszmena wciąż szerzył zniszczenie, wycinając w tym żywym murze zieleni przejście.

William Emery pełną piersią wciągał balsamiczny oddech lasów, a szczególnie przenikającą woń, którą rozsiewały wkoło niezliczone kwiaty diosmów.

Wędrówka więc, jak widzimy, nie mogła odbywać się śpiesznie. Szczęściem, miejscami brzegi były obnażone, a tam obaj podróżni przyśpieszali kroku, wynagradzając czas stracony na przebywanie gąszczów.

Do godziny jedenastej przebyli zaledwie cztery mile angielskie. W tej odległości loskot wodospadu zaledwie dawał się słyszeć, bo powiew zachodni niósł go w przeciwną stronę, tym łatwiej za to mogli uchwycić uchem szmery dochodzące z dołu rzeki.

William Emery i myśliwiec, zatrzymawszy się w tym miejscu, mogli przejrzeć przynajmniej na trzy mile w dół łóżysko rzeki, wrzynające się tutaj głęboko, o brzegach urwistych, które kredowym wzgórzem wybiegały blisko na dwieście stóp ponad zwierciadło wód.

— Zaczekajmy w tym miejscu — odezwał się astronom — i odpocznijmy. Nie mam twoich stalowych nóg, Mokumie, bo jestem bardziej przyzwyczajony do przebiegania okiem przestrzeni niebieskich, aniżeli do mierzenia nogami ziemskich odległości. Stąd możemy co najmniej przejrzeć trzy mile biegu rzeki, a jeżeliby tylko statek parowy ukazał się na ostatecznym zakręcie, łatwo go będziemy mogli dostrzec.

Młody astronom oparł się o pień wilczomleczu drzewnego, którego wierzchołek strzelał na czterdzieści stóp w górę. Stąd jego wzrok sięgał daleko. Strzelec, nieprzyzwyczajony do siedzenia, w był ciągłym ruchu, nie zważając wcale na Topa, który uwijając się dookoła, ploszył chmury dzikiego ptactwa.

Nie upłynęło pół godziny, gdy William dostrzegł, że Buszmen, stojący w oddaleniu stu kroków, robił dziwne poruszenia, dając poznać, że coś zauważył. Czyżby dostrzegł statek, tak niecierpliwie wyglądany?

Natychmiast zerwawszy się ze mchu, na którym chwilę spoczywał, pośpieszył ku myśliwcowi.

— Czy widzisz co, Mokumie? — zapytał z niepokojem.

— Dotąd nie widzę nic, ale mniemam, że coś usłyszał. Ucho moje, nawykłe do odgłosów przyrody, zda mi się pochwyciło jakiś niezwykły szmer w dole rzeki.

Po czym zaleciwszy cichość astronomowi, położył się na ziemi, przytknął do niej ucho i słuchał z wyostrzoną uwagą.

Po kilku minutach podniósł się, a wstrząsłszy głową, rzekł:

— To nic, pomyliłem się. Odgłos, jaki słyszałem, jest poświstem wiatru igrającym z liśćmi albo też szumem wody rozbijającej się o głazy łóżyska... A jednak... — I znowu wyostrzył słuch, lecz i tym razem nadaremnie.

<sup>21</sup>Republika Transvaalu (niderl. *Transaal Republiek*, dosł.: Republika za rzeką Vaal) — pot. nazwa Republiki Południowoafrykańskiej, hist. państwa założonego przez Burów (potomków osadników niderlandzkich), istniejącego z przerwami w latach 1852–1902. [przypis edytorski]

— Mokumie — zauważył uczony — jeżeli łoskot, który słyszałeś, pochodzi od maszyny parostatku, to, aby go rozróżnić, należy zejść na dół i przyłożyć ucho do powierzchni wody. Woda przenosi dźwięki wyraźniej i szybciej niż powietrze.

— Masz pan słuszność; kilkakrotnie już wytropiłem tym sposobem płynącego konia rzecznygo<sup>22</sup>.

I z niezwykłą lekkością zbiegł na brzeg wody, wszedł w nią po kolana, a schyliwszy się, przyłożył ucho do jej powierzchni.

— Słyszę, wyraźnie słyszę! Tam w dole rzeki, w znacznej odległości, slychać jakieś uderzenia bijące gwałtownie w wodę. Pluskanie monotonne w jej głębi.

— To skrzydła śruby parowej, mój drogi — zawołał z radością William.

— A więc ci, na których tyle dni czekamy, są już niedaleko.

Emery, znający dobrze bystrość słuchu syna puszcza, nie wątpił bynajmniej o prawdziwości jego słów. Myśliwy wrócił na dawne stanowisko i obydwaj w niemym oczekiwaniu wyteżali wzrok ku zachodowi, wyglądając niecierpliwie, kiedy potwierdzi się to, co im słuch zapowiadał.

Pomimo cierpliwego usposobienia młody uczony przepędził następne pół godziny w wielkim niepokoju. Czas mu się dłużył, co chwila zdawało mu się, że dostrzega kontury statku prześlizgującego się po zwierciadle rzeki, lecz zawsze się mylił. Nareszcie z dumania wyrwał go donośny głos strzelca wołającego:

— Dym! dym!

William, zapuściwszy wzrok w kierunku wskazanym przez Buszmena, z trudnością zaledwie dostrzegł lekki biały obłoczek, unoszący się nad wodą. Nie było już wątpliwości. Statek posuwał się szybko w górę rzeki. Wkrótce dostrzegli i jego komin, wyrzucający kłęby czarnego dymu pomieszanego z białymi obłoczkami pary. Widocznie załoga nie żałowała węgla, ażeby spotęgować siłę pary i na wyznaczony czas stawić się na miejscu.

Statek znajdował się jeszcze w odległości siedmiu mil angielskich od wodospadu Morghedy.

Słońce dochodziło połowy dziennego biegu, a ponieważ miejsce, w którym znajdowali się oczekujący, nie było odpowiednie do wylądowania, przeto astronom postanowił wrócić do wodospadu. Uwiadomił o tym Mokuma, który w miejsce odpowiedzi puścił się z powrotem wyciętą przez siebie drogą. William szedł za nim, a obejrawszy się jeszcze raz w dół rzeki, ujrzał na tylnym maszcie flagę Wielkiej Brytanii.

Powrót odbył się szybko. O godzinie pierwszej astronom i strzelec wstrzymali się o ćwierć mili od wodospadu, w miejscu, gdzie brzeg, zataczając się w półkole, tworzył małą zatokę, bardzo przydatną do wylądowania, w tym bowiem miejscu głębia wody dochodziła do samego brzegu.

Statek, płynący daleko szybciej, aniżeli idący pieszo, był już zapewne niedaleko. Dostrzec go nie było można, bo zarośla wysokie, zbiegające aż do samego krańca wody, zasłaniały widok; lecz słyszeli wyraźnie jeżeli nie turkot śruby rozbijającej fale, to przynajmniej przeraźliwy gwizd maszyny parowej, górujący nawet nad grzotem bliskiego wodospadu.

Gwizd nie ustawał. Znać komenderujący dawał sygnał oczekującym przy wodospadzie o przybyciu statku.

Myśliwiec na to hasło odpowiedział wystrzałem ze sztucera, którego huk powtórzyły kilkakrotnie nadbrzeżne skały.

Statek ukazał się wreszcie. Obydwóch oczekujących spostrzeżono. Na znak dany przez astronoma statek, skierowany ku lewemu brzegowi, przybił do lądu. Myśliwiec pochwycił wyrzuconą linę i przymocował do drzewa.

W tej chwili człowiek wysokiego wzrostu wyskoczył lekko na brzeg, zwrócił się ku Williamowi, reszta załogi także wysiadła na ląd. William Emery poszedł naprzeciw wysiadającego i zagadnął:

— Pan pułkownik Everest?

— Pan William Emery?

Młody astronom i kolega jego z obserwatorium w Greenwich powitali się, podając sobie ręce.

<sup>22</sup>koń rzeczny — hipopotam (z gr. *hippos*: koń, *potamos*: rzeka). [przypis edytorski]



— Panowie — rzekł pułkownik, zwracając się do swych towarzyszy — pozwólcie sobie przedstawić szanownego Williama Emery'ego z obserwatorium w Capetown, który był łaskaw oczekiwać nas przy wodospadzie Morgheda.

Czterech podróżnych otaczających pułkownika powitało kolejno Emery'ego, a następnie z angielską flegmą Everest oficjalnie prezentował swych towarzyszy Williamowi.

— Panie Emery, oto rodak twój, sir John Murray z Devonshire; pan Mateusz Strux, astronom z Pułkowa<sup>23</sup>, pan Mikołaj Palander z obserwatorium w Helsingforsie<sup>24</sup> i pan Michał Zorn, z obserwatorium w Kijowie, trzech uczonych rosyjskich reprezentujących rząd cara w naszej międzynarodowej komisji.

### III. PRZENOSINY

Po przedstawieniu wzajemnym William Emery ofiarował przybyłym swoje usługi. Jako pomocnik głównego astronoma w Captown, uważał on uczonego Everesta za swego zwierzchnika, delegowanego rządu królowej, który wraz z Struksem objął prezydium komisji naukowej. Znał on go jako bardzo wykształconego astronoma, który zjednał sobie rozgłos w uczonym świecie badaniem mgławic i obliczaniem zaćmień gwiazd stałych. Mąż ten liczący około pięćdziesiąt lat, zimny, systematyczny, rozłożył sobie zajęcia, godziny za godziną z matematyczną ścisłością. Wszystkie prace przedsięwziął podług chronometru, a każdą wykonywał z punktualnością gwiazdy przechodzącej przez południk. Wiedząc o tym, Emery był przekonany, że komisja stawi się na miejscu przeznaczenia w umówionym czasie.

William oczekiwał na wyjaśnienie ze strony pułkownika, w jakim celu komisja została wysłana do południowej Afryki, lecz Everest milczał, a William nie śmiał go badać. Zapewne jeszcze nie był stosowny czas do objawienia celu misji.

Emery znał także z opinii Johna Murraya, współzawodnika Jamesa Rossa<sup>25</sup> i lorda Elgina<sup>26</sup>; ten bogaty uczonec, chociaż nie w służbie rządowej, ale mimo to pracował użytecznie na polu astronomicznym w Anglii. Poświęcił dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów na wybudowanie olbrzymiego reflektora, walczącego o lepsze z teleskopem z Parson Town, za pomocą którego obliczono ściśle elementy pewnej liczby gwiazd podwójnych. Był to mąż czterdziestoletni, o pańskiej minie, lecz którego powierzchowność nie zdradzała bynajmniej jego charakteru. Co do panów Struksa, Palandra i Zorna, nazwiska ich nie były obce Emery'emu, ale nie znał ich osobiście. Palander i Zorn okazali Struksowi pewne względy, odnoszące się być może nie do zasług na polu naukowym, jak raczej do zajmowanego przezeń stanowiska.

Jedną tylko rzecz zauważył Emery, to jest, że liczba uczonych obojga narodów była równa, a nawet załoga statku, noszącego nazwę „Królowa i Cesarz”<sup>27</sup>, składała się z dziesięciu ludzi, z których po pięciu należało do dwóch narodowości.

— Panie Emery — zagaił pułkownik zaraz po przedstawieniu — znamy się dobrze, jak gdybyśmy wspólnie odbyli podróż z Londynu do Przylądka Voltas. Poważam pana bardzo za pracę, której pomimo swej młodości zawdzięczasz zasłużoną sławę. Na mój wniosek rząd królowej wezwał pana do wzięcia udziału w ważnych pracach, jakich komisja pragnie dokonać w Afryce Południowej.

William skłonił się na znak podziękowania i mniemał, że dowie się nareszcie, w jakim celu komisja międzynarodowa została wysłana na południową półkulę, lecz pułkownik wcale nie dotknął tej kwestii; zapytał tylko:

— Czy pan ukończył przygotowania?

— Zupełnie — odpowiedział. — Stosownie do instrukcji nadesłanej mi przez pana Airy, przed miesiącem wyjechałem z Capetown do Lattaku. Przybywszy tam, zgroma-

<sup>23</sup>Pułkowo — miasto ros. 19 km na pld. od Petersburga. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Helsingfors — oryginalna szwedzka nazwa miasta Helsinki; w latach 1809–1917 funkcjonowało autonomiczne Wielkie Księstwo Fińskie, wchodzące w skład imperium rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Ross, James Clark (1800–1862) — bryt. oficer marynarki i odkrywca, badacz Arktyki. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>lord Elgin — tu zapewne: Thomas Bruce (1766–1841), siódmy hrabia Elgin, bryt. dyplomata, który zasłynął rabunkiem starożytnych rzeźb (tzw. marmurów Elgina) z ateńskiego Partenonu i wywiezieniem ich do Anglii. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>„Królowa i Cesarz” — imperium brytyjskim rządziła wówczas królowa Wiktoria, zaś cesarstwem rosyjskim Mikołaj I. [przypis edytorski]

dziłem wszystkie przedmioty niezbędne do odbycia dłuższej podróży w głąb lądu: wozy, konie, żywność i przewodników. Eskorta złożona ze stu uzbrojonych ludzi oczekuje panów w Lattaku, a jej dowódcą jest doświadczony myśliwiec, Buszmen Mokum, którego pozwoli sobie pułkownik przedstawić.

— Buszmen Mokum! — wykrzyknął Everest, wychodząc po raz pierwszy na chwilę z flegmatycznego usposobienia. — Buszmen Mokum! — powtórzył. — Ależ to nazwisko jest mi znane.

— Jest to nazwisko zręcznego i nieustraszonego myśliwca — odezwał się John Murray, zwracając się do niego — któremu Europejczycy, pomimo swej zarozumiałości, nie zdołają zaimponować.

— Myśliwiec Mokum — rzekł Emery, przedstawiając go pułkownikowi.

— Ach! ach! Przypominam sobie — mówił Everest, zwróciwszy się do strzelca. — Twe imię jest doskonale znane w Zjednoczonym Królestwie. Wszak to pan byłeś przyjacielem Anderssona i przewodnikiem Dawida Livingstone’a, który zaszczyca mnie swą przyjaźnią? Przez moje usta Anglia składa ci podziękowanie, a ja panu Emery’emu, że cię wybrał na naczelnika naszej karawany. Strzelec taki jak pan zapewne jest miłośnikiem pięknej broni. Mamy tu z sobą cały arsenał, zechciej spomiędzy wszystkich wybrać tę, która ci się najlepiej podoba. Wiemy, że się dostanie w dobre ręce.

Buszmen zarumienił się z radości. Uznanie, jakiego używał w Anglii, pochlebiało mu, ale bardziej zachwyił podarek pułkownika. Podziękował dobranymi wyrazami i usunął się na bok, aby nie przeszkadzać rozmowie toczącej się pomiędzy Emerym a nowo przybyłymi. Sprawozdanie co do przygotowań zrobionych przez uczonego z Capetown zachwyliło pułkownika. Szło teraz o jak najprędzsze dostanie się do miasta Lattaku, gdyż karawana wyruszyć miała w pierwszych dniach lutego, natychmiast po przeminieciu pory dżdżystej.

— Racz, pułkowniku, wyznaczyć sposób, w jaki pragniesz dostać się do Lattaku.

— Rzeką Oranje, a następnie uchodzącym do niej Kurumanem, nad którym leży Lattaku.

— Jakkolwiek szybki i wyborny jest twój statek, nie zdoła jednak wpłynąć w górę wodospadu Morgheda.

— Ominiemy go — odpowiedział spokojnie pułkownik. — Szalupa przewieziona zostanie o kilka mil w górę wodospadu, skąd, o ile mi wiadomo, Oranje znowu jest spławna dla statków biorących mało wody.

— Spławna jest, lecz jakimże sposobem przewieźć tak ciężki parowiec? — zauważył Emery.

— To najmniejsza. Statek nasz jest arcydziełem warsztatów Learda i Spółki w Liverpoolu, rozbiera się na drobne części i składa z największą łatwością. Klucz i pewna ilość nitów aż nadto wystarczy ludziom, którzy się zajmą tą robotą. Czy pan masz jaki wóz przy wodospadzie?

— Opoдал stąd w dolinie, gdzie jest nasze obozowisko — odpowiedział William.

— Dobrze więc. Panie Mokum, każ sprowadzić ten wóz do miejsca, gdzieśmy wylądowali. Za jego pomocą przewieziemy kolejno część łodzi, a następnie i maszynę, która również się rozbiera, na miejsce, odkąd rzeka zaczyna być żeglowna.

Rozkazy pułkownika wykonano. Mokum, przyrzekłszy sprowadzić wóz za godzinę, znikł w gęstwinie. Podczas jego nieobecności szybko opróżniono szalupę. Ładunek nie był zbyt wielki; tworzyły go skrzynie z instrumentami fizycznymi, poważny zapas wyborowej broni z fabryki Purdey Moore z Edynburga, kilka baryłek wódki i suszonego mięsa, skrzynka amunicji, tłumoczeki możliwie małej objętości, płótno na namioty i dobór utensyliów, pochodzących jakby z jakiego bazaru, urządzonego wyłącznie dla podróżnych, wreszcie łódka kauczukowa, zajmująca nie więcej miejsca jak dobrze zwinięty i skrupowany pled; na koniec rodzaj wachlarzowatej kartaczownicy<sup>28</sup>, niezbyt jeszcze udoskonalonej, ale straszliwej dla tych, którzy by chcieli na przekór woli załogi dostać się do statku.

Wszystko to złożono na brzegu. Maszyna parowa o sile ośmiu koni i wadze dwustu dziesięciu kilogramów, składała się z trzech części: kotła, ogrzewacza, który do niego umocowany był na gwintach, a wreszcie śruby przytwierdzonej do sztuki drzewa na spo-

<sup>28</sup>kartaczownica — szybkostrzelna broń wielolufowa; w odróżnieniu od karabinu maszynowego wymagała przeladowywania ręcznego, dźwignią lub korbą. [przypis edytorski]

dzie statku. W miarę wynoszenia tych części statek się opróżniał. Szalupa, oprócz miejsca obejmującego maszynę parową, miała jeszcze dwie kajuty: tylną dla oficerów, przednią dla członków załogi. W mgnieniu oka ściany przegród znikły, a rzeczy i posłania wyniesiono na brzeg; pozostało jedynie jakby pudło na wodzie.

Pudło statku, długie na dziesięć do jedenastu metrów, składało się z trzech części, podobnie jak szalupa „Mâ-Robert”, w której Livingstone odbył pierwszą przejażdżkę po Zambezi. Sporządzono je z galwanizowanej stali, nader lekkiej i wytrzymałej, z blach pojedynczych spojonych nitami, które w razie potrzeby można było odjąć. Blachy przystawały nadzwyczaj szczelnie, a nity spajały części statku tak dokładnie, że kropla wody przesunąć się wewnątrz nie mogła.

William Emery zachwycał się prostotą budowy, składu i szybkością, z jaką rozbierano łódź. Nie upłynęła jeszcze godzina, a była już w kawałkach, gotowa do ładowania; właśnie też i Mokum w towarzystwie dwóch Buszmenów przyprowadził wóz.

Wóz ten, bardzo pierwotnej konstrukcji, spoczywał na czterech ciężkich kołach; złożony z dwóch półwozi osobnych, oddzielonych od siebie dwudziestostopową odległością, podobny zupełnie do podwód północnoamerykańskich używanych przez przebywających stepy. Tę ciężką maszynę, której skrzypiące przeraźliwie osie wystawały na stopę z piast, ciągnęło sześć oswojonych bawołów, zaprzężonych w trzy pary i nadzwyczaj czułych na popędzających ich kolec woźnicy. Takich to silnych zwierząt trzeba było użyć, ażeby uciągnąć tę maszynę ciężarem naładowaną. Mimo zęczności powożącego, nieraz więźnął w wybojach.

Załoga „Królowej i Cesarza” zajęła się władowaniem szalupy na wóz, przestrzegając, aby ciężar wszędzie równo był rozłożony. Znana jest cudowna zręczność marynarzy. Ładowanie było dla nich igraszką! Najcięższe sztuki umieścili ponad osiami, to jest w najmocniejszych częściach wozu. Pomiedzy nimi układali inne części statku, w samym zaś środku przedmioty, które należało jak najmniej narażać na wstrząśnienia. Podróżni poszli pieszo, przebycie czterech mil angielskich było dla nich przechadzką.

O godzinie trzeciej z południa ukończono załadunek, a pułkownik Everest dał znak odjazdu. On i jego towarzysze ruszyli przodem pod przewodnictwem Williama Emery'ego. Buszmen, poganiacze wołów oraz załoga statku otaczali wóz.

Pochód nie zmęczył podróżnych. Pochyłość ku gorze wodospadu wznosiła się lekko, a tym samym bardzo sprzyjała transportowi ciężkiego wozu. Poświęceniem nieco dłuższego czasu zdążało się do celu tym pewniej.

Członkowie komisji naukowej wspinali się lekko na wzgórze, prowadząc rozmowę ogólną. O celu wyprawy nikt jednak nie wspominał. Europejczycy zachwycali się wspaniałością dokoła roztoczonych krajobrazów: urocza w całej swej dzikości przyroda wprawiała ich w takież samo zachwycenie, jakiego doznawał Emery. Świeże wrażenia nie przesyliły ich jeszcze pięknnością tych stron Afryki. Podziwiali cuda stworzenia, lecz z pewną wstrzemięźliwością, właściwą Anglikom, wrogom wszystkiego, coby zakrawało na jakies żywsze uniesienie. Wodospad ze swej strony otrzymał także pochwały, ale bardzo oględne. Anglicy w tym razie podobni byli jakby do owych wielkich znawców teatralnych, którzy raczą dawać autorom i aktorom oklaski końcami palców, trzymając się wreszcie maksymy „*nil admirari*”<sup>29</sup>.

William Emery uważał, iż jego obowiązkiem jest pełnienie względem przybyszów obowiązków gospodarza w Afryce Południowej, a czynił to z pewną dumą, okazując im piękność swego parku, podobnie do dorobkiewiczów, którzy oprowadzając gościa po swoim domu, usiłują zwrócić jego uwagę na wszystko, co tylko się w nim znajduje.

Okolo godziny wpół do piątej Europejczycy, ominawszy wodospad, stanęli na wyżynie, z której widać było górny bieg Oranje. Rozłożyli się tu obozem, oczekując na przybycie wozu. Pół godziny potem przybyła reszta ludzi w celu wzięcia statku. Przewóz odbył się szczęśliwie. Everest polecił im, aby wyładowali i złożyli na powrót statek, zapowiadając, że o świcie wyruszą w dalszą podróż.

Całą noc spędzono na rozmaitych pracach. Kadłub statku złożono w ciągu godziny. Po przytwierdzeniu maszyny parowej i śruby, założono przegrody kajut, a następnie ponoszono rzeczy i przybory. Szybkie i dokładne wykonanie tych prac dobrze świadczyło

<sup>29</sup>*nil admirari* (łac.) — niczemu się nie dziwić. [przypis edytorski]

o zręczności załogi statku. Majtkowie obu narodowości byli ludźmi karnymi i zręcznymi. W wyborze ich widać starano się o to, ażeby mieć załogę, na którą można liczyć w każdej okoliczności.

Nazajutrz, dnia 1 lutego o świcie statek był gotów do podniesienia kotwicy. Z komina buchały już kłęby czarnego dymu, a od czasu do czasu rozdzierały go gęste obłoki pary. Maszyna o wysokim ciśnieniu, bez kondensatora, za każdym poruszeniem tłoku traciła część pary, na wzór lokomotywy. Kocioł, zaopatrzony w genialnie skomplikowane rury, które przedstawiały ogniowi bardzo wielką powierzchnię, nie potrzebował więcej niż pół godziny dla wywiązania dostatecznej ilości pary. Załoga nagromadziła wielki zapas hebanu i gwajaku<sup>30</sup>, w które okolice te bardzo obfitowały, i tym drogocennym materiałem podsycono hojnie ognisko.

O szóstej pułkownik dał znak odjazdu. Pasażerowie i majtkowie wsiedli na statek. Myśliwiec, obznajmiony dokładnie z rzeką, wstąpił na pokład w charakterze pilota, polecając Buszmenom doprowadzenie wozu do Lattaku.

W chwili gdy podnoszono kotwicę, Everest, zwróciwszy się do Williama, zagadnął:

— Ale, ale, czy wiesz, panie Emery, po cośmy tu przybyli?

— Nie wiem, mój pułkowniku.

— Zadanie bardzo proste. Przyjechaliśmy wymierzyć łuk południka w Afryce Południowej.

#### IV. KILKA SŁÓW ODNOSZĄCYCH SIĘ DO METRA

Od niepamiętnych, można powiedzieć, czasów ludzie genialni myśleli nad wynalezieniem powszechnej, a niezmiennej miary, której podstawę wyznaczałaby sama przyroda. Szło im głównie o to, ażeby miara ta, mimo jakichkolwiek przewrotów mogących zajść na kuli ziemskiej, nie zaginęła, a raczej, aby mogła być odnaleziona. Przyjąć należy, że i starożytni o tym marzyli, stali im jednak na przeszkodzie brak odpowiednich instrumentów i metody do jej wyznaczenia z możliwą dokładnością.

Najlepszym i najodpowiedniejszym środkiem wynalezienia takiej miary byłoby zmierzenie części obwodu kuli ziemskiej, który nie ulega zmianom, ale należało pomiar ten wykonać z matematyczną dokładnością.

Już starożytni próbowali wyznaczyć ten pomiar. Arystoteles<sup>31</sup>, według podania niektórych współczesnych mu uczonych, uważał stadium<sup>32</sup> egipskie z czasów Sezostrysa jako stutysięczną część czwartej części obwodu ziemi. Erastotenes<sup>33</sup> w czasach Ptolemeuszów obliczył z dosyć przybliżoną dokładnością stopień długości Nilu pomiędzy Syeną a Aleksandrią. Ale ani Posejdonios<sup>34</sup>, ani Ptolemeusz<sup>35</sup>, podejmując prace geodezyjne w tym rodzaju, nie mogli im dać potrzebnej dokładności.

Pierwszy Picard zaczął we Francji wydoskonalać metodę używaną do zmierzenia stopnia. W roku 1669 wyznaczył on długość łuku ziemskiego i niebieskiego pomiędzy Amiens a Paryżem na pięćdziesiąt siedem tysięcy sześćdziesiąt sążni francuskich (*toise*)<sup>36</sup>.

Dominik Cassini i Lahire pomiędzy latami 1683 a 1713 przedłużyli pomiary Picarda od Dunkierki do Callioure. W r. 1739 Franciszek Cassini i Lahire zajmowali się obliczeniem tegoż łuku od Dunkierki aż do Perpignan. Na koniec Méchain przedłużył pomiar

<sup>30</sup>gwajak — drewno pochodzącego z Ameryki Środkowej gwajakowca, ciężkie i bardzo twarde. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Arystoteles (384–322 p.n.e.) — gr. filozof i przyrodnik, zajmujący się również teorią państwa i prawa, ekonomiką i logiką formalną; najwszechstronniejszy z uczonych staroż., osobisty nauczyciel Aleksandra Wielkiego; jego dorobek i system filozoficzny wywarły wielki wpływ na rozwój nauki i filozofii europejskiej, zwłaszcza w średniowieczu. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>stadium (łac.) a. stadion (gr.) — staroż. gr. miara długości, równa 600 stopom, zależnie od regionu odpowiadająca ok. 160–210 m. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Erastotenes (276–194 p.n.e.) — gr. astronom, geograf, matematyk; jako pierwszy wyznaczył obwód kuli ziemskiej, uzyskując wielkość 250.000 stadionów; stosował poprawną metodę, ale obliczenia opierał na przybliżonych wielkościach. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Posejdonios (ok. 135–ok. 50 p.n.e.) — gr. filozof i uczonec, astronom, geograf i historyk; wyliczył obwód Ziemi metodą odmienną niż Erastotenes, uzyskując 240.000 stadionów. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Ptolemeusz (*Ptolemeusz Klaudiusz*) (ok. 100–ok. 168) — gr. astronom i geograf; rozwinął geocentryczny model świata, spisał compendium wiedzy astr.; opisał zasady tworzenia map, stworzył atlas geogr. ze współrz. ok. 8000 miejsc. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>sążeń francuski (*toise*) — daw. miara długości, pod koniec XVII w. równa ok. 1,95 m. [przypis edytorski]

południka do Barcelony w Hiszpanii. Méchain umarł ze zbytnej pracy w 1802 r., a dzieło jego podjęli Arado i Biot w 1807 r. Ci dwaj uczeni posunęli je aż do Formentery, jednej z wysp Balearów. Wymierzono więc łuk od Dunkierki do Formentery, wynoszący  $12^{\circ}22'13''$ ; sam jego środek przecinał równoleżnik północny czterdziesty piąty, leżący w równej odległości od bieguna i równika, a właśnie z tego powodu nie zachodziła potrzeba brania w rachubę przybiegunowego spłaszczenia ziemi. Pomiar ten, wykonany z możliwą dokładnością, wskazywał jako przeciętną długość jednego stopnia południka ziemskiego 57,025 sążni francuskich.

Jak widzimy, to po dziś dzień jedynie uczeni francuscy zajmowali się wyznaczeniem tej pracy, wymagającej nadzwyczajnej ścisłości. Na wniosek Talleyranda Zgromadzenie prawodawcze<sup>37</sup> wydało w r. 1790 dekret, polecający Akademii Francuskiej, ażeby dla wszelkiego rodzaju miar i wag obmyśliła wzór niemożący ulec zmianie. Akademia wywiązała się z zadania. Raport jej, podpisany przez sławnych uczonych Borde, Lagrange'a, Laplace'a, Monge'a i Condorceta, przedstawiał Zgromadzeniu prawodawczemu projekt, ażeby za podstawę miary długości przyjęto jedną dziesięciomilionową część południka ziemskiego, a dla miar objętości sześciennych, którego każda krawędź miałaby długość dziesiątej części powyższej miary, za jednostkę zaś wagi ciężar wody destylowanej objętej tym sześciennem; proponowano też dla wszystkich miar przyjąć system dziesiętny.

Dokonywano przedtem, a w następnych czasach przedsięwzięto nowe pomiary południka w różnych częściach ziemi, w celu uzyskania jak najdokładniejszej przeciętnej jego długości. Wiadomo, że kula ziemską nie jest sferoidą, ale elipsoidą, więc też trzeba było licznych pomiarów, ażeby za ich pomocą wyznaczyć przybiegunowe spłaszczenie ziemi.

Z dawniejszych wyliczamy następujące:

W r. 1736 Maupertuis, Clairant, Camus, Lemonnier, Outier i Szwed Celsius mierzyli łuk w Laponii i wyznaczyli jego długość na pięćdziesiąt siedem tysięcy czterysta dziewiętnaście toazów.

W r. 1745 La Condamine, Bouguer, Godin i dwaj Hiszpanie Juan i Antonio Ulloa obliczyli długość południka w Peru na pięćdziesiąt sześć tysięcy siedemset trzydzieści siedem sążni francuskich.

W r. 1752 Lacaile podał, że długość południka na Przylądku Dobrej Nadziei wynosi pięćdziesiąt siedem tysięcy trzydzieści siedem tychże sążni.

W r. 1754 Ojcowie Maire i Boscovich, mierząc południk między Rzymem a Rimini, obliczyli jego długość na pięćdziesiąt sześć tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt trzy.

W latach 1762 i 1763 Beccaria wyznaczył długość południka piemonckiego na pięćdziesiąt siedem tysięcy czterysta sześćdziesiąt osiem.

W r. 1768 astronomowie Mason i Dixon w Ameryce Północnej, na granicy między Marylandem a Pensylwanią, znaleźli południk ziemski w tym miejscu długi na pięćdziesiąt sześć tysięcy osiemset osiemdziesiąt osiem toazów.

Ganos w Hanowerze na pięćdziesiąt siedem tysięcy sto dwadzieścia siedem.

W późniejszych znowu czasach, a mianowicie w ciągu dziewiętnastego stulecia, mierzone wiele innych południków, między innymi w Bengalii, Indiach Wschodnich, Piemencie, Finlandii i Kurlandii, Prusach Książęcych, Danii itd., ale Anglicy i Rosjanie mniej od innych narodów zajmowali się tymi mozolnym pomiarami. Główną pracę geodezyjną na tym polu przedsięwziął w 1784 generał major Roy<sup>38</sup>, a to w celu uregulowania stosunku miar angielskich do francuskich. Z tych rozlicznych powyżej przytoczonych pomiarów można było wziąć za zasadę, że średnia długość stopnia południka ziemskiego wynosi pięćdziesiąt siedem tysięcy sążni francuskich, czyli 25 dawnych mil (*lieues*)<sup>39</sup>, a mnożąc te 25 mil przez 360 stopni, wyznaczyć obwód ziemski w kierunku jej osi na dziewięć tysięcy tychże mil.

Z przytoczonych atoli powyżej liczb widzimy, że szczegółowe pomiary łuku południkowego dokonywane w rozmaitych miejscach kuli ziemskiej nie zgadzały się z sobą.

<sup>37</sup>Zgromadzenie prawodawcze — tu: Zgromadzenie Narodowe działające podczas rewolucji francuskiej (Konstytuanta). [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Roy, William (1726–1790) — szkocki inżynier wojskowy, geodeta; dokonał pomiarów Szkocji, połączył geodezyjnie Brytanię i Francję. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>dawnych mil (*lieues*) — mowa o mili francuskiej (fr. *lieue*), równej ok. 4 km, w odróżnieniu od mili angielskiej (fr. *mille*), równej ok. 1,6 km. [przypis edytorski]



Pomimo to jednak, według przyjętej średniej jego długości, obliczonej na pięćdziesiąt siedem tysięcy toazów, ustanowiono miarę *metra*, który wynosić ma jedną dziesięciomilionową część ćwierci południka<sup>40</sup>, przebiegającej od bieguna do równika, co stanowi 0,513074 sążnia, czyli trzy stopy, jedenaście linii<sup>41</sup> i dwieście dziewięćdziesiąt sześć tysięcznych linii<sup>42</sup>.

Wartość ta jest w istocie za niska: podług najnowszych obliczeń spłaszczenie ziemi przy biegunach wynosi  $1/299,15$  a nie  $1/334$ , jak dawniej wyrachowano. Ćwierć południka nie zawiera zatem dziesięciu milionów metrów, ale dziesięć milionów osiemset pięćdziesiąt sześć. Różnica ta w stosunku tak ogromnej długości jest nieznaczna, niemniej biorąc rzeczy z dokładnością matematyczną metr nie oznacza ściśle dziesięciomilionowej części południka ziemskiego. Jest to błąd skracający metr o dwie dziesięciotysięczne linii<sup>43</sup>.

Tak wyznaczony metr został przyjęty przez większą część państw ucywilizowanych. Belgia, Hiszpania, Włochy, Grecja, Holandia, a w ostatnich czasach Austria, dalej dawne kolonie hiszpańskie w Ameryce, mianowicie Ekwador, Nowa Grenada, Kostaryka i wiele innych używają miar metrycznych. Anglia pomimo wyższości miar metrycznych, wierna swym zachowawczym tradycjom, aż dotąd wzbraniała się je zaprowadzić.

System ten może by nie napotkał oporu w Zjednoczonym Królestwie, gdyby nie zawiłkiania polityczne wichrzące Europę w końcu osiemnastego wieku, gdyby nie zapamiętała niechęć ku wszystkiemu, co z Francji pochodzi.

Zgromadzenie prawodawcze, uchwalając przytoczony dekret w dniu 8 maja 1790 roku, zaprosiło uczonych angielskich, ażeby wspólnie z francuskimi zajęli się rozstrzygnięciem kwestii. Szło mianowicie o to, co wziąć za podstawę do wyznaczenia miary zasadniczej: czy długość wahadła sekundowego, czy jakąś cząstkę jednego z wielkich kół ziemskich. Wiadomo jednak, jaką nienawiścią tchnęła wówczas Wielka Brytania ku wszystkiemu, co było francuskie, porozumienie więc zająć nie mogło.

Dopiero w r. 1854 rząd angielski, oceniający od dawna korzyści systemu metrycznego, a widząc z drugiej strony stowarzyszenie uczone i handlowe, tworzące się w celu jego zaprowadzenia, zdecydował się go przyjąć.

Ale rząd postanowił decyzję swą zachować w tajemnicy aż do chwili, gdy podjęte przezeń nowe prace geodezyjne pozwolą wyznaczyć z jak największą ścisłością długość stopnia. Do wzięcia udziału w tej pracy zaprosił trzech uczonych rosyjskich w nadziei, że kiedyś może i rząd cesarski skłoni się do wprowadzenia u siebie miar metrycznych. W tym celu wybrano najbieglejszych uczonych.

Komisja ta, zgromadzona w Londynie, postanowiła, że przede wszystkim nastąpi pomiar południka na południowej półkuli. Po dokonaniu tej czynności także sama przedsięwzięta zostanie na półkuli północnej, a po porównaniu obu tych pomiarów będzie można wyprowadzić średnią, odpowiadającą ściśle warunkom ułożonego programu.

Pozostawało zrobić wybór pomiędzy koloniami angielskimi położonymi z tamtej strony równika, Przylądkiem Dobrej Nadziei, Australią i Nową Zelandią. Dwie ostatnie, leżące na przeciwległej stronie kuli ziemskiej, zmuszały uczonych do odbycia zbyt długiej podróży. Z drugiej strony dzikie plemiona Australii i Maorysi Nowej Zelandii, wiodący nieustanną wojnę ze swymi najeźdźcami, mogli pomiarowi przeszkadzać. Kolonia Przylądkowa, przeciwnie, miała za sobą wiele dogodności. Najpierw położenie pod tym samym południkiem, co ziemie przetrzięte Wisłą, a więc po dokonaniu pomiaru na południowej półkuli można było tenże sam południk zmierzyć na północnej. Po wtórej podróży do Przylądka wymagała nierównie krótszego czasu, a wreszcie połączeni astrono-

<sup>40</sup>ćwierć południka — autor południkiem (*méridien*) nazywa zamkniętą, zbliżoną do okręgu linię na powierzchni Ziemi, przechodzącą przez bieguny i obiegającą ją wokół. Obecnie południkiem nazywa się połowę takiej linii, od bieguna do bieguna. Stąd też wg obecnej terminologii metr jest równy w przybliżeniu jednej dziesięciomilionowej części połowy południka. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>trzy stopy, jedenaście linii... — fr. miara długości *toise* (tu: sążeń) dzieliła się na 6 stóp, zaś stopa na 144 linie. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>[metr stanowi] trzy stopy, jedenaście linii i dwieście dziewięćdziesiąt sześć tysięcznych linii — tak długość metra definiowała ustawa fr. Zgromadzenia Narodowego z 19 frimaire'a roku VIII (10 grudnia 1799). [przypis edytorski]

<sup>43</sup>skracający metr o dwie dziesięciotysięczne linii — tj. o ok. 0,0004 mm, co dawałoby różnicę 4 metrów na ćwiartkę obwodu Ziemi, nie zaś 856 metrów, jak wcześniej stwierdza autor. [przypis edytorski]

mowie mieli wyborną sposobność skontrolowania pomiaru Lacaille'a<sup>44</sup>, pracując w tych samych miejscach, gdzie on przed upływem wieku zajmował się mierzeniem i sprawdzaniem, czy obliczył dobrze, wyznaczając w tym miejscu długość południka na pięćdziesiąt siedem tysięcy trzydzieści siedem toazów.

Postanowiono więc, że pomiar odbędzie się w Kraju Przylądkowym. Zatwierdzonej komisji udzielono obszernego kredytu. Wszystkich narzędzi pomiarowych sprawiono po dwa komplety. William Emery otrzymał rozkaz przygotowania wyprawy w głąb kraju, a fregata wojenna marynarki angielskiej „Eagle” otrzymała rozkaz przewiezienia uczonych do ujść Oranje.

Oprócz zebrania plonów naukowych, grała tu także niemałą rolę narodowa miłość własna. Szło o przewyższenie Francji w dokładności obliczeń, o prześcignięcie uczonych francuskich w podjętych przez nich pracach, a to wszystko w krainach dzikich i prawie nieznanach. Uczonych też obu narodów przejmował zapał; gotowi byli poświęcić wszystko, a nawet i życie, byleby tylko osiągnąć cel korzystny dla umiejętności, a zarazem zaszczytny dla ich rodzinnych krajów.

Otóż teraz wiemy, dlaczego młody astronom William Emery znajdował się ostatnich dni stycznia 1854 roku nad brzegami Oranje, przy wodospadzie Morghadu.

## V. WIEŚ HOTENTOTÓW

Podróż w górę rzeki odbywała się z wielką szybkością. Wprawdzie w tym czasie rozpoczynała się pora dżdżysta, ale podróżnym, pomieszczonym wygodnie w kajutach, wcale nie dokuczały ulewy. Parowiec płynął wybornie, nie napotykając ani mielizn, ani skał podwodnych, a że nurt był słaby, więc statek mógł rąco sunąć pod prąd.

Brzegi Oranje wciąż zachwycaly oko czarowną panoramą. Lasy drzew najrzadszych i najrozmaitszych zmieniały się wciąż, a po wierzchołkach wyniosłych leśnych olbrzymów uwijały się stada przepysznie upierzonego ptactwa.

Niektóre knieje rozciągały się na kilka mil od brzegów, ocnionych wszędzie wierzbami płaczącymi. Miejscami widać było rozległe bezleśne przestrzenie. Były to wielkie równiny, zarosłe niezliczonymi kolokwintami<sup>45</sup>, z których zrywały się roje małych ptaszek o miłym głosie.

Świat skrzydlaty zadziwiał swoją rozmaitością. Buszmen wciąż zwracał nań uwagę Johna Murraya, wielkiego miłośnika wszelkiej zwierzyny. Wspólność zamilowań wnet obudziła wzajemną sympatię. Anglik, spełniając obietnicę pułkownika Everesta, ofiarował Mokumowi przepyszny, dalekonośny sztucer systemu Pauly'ego. Zbędne byłoby opisywać radość, jaką ten dar sprawił namiętnemu myśliwcowi.

Obydwa strzelcy rozumieli się bardzo dobrze. Jakkolwiek uczonego Anglika uchodził za najlepszego myśliwca na lisy w starej Kaledonii, to przecież z zajęciem, a nawet pewną zazdrością, słuchał opowiadań swego na wpół dzikiego kolegi. Jego oczy iskrzyły się, gdy Mokum wskazywał mu ukazujące się na krańcu lasu przeżuwacze, bawoły mierzące sześć stóp od grzbietu do ziemi, uzbrojone w czarne skręcone rogi, żyrafy pędzące niezgrabnym galopem w stadach po kilkanaście sztuk liczących, gnu, pół wołu, pół konia, gromady wielkich danieli o groźnych trójkątnych rogach. Spomiędzy gąszczów wypadały co chwila na przerywające je łąki stada rozmaitych antylop, gazeli, kóz, którymi roi się Afryka Południowa. Nie była to szalona pokusa dla tak zapalonego myśliwca jak John Murray? Czyż jego nudne wyprawy na szkockie lisy mogły iść w porównanie z łowami, jakich tutaj używał taki Cumming<sup>46</sup>, Andersson lub Baldwin<sup>47</sup>?

Wyznać należy, że towarzysze Murraya nie doznawali takich jak on wzruszeń na widok tego ogromu zwierzyny. William Emery studiował z wielką uwagą swoich towarzyszy i starał się zbadać, co się kryło pod ich lodowatą powłoką. Pułkownik Everest i Mateusz

<sup>44</sup>Lacaille, Nicolas Louis de (1713–1762) — fr. astronom; w latach 1750–1754 dowodził wyprawą Francuskiej Akademii Nauk na Przylądek Dobrej Nadziei, gdzie katalogował gwiazdy pld. półkuli nieba i zmierzył pierwszy łuk południka w Afryce Płd. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>kolokwinta — arbus kolokwinta (*Citrullus colocynthis*), zwany też gorzkim jabłkiem, roślina z rodziny dyniowatych, mająca żółte, gorzkie owoce wielkości jabłka. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Cumming, właśc. Gordon-Cumming, Roualeyn George (1820–1866) — szkocki podróżnik i zapalony myśliwy, autor *Five Years of a Hunter's Life in the Far Interior of South Africa* (1850). [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Baldwin — Baldwin, William Charles (1826–1903), myśliwy, autor; opisał swoje wyprawy myśliwskie do Afryki Płd. (1852–1856). [przypis edytorski]

Strux, obydwaj niemal równego wieku, równo też byli powściągliwi, ostrożni i przestrzegający form. Rozmawiali z sobą z powolnością i można było co rano przypuszczać, że znali się zaledwie od wczoraj. Nie należało się spodziewać, ażeby kiedykolwiek zawiązały się między nimi jakieś poufalsze stosunki. Rzecz niezawodna, że dwa kawałki lodu położone obok siebie mogą wzajemnie przyłgnąć, ale nigdy dwaj uczeni zajmujący równe stanowisko w krainach nauki.

Mikołaj Palander, liczący lat pięćdziesiąt pięć, był jednym z tych ludzi, którzy nigdy nie byli młodzi, ale też za to nigdy się nie zestarzeją. Astronom z Helsingforsu, wiecznie zajęty swoimi rachunkami, mógł być genialnie urządzoną maszyną, pewnym rodzajem abakusa<sup>48</sup>, gatunkiem powszechnego rachmistrza, jednym z tych cudów, którzy w pamięci mnożą przez siebie kalkucyfrową liczbę i wyciągają pierwiastki sześcienne.

Michał Zorn tak wiekiem, jako i żywym usposobieniem, dobrym humorem zbliżał się do Williama Emery'ego. Te miłe przymioty nie przeszkadzały mu wcale być znakomitym astronomem i używać zasłużonej opinii. Poczynione przez niego odkrycia w przedmiocie mgławicy konstelacji Andromedy zjednały mu rozgłos po europejskich obserwatoriach, a z rzeczywistością zasługą łączył dziwną skromność i trzymał się prawie zawsze na boku.

William Emery i Michał Zorn powinni byli zostać przyjaciółmi: łączyły ich te same upodobania, te same dążności. Najczęściej rozmawiali ze sobą. W tymże samym czasie Everest i Strux obserwowali się nawzajem w milczeniu; Palander, nie zwracając bynajmniej uwagi na czarowne okolice, wyciągał w myśli pierwiastki sześcienne, a John Murray z Buszmenem układali plany olbrzymich łowów.

Podróż odbywała się bez najmniejszego wypadku. Niekiedy zbliżone ku sobie granitowe ściany łożyska zdawały się zagradzać dalszą drogę. Często lesiste ostrowy sterczące w pośrodku koryta zapowiadały niebezpieczne przejście, lecz pilot nie zawahał się nigdy; jednym skruceniem steru wyprowadzał statek na właściwy prąd, wymijał haki i mielizny, a sternik słuchał wskazówek Mokuma z wielkim zajęciem.

We czterech dniach szalupa przebyła przestrzeń dwustu czterdziestu mil angielskich, oddzielających wodospad Morgheda od wpadającego do Oranje Kurumanu, nad którym leży Lattaku. W osadzie tej wyprawa statku miała oczekiwać Everesta. W tym miejscu rzeka skręcała, zmieniając dotychczasowy kierunek z wschodu na zachód na południowo-zachodni; załom ten tworzył kąt ostry, stanowiący północną granicę Kolonii Przylądkowej; stąd znowu zwracała się ku północnemu zachodowi i ginęła w puszczech Republiki Transvaalu.

W dniu 5 lutego o wczesnym ranku parowiec wśród rześkiej ulewy dosięgnął stacji „Klaarwater”, osady hotentockiej, w pobliżu której Kuruman uchodzi do Oranje. Pułkownik Everest, nie chcąc tracić chwili czasu, przepłynął szybko obok kilku chat buszmańskich tworzących tę wieś i zwiększywszy liczbę obrotów śruby, wpłynął na Kuruman, posuwając się w górę rzeki z szybkością trzech mil na godzinę.

Wkrótce potem Mokum zwrócił uwagę oficerów na hipopotamy, znajdujące się w rzece w znacznej ilości. Te gruboskóre olbrzymy, które Holendrzy Kolonii Przylądkowej przewalali krowami morskimi, otyłe i ciężkie, a długie na dziesięć stóp, nie okazywały bynajmniej wojowniczego usposobienia. Szum płynącego parowca i pluskanie śruby płoszyły je. Znać szalupa wydawała im się jakimś nowym potworem, któremu nie było co dowierzać, i w samej rzeczy wobec zgromadzonego na niej straszliwego arsenału zbliżenie się do statku było dla nich niebezpieczne. Sir John Murray miał niepospolitą chęć posłania im kilku kul, lecz Buszmen zapewnił go, że w górze rzeki bynajmniej ich nie braknie, a szanowny dżentelmen zdecydował się oczekiwać na przyjaźniejszą łowom porę.

W pięćdziesięciu godzinach przebyto przestrzeń oddzielającą ujście Kurumanu od Lattaku, a w dniu 7 lutego o godzinie trzeciej po południu parowiec znalazł się na wysokości tej osady.

Skoro szalupa zarzuciła kotwicę, człowiek pięćdziesięcioletni, poważnego, lecz dobrotliwego oblicza, wstąpił na pokład, a spostrzegłszy sir Williama Emery'ego, podał mu rękę. Astronom przedstawił nowo przybyłego swoim towarzyszom mówiąc:

<sup>48</sup>abakus — daw. przyrząd do liczenia, deska z wyłobionymi rowkami na poszczególne grupy jednostek liczbowych, używany przez staroż. Greków i Rzymian, w Europie do XVIII w. [przypis edytorski]

— Wielebny Tomasz Dale, delegat towarzystwa misyjnego w Londynie, dyrektor stacji Lattaku.

Europejczycy powitali misjonarza, który pozdrowiwszy ich, ofiarował swoje usługi.

Miasto, a właściwie osada Lattaku, jest stacją misyjną wysuniętą najdalej na północ od Przylądka. Dzieli się ona na starą i nową. Stara, do której statek przybił, liczyła jeszcze na początku bieżącego stulecia przeszło dwanaście tysięcy ludności, która następnie wyemigrowała ku północnemu wschodowi. Miasto upadłe ustąpiło miejsca nowemu, zbudowanemu opodal na równinie porosłej niegdyś mimozami.

To nowe Lattaku, do którego udali się nasi Europejczycy prowadzeni przez Tomasza Dale'a, składało się z czterdziestu może gromad domów, zamieszkałych przez pięć do sześciu tysięcy ludności z plemienia Beszuanów.

W tym to mieście Dawid Livingstone przepędził trzy miesiące w 1840, zanim udał się w swoją pierwszą podróż w porzecze Zambezi, która miała go przenieść przez cały obszar środkowo-południowej Afryki. Wiadomo, że podczas tej podróży przebył nieznaną ziemię, począwszy od zatoki Loanda w Kongu aż do portu Kilman na wybrzeżach Mozambiku.

Po przybyciu na miejsce pułkownik Everest wręczył misjonarzowi list doktora Livingstone'a, polecający swemu przyjacielowi komisję naukową. Tomasz Dale, odczytawszy ten list z widoczną przyjemnością, zwrócił się ku naczelnikowi wyprawy, zapewniając, iż będzie się starał wszystko, czego by mogli od niego żądać, spełnić jak najlepiej. Imię Livingstone'a, znane i szanowane we wszystkich okolicach tej części Afryki, wywierało na nań magiczny wpływ.

Członków komisji pomieszczono w zakładzie misyjnym, w baraku obszernym i schludnie zbudowanym na wzgórzu, a otoczonym dokoła jakby twierdzą nieprzebytym żywopłotem. Europejczycy rozmieścili się tutaj daleko wygodniej, aniżeli mogli w budynkach Beszuanów. Nie dlatego, iżby mieszkania krajowców grzeszyły brakiem czystości. Przeciwnie, podłogi ich chat stanowi udeptana glina, na której pyłu dostrzec trudno, a zaopatrzone są w wyborne poszycie nieprzepuszczające kropli wody. Zawsze to jednak tylko chaty, do wnętrza których zamiast drzwi prowadzi okrągława dziura, niewygodna do wejścia. W chatach tych mieszka się wspólnie, a bezpośrednie zetknięcie z Beszuanami przyjemności sprawić nie może.

Naczelnik plemienia, nazwiskiem Mulibahan, uważał za swoją powinność złożyć Europejczykom uszanowanie. Człowiek ten dość przyjemny, niemający murzyńskich warg nabrzmiałych ani spłaszczonego nosa, twarzy pełnej, niezwięzonej u dołu jak u Hotentotów, ubrany był w płaszcz misternie ze skór uszyty oraz rodzaj fartucha, zwanego w języku krajowców *pukoje*. Na głowie nosił skórzaną czapkę, a na nogach sandały. Bransolety z kości słoniowej zdobiły jego ręce, przy uszach wisiały kolce z blachy miedzianej, będące zarazem kolczykami i amuletami. Od czapki spadał mu w tył ogon antylopy, a laskę zdobił pęk czarnych piór strusich. Naturalnej barwy ciała naczelnika Beszuanów nie można było rozpoznać spod grubej warstwy ochry, którą się wysmarował od stóp do głowy. Kilka nacięć na udzie, niedających się zatrzeć, wskazywało liczbę nieprzyjaciół położonych trupem przez Mulibahana.

Wódz Beszuanów, może jeszcze poważniejszy od Mateusza Struksa, zbliżał się kolejno do każdego z Europejczyków, biorąc ich za nosy. Operacja ta niezbyt przypadła do smaku Anglikom, poddawali się jej wszakże, gdy im powiedziano, że tym obrządkiem Mulibahan zapewnia ich uroczyste o swej przychylności i gościnnym przyjęciu.

Ukończywszy tę ceremonię, Mulibahan cofnął się, nie przemówiwszy słowa.

— A teraz, skorośmy otrzymali prawa obywatelstwa — rzekł Everest — nie traćmy chwili czasu i zajmijmy się naszymi czynnościami.

Wzięto się najgorliwiej do pracy, a ponieważ zorganizowanie tak znakomitej wyprawy wymaga wiele zachodu i pamięci o najmniejszych szczegółach, przeto komisja naukowa mogła wyruszyć w drogę dopiero z początkiem marca. Nie spóźniono się jednak wcale, bo właśnie czas ten wyznaczył pułkownik. W tej części roku kończy się pora deszczów, a nagromadzona podczas niej woda zapewniała podróżnym dostatek tego cennego artykułu w pustyni.

Wyruszenie w pochód wyznaczono na dzień 2 marca. W dniu tym cała karawana, oddana pod dowództwo Mokuma, była w pogotowiu. Europejczycy pożegnali misjonarzy z Lattaku i opuścili ich zabudowanie o siódmej z rana.

— Dokąd udajemy się, pułkowniku? — zapytał William Emery, gdy minęli ostatnie chaty osady.

— Prosto przed siebie, panie Emery — odparł pułkownik — aż do chwili, gdy znajdziemy miejsce dogodne do zbudowania bazy.

O godzinie ósmej karawana przybyła na szczyt płaskich wzgórz otaczających dokoła Lattaku, a stąd roztoczył się przed wędrowcami nowy widok: nieprzejrzana pustynia, kryjąca w swym głuchym i tajemniczym łonie niebezpieczeństwa, wypadki, trudy i cierpienia, jakie w przyszłości oczekiwały przybyszów.

## VI. POZNANIE SIĘ BLIŻSZE

Eskorta dowodzona przez Buszmena składała się ze stu ludzi. Byli to sami Bochjesmanowie, ród pracowity, łagodny, niekłótlivy, zdolny znosić największe trudy fizyczne. Niegdyś, przed przybyciem misjonarzy, ciż sami Bochjesmanowie byli kłamcami, niegościnnymi; szerzyli dokoła mordy i łupieżę i zwykle korzystali ze snu swych nieprzyjaciół, ażeby ich mordować. Misjonarze znacznie złagodzili ich dzikie obyczaje, wszelako nie mogli w zupełności oduczyc od pustoszenia osad i uprowadzania bydła.

Dziesięć wozów podobnych do owego, o którym wyżej wspominaliśmy, tworzyło tabor ekspedycji. Dwa spomiędzy nich, zbudowane na kształt wagonów zaopatrzonych w pewne wygody, służyć miały za mieszkania dla starszyny. Pułkownik Everest i jego towarzysze mieli tym sposobem pomieszkanię drewniane, z suchą podłogą, dobrze zabezpieczone pokryciem z płótna nieprzemakalnego od deszczu, a zaopatrzone w łóżka i przybory toaletowe. Skoro miano rozłożyć się obozem, wagon taki miał tę dogodność, że zaoszczędzał czasu potrzebnego do rozbijania zwykłych namiotów.

Jeden z tych wozów przeznaczony był do pomieszczenia Everesta, sir Johna Murraya i Williama Emery'ego, drugi dla Struksa, Palandra i Zorna. Dwa inne wozy urządzone na ten sam wzór, ale daleko prościej, przeznaczono dla majtków obu narodowości, po pięciu w każdym.

Rzecz prosta, że rozebrany na sztuki parowiec pomieszczono na dwóch wozach. W krainie tak obfitej w rzeki i jeziora, jak południowa Afryka, wyprawa miała je często napotykać. Statek więc mógł jej oddawać znakomite usługi.

Na pozostałych wozach umieszczone były narzędzia pomiarowe, żywność, pakunki podróżników, broń, amunicja, stoliki triangulacyjne, rewerbery<sup>49</sup> i mnóstwo najrozmaitszych instrumentów oraz rzeczy przeznaczone dla stu ludzi eskorty. Żywność Bochjesmanów głównie stanowił *biltong*, to jest mięso antylop, bawołów i słoni pokrajane w długie pasy i suszone na słońcu lub nad ogniem, które tym sposobem przyrządzone dawało się przechowywać miesiącami. Ten rodzaj przechowywania mięsa ma i tę korzyść za sobą, że zaoszczędza soli i jest bardzo użyteczny w krainach nieposiadających tej drogocennej przyprawy. Chleb zwykli Bochjesmanowie zastępować różnymi korzeniami, jak migdałami cibory, bulwami pewnych gatunków mesembriantów, figami krajowymi, kasztanami słodkimi, wreszcie rdzeniem pewnej odmiany zamii, zwanym tu zwykle chlebem Kafrów<sup>50</sup>. Zapasy tej roślinnej żywności znajduwane być miały na drodze. Pożywienia mięsnego dostarczać mieli należący do wyprawy myśliwcy, którzy umieli z nieporównaną zręcznością używać swoich huków i aloesowych *asagai*, to jest dziryków. Lasy pełne wszelkiej zwierzyny zapewniały obfitość świeżego mięsa.

Do każdego wozu zaprzęgano trzy pary wołów z rasy tutejszej, krajowej; długie nogi, wysokie łopatki i wielkie rogi cechują tę silną rasę; uprzęż cała zrobiona była z bawolich rzemieni. Same wozy przypominały swoją arcyprywatną budową dziecinne lata sztuki kołodziejskiej. Posuwały się bardzo wolno i ciężko na grubych kołach, ale za to były mocne i można było przebywać na nich najgorsze drogi, spadzistości i wyboje bez najmniejszej obawy.

Wierzchowce przeznaczone na użytek uczonej wyprawy pochodziły ze znanej rasy małych koników hiszpańskich, którą przed laty sprowadzono do Ameryki Południowej. Są to zwierzęta łagodne, wytrwałe, po największej części maści karej lub siwej, a dla

<sup>49</sup>*rewerber* (daw.) — lusterko przy lampie odbijające światło; także lampa z takim lusterkiem. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*Kafrowie* — daw. nazwa ludów Bantu ze wsch. części Afryki Płd., nadana im przez Arabów (ar. *kafir*: niewierny), używana w XVIII–XIX w. [przypis edytorski]



swych przymiotów bardzo cenione. Oprócz tego zebrano sześć kwagg<sup>51</sup>, zwierząt spokrewnionych z rodziną osłów, a maścią zbliżających się do zebry. Nogi ich cienkie, ciała zaokrąglone, a głos podobny do szczekania psów. Kwaggi te miały przenosić instrumenty geodezyjne na miejsca, gdzie by ich dowieźć nie było można.

Mokum wyjątkowo dosiadał osobliwszego wierzchowca, wzbudzającego podziw w sir Johnie Murrayu, wielkim znawcy i miłośniku koni. Była to prześliczna zebra, o białej sierści poprzerzynanej w poprzek brunatnymi pasami. Długość jej od pyska do ogona mierzyła stóp siedem, od ziemi do zadniego kłębu cztery. Zwierzę to, trwożliwe i niedowierzające z natury, bardzo rzadko daje się oswoić, ale Buszmen, sławny myśliwiec, nie tylko dokazał tego, lecz nadto potrafił je ujeździć.

Kilka psów, kształtem i długimi uszami przypominających wyżły europejskie, z rasy wpółdzikiej, którą tu niewłaściwie nazywają „hienami myśliwskimi”, biegło po bokach oddziału.

Taki był skład tej karawany mającej zapuścić się w głąb Afryki, a widok jej, ciągnącej się wierzchołkami wzgórz, przedstawiał zajmujący obraz. Woły kroczyły wolno, popędzane kolecem wolarzy.

Dokąd mieli się skierować z Lattaku?

— Pójdziemy wprost przed siebie — mówił pułkownik Everest, opuściwszy osadę.

Możemy zapewnić, że ani on, ani Mateusz Strux, drugi naczelnik, sami jeszcze nie wiedzieli, gdzie im wypadnie się udać. Do rozpoczęcia prac pomiarowych potrzeba było bowiem znaleźć obszerną równinę, o ile być może jak najrówniejszą, i należało na niej wymierzyć podstawę pierwszego z trójkątów, których siecią mieli pokryć część południowej Afryki na przestrzeni kilku stopni.

Pułkownik objaśnił Mokumowi, o co idzie, ale objaśnienia te nie na wiele się przydały. Uczony astronom, przywykły do terminów naukowych i zwyczajny posługiwać się nimi w potocznej rozmowie, prawil o triangulacji, kątach ostrych i rozwartych, o podstawie i prostopadłej, o wysokości zenitu, a prawil tak niezrozumiale i rozwlekle, że myśliwiec zniecierpliwiony, przerywając, zawołał:

— Pułkowniku, nie rozumiem ani jednego słówka; co mi tam po waszych zenitach i tym podobnych zwierzętach. Nie wiem nawet, po coście puścili się w głąb pustyni. Z wszystkiego jednak co słyszałem wnoszę, że tu idzie o jakąś wielką równinę, na której zamierzacie rozpocząć swoje obrządki. Bardzo dobrze, poszuka się i tego.

Na skinienie Mokuma karawana, która tylko co miała minąć wzgórze otaczające Lattaku, zaczęła się z nich spuszczać w kierunku południowo-zachodnim, to jest w krainę przetrzętą wodami Kurumanu. Buszmen spodziewał się w okolicach zraszanych tą rzeką znaleźć równinę odpowiednią do zamiarów Everesta.

Od tej chwili Mokum postępował na czele wyprawy. Sir John Murray, jadący na dobrym koniu, nie odstępował go na chwilę, a niekiedy rozlegający się wystrzał dawał znać, że szlachetny Anglik zaczynał zawierać znajomość z tutejszą zwierzyną. Pułkownik, zatopiony w myślach o przyszłych pracach komisji, zdał się na wolę konia i pozwolił się nieść, jak się zwierzęciu podobało. Mateusz Strux przesiadał się to na wóz, to na wierzchowca, był ciągle w ruchu, ale nikogo słówkiem nie obdarzył. Palander, nadzwyczaj lichy kawalerzysta, przykrzył sobie tę jazdę i po największej części maszerował pieszo, ale za to jego umysł wciąż pracował nad rozwiązywaniem najtrudniejszych zadań matematycznych.

Jeżeli noc rozdzielała Emery'ego i Zorna, zmuszonych przepędzać ją w osobnych sypialniach, to za to w dzień wynagradzali sobie to rozłączenie. Ci dwaj łodzi ludzie z każdym dniem zawierali ściślejszą przyjaźń, którą przygody wyprawy miały jeszcze silniej zespolić. Często oddalali się od głównego oddziału, to zbaczając, to wyprzedzając go, zwłaszcza w równinach, gdzie na odległą przestrzeń widzieć mogli ekspedycję. W takich chwilach czuli się niezmiernie swobodni w tych rozległych przestworach, wówczas inny świat rozwijał się przed nimi. Liczby, zagadnienia, obserwacje, rachunki, wszystko to pogubiwszy po drodze, rozmawiali o przedmiotach żywych i pięknych. Nie byli to dwaj astronomowie przykuci do lunety południkowej albo obliczający elementy jakiejś nowo

<sup>51</sup>kwagga — podgatunek zebry stepowej, żyjący w Afryce Płd. do XIX w.; od innych zebr odróżniała się występowaniem wzoru brązowych i białych pasów wyłącznie na przedniej części ciała; obecnie wymarłe. [przypis edytorski]

odkrytej asteroidy, ale jakby dwaj studenci używający rozkosznych wakacji. Przedzieranie się przez bory, wyścigi po rozległych równinach cieszyły ich jak dzieci; całą piersią wciągali orzeźwiający oddech przestrzeni. Śmiech serdeczny, zapomniany w obserwatoriach przy poważnej i żmudnej pracy, doścignął ich tutaj i wetował sobie lata stracone na przebywaniu z kometami i gwiazdami spadającymi. Z nauki bynajmniej nie szydzili, bo jeżeli kiedy niekiedy wymknął się któremu dowcipny żarcik z marmurowej powagi mędrców jadących na czele karawany, tobyś w nich cienia złośliwości nie dostrzegł. Dusze te młode, kochające, zdolne do uczuć, miłości, przyjaźni, poświęceń, dziwnie odbijały od zimnych naczelników Everesta i Struksa, z których nauka i słowa porobiły automaty, poruszane sprężynami powagi i chłodu.

Właśnie zajmując się rozmową o tych uczonych mężach, obydwaj udzielali sobie o nich objaśnień.

— Czy wiesz, kochany Williamie — mówił Michał Zorn — podczas naszej przeprawy z Europy przekonałem się, że oni sobie nawzajem zazdroszczą naczelnictwa naszej ekspedycji. Wprawdzie pułkownik nosi tytuł naczelnika, ale w warunkach umowy zastrzeżono wyraźnie stanowisko Struksa. Obydwaj są dumni i rozkazujący, ale rozdziela ich najgorsza ze wszystkich zazdrości: zazdrość nauki.

— Taka zazdrość w podobnej jak nasza wyprawie nie ma najmniejszego sensu — odparł Emery. — Tu właśnie jeden drugiemu winien jak najserdeczniej pomagać, bo wszyscy korzystamy z pracy każdego. Że uwagi twe są prawdziwe, jestem aż nadto przekonany, ale to rzecz smutna dla naszych zamiarów, bo trzeba jak największego porozumienia się, chcąc, aby tak trudne przedsięwzięcie uwieńczył pomyślny skutek.

— Masz największą słuszność, ale lękam się, by to porozumienie było możebne. Pomyśl sobie, co to będzie, jeżeli najmniejszy szczegół naszych prac, jak na przykład obranie podstawy, sprawdzanie obliczeń, rozmieszczenie stacji wywoła spory. Albo się myślę, albo też przeczuwam wzajemne szykany. Gdy przyjdzie do sprawdzenia prac dokonanych przez obie strony, gotowi się sprzeczać o jedną dziesiątą milimetra.

— Zastraszasz mnie, drogi Michale. Byłoby to fatalne, gdyby tak ważne zadanie miało się rozbić na drugim końcu świata o wzajemną zarożumiałość. Daj Boże, aby się twoje obawy nie sprawdziły.

— Pragnę, aby były płonne, lecz w czasie podróży przysłuchując się ich uczonym dysputom, niejednokrotnie miałem sposobność przekonać się, że obydwaj mają się za nieomylnych. A na dnie tego wszystkiego widzę żalostną zazdrość.

— Ależ ci dwaj panowie nie rozłączają się na jedną chwilę. Jeden bez drugiego się nie ruszy i może nawet więcej od nas dwóch przebywają z sobą.

— Tak jest, lecz spędzając całe dni razem, nie mówią do siebie. Czuwają wciąż nad sobą, szpiegują się nawzajem, a jeżeli jeden nad drugim nie weźmie przewagi, to nasze prace bardzo niefortunnie wypadną.

— A ty... — zagadnął z pewnym wahaniem się William — któremu z dwóch uczonych życzyłbyś ulegać?

— Mój drogi — odrzekł Zorn z szczerością — uznam prawowitym naczelnikiem tego, który zdoła nad drugim wziąć przewagę. W rzeczach naukowych nie mam uprzedzeń i nie znam narodowej miłości własnej. Mateusz Strux i pułkownik Everest są to dwaj znakomici ludzie. Jeden wart drugiego, a cały świat ucywilizowany ma prawo do owoców ich pracy. Mniejsza o to, który z nich będzie kierować wyprawą, byle tylko nam to korzyść przyniosło. Czyż nie jesteś tego samego zdania?

— Najzupełniej, mój przyjacielu. Nie dajmyż się więc zbić z toru niedorzecznymi przesądami, a w granicach naszych obowiązków zjednoczmy nasze siły dla dobra powszechnego. Może nam się też powiedzie odbijać razy, jakie na siebie będą wymierzali dwaj przeciwnicy. Ale, ale, a cóż w tym razie powie Palander?

— On? — zawołał, śmiejąc się Michał — on nic nie będzie wiedział, nic nie usłyszy i nic nie zrozumie. On się nie pyta, z kim i dla kogo liczy, byle tylko liczył. Jemu wszystko jedno czy Hiszpan, czy Chińczyk; nie ma żadnej narodowości i jest kosmopolitą. Ot i wszystko.

— Nie mógłbym tego powiedzieć o moim współrodaku Johnie Murrayu. Jego doświadczenie jest na wyrost Anglikiem, lecz jeszcze więcej jest zapamiętałym strzelcem, a więc

chętniej puści się na pole, którym pędzi żyrafa, niż na sporną wycieczkę naukową. Liczmy zatem tylko na własne siły, gdy przyjdzie zapobiec starciu dwóch zapaśników uczonych. Zbytecznym byłoby zapewniać się nawzajem, że cokolwiek wypadnie, będziemy się zawsze trzymać ze sobą wiernie i szczerze.

— Zawsze wiernie i szczerze, cokolwiek mogłoby zająć — odrzekł Michał, ściskając silnie dłoń przyjaciela.

Tymczasem wyprawa posuwała się wciąż naprzód, pod dowództwem i w kierunku wskazanym przez Mokuma.

W dniu 4 marca w południe wędrowcy nasi dosięgnęli południowo-zachodniego krańca łańcucha wzgórz, wzdłuż których odbywali podróż od czasu opuszczenia Lattaku. Myśliwy nie omylił się wcale, wyprowadził karawanę na równinę, ale równina ta była jeszcze zanadto falista, ażeby mogła być wzięta za podstawę triangulacji. Nie przestano więc posuwać się naprzód. Mokum stanął na czele jezdnych i taboru, zaś John Murray, William Emery i Michał Zorn znacznie go wyprzedzili.

Przy schyłku dnia karawana zatrzymała się przy stacji Burów, koczujących holenderskich osadników, którzy w miejscach obfitujących w paszę przebywają po parę miesięcy ze swoimi stadami.

Koloniści przyjęli nader gościnnie naszych podróżnych. Naczelnik licznej rodziny, Holender, nie chciał w zamian za swe usługi przyjąć najmniejszego wynagrodzenia. Gospodarz ten był jednym z owych ludzi odważnych, wstrzemięźliwych i pracowitych, którzy z małym kapitałem bogacą się z chowu bydła i kóz. Kiedy jedno pastwisko wyczerpie się, ludzie ci, na wzór patriarchów biblijnych, przenoszą się w inne miejsce, szukając żywności dla swego dobytku.

Kolonista wskazał pułkownikowi, gdzie ma się udać, ażeby znaleźć miejsce odpowiednie do rozpoczęcia prac geodezyjnych. Równina ta leżała o piętnaście mil angielskich od obecnego ich stanowiska.

Nazajutrz, 5 marca o świcie ruszono w dalszy pochód. Najmniejszy wypadek nie przerwałby spokojnego pochodu, gdyby nie to, że John Murray ubił z odległości tysiąca dwustu metrów osobliwsze zwierzę, mające pysk wołu, długi, biały ogon, a na czole dwa spiczaste rogi. Była to gnu, gatunek dzikiego wołu.

Buszmen podziwiał celność strzału, od którego zwierzę od razu padł trupem z tak ogromnej odległości. Zwierzę ten dochodził pięciu stóp wysokości, miał na sobie dużo wybornego mięsa i z tego powodu zalecono myśliwym karawany, aby na gnu szczególnie zwracali swe strzały.

Około południa dojechano do wskazanej równiny. Był to step rozciągający się ku północy bez granic, równy jak stół. Mokum, obejrawszy się wkoło, rzekł do Everesta:

— Pułkowniku, oto najpiękniejsza równina w tych stronach.

#### VII. PIERWSZA PODSTAWA TRIANGULACJI

Pracą naukową stanowiącą zadanie komisji było, jak wiadomo, zdjęcie triangulacji w celu wymierzenia jednego stopnia południka ziemskiego. Zmierzenie jednego lub kilku stopni południka za pomocą metalowych przymiarów kładzionych jeden za drugim byłoby wadliwe, bo brakowałoby mu ścisłości matematycznej. Trudnoż i znaleźć równinę płaską zupełnie, a mającą kilkaset mil kwadratowych powierzchni, jaka jedynie mogłaby się nadać do podobnego pomiaru. Na szczęście istnieje inny sposób mierzenia, a do tego daleko dokładniejszy: dzielenie całego regionu, przez który ma przechodzić linia południkowa, na pewną liczbę trójkątów, których obliczenie jest szybsze i łatwiejsze.

Trójkąty te otrzymuje się, celując za pomocą teodolitu, narzędzia astronomicznego służącego do mierzenia kątów, ku punktom wyniosłym, jak na przykład końce wież, tyki albo trójkąty piramidalne z drzew, zwane celownikami. Trzy takie punkty stanowią trójkąt, którego kąty oblicza się wybornymi instrumentami z matematyczną ścisłością. W lunetach do patrzenia na wspomniane punkty znajdują się przed szklami wewnątrz przeciągnięte włosy, ułożone w kratkę. Tym sposobem można wyznaczyć trójkąty mające boki na kilka mil i więcej długości. Tym sposobem Arago połączył brzegi Walencji z Wyspami Balearskimi, otrzymując ogromny trójkąt, którego bok na wspomnianej przestrzeni wynosił przeszło 82.555 sążni francuskich (*toise*).

Wiadomo z geometrii, że dla obliczenia powierzchni trójkąta dość jest znać długość jednego boku i miarę kątów przylegających do niego. Z danych wiadomą jest wartość trzeciego kąta, a długość dwóch pozostałych boków bardzo łatwo obliczyć. Biorąc jeden z boków tego trójkąta za podstawę i pomierzwszy kąty doń przyległe, otrzymuje się nowy trójkąt i tak postępując wciąż dalej, prowadzi się pomiar aż do granic łuku, który postanowiono wymierzyć. Za pomocą tej metody otrzymuje się długości wszystkich linii prostych zawartych w sieci trójkątów, a przez szereg obliczeń trygonometrycznych łatwo wyznaczyć wielkość łuku południka, który przechodzi przez sieć trójkątów pomiędzy dwiema końcowymi stacjami.

Powiedzieliśmy, że powierzchnię trójkąta, w którym długość jednego boku i wartość dwóch przyległych mu kątów jest znana, obliczyć łatwo. Otóż pomiaru obydwóch kątów za pomocą teodolitu łatwo dokonać, lecz wymierzenie linii, którą ma się obrać za podstawę pierwszego trójkąta, a więc całego systemu, jest najtrudniejszym zadaniem, bo potrzeba je uskutecznić na ziemi z niesłychaną ścisłością.

Kiedy Delambre i Méchain wymierzali południk przecinający Francję od Dunkierki do Barcelony, mieli za podstawę pierwszego trójkąta kierunek prosty na gościńcu biegnącym z Melun do Lieusaint, w departamencie Sekwany i Marny. Postawa ta miała dwanaście tysięcy pięćset metrów, a na jej wymierzenie potrzeba było czterdziestu pięciu dni. Jakich sposobów użyli oni dla otrzymania pomiaru ściśle matematycznego, dowiemy się z czynności pułkownika Everesta i Mateusza Struksa, którzy trzymali się metody dwóch wspomnianych astronomów francuskich. Zobaczymy, jak daleko należało zachować tę ścisłość.

Pierwszą pracę geodezyjną przedsięwzięto zaraz 6 marca, ku ogromnemu zdziwieniu Mokuma, który nic a nic nie rozumiał, o co idzie. Zdawało mu się, że uczeni robią sobie jakąś zabawkę, mierząc ziemię liniami na sześć stóp długimi, przytykając ich końce kolejno. Wiedział tylko tyle, że mu polecono wyszukać równinę jak najrówniejszą, toteż ją odszukał.

Miejsce w istocie było doskonale wybrane do wymierzenia prostej podstawy. Pokryta suchą i niską trawą równina rozciągała się aż do granic widnokregu i była jakby umyślnie wyrównana. Niezawodnie Delambre i Méchain nie mieli tak gładkiej powierzchni na rzeczonym gościńcu. W tyle naszych mierniczych równina ta podnosiła się, tworząc wzgórza stanowiące od południa granicę pustyni Kalahari; ku północy wydawała się bezgraniczna; na wschód kończyła się łagodnym stokiem w pagórki otaczające Lattaku.

Ku zachodowi równina jeszcze bardziej obniżała się i tworzyła moczary; wody stojące, którymi grunt był przesiąkły, podsycaly rzekę Kuruman.

Mateusz Strux, rozpatrzywszy się po całej okolicy, odezwał się do Everesta:

— Pułkowniku, mniemam, że skoro obierzemy stałą podstawę, będziemy mogli tutaj wyznaczyć końcowy punkt naszego południka.

— Podzielę w zupełności szanowne zdanie pańskie — odrzekł Anglik — jak tylko wyznaczymy ściśle długość tego miejsca. Zanim przeniesiemy ją na kartę, trzeba będzie rozpatrzyć się dobrze, czy łuk ten w dalszym przeprowadzeniu nie napotka niemożliwych do przewyżczenia przeszkód, które by przerwały nasze prace geodezyjne.

— Nie przypuszczam, ażeby podobne przeszkody istniały — odparł Strux.

— Ha, zobaczymy — mówił Anglik. — Zmierzymy najpierw podstawę w tym miejscu, tak przydatnym do tej czynności, a potem rozważmy, czy nam będzie dogodnie połączyć ją szeregiem trójkątów pomocniczych z siecią trójkątów, przez które przechodzić ma łuk południka.

Po zgodzeniu się na to rozpoczęto natychmiast mierzenie podstawy. Czynność ta miała zabrać dużo czasu, gdyż uczona komisja postanowiła wykonać pomiar z jak największą ścisłością. Członkowie jej postanowili dokładnością swej pracy przewyższyć poprzedników, którzy wymierzali z Melun podstawę swego pierwszego trójkąta; a przecież praca tamtych astronomów była tak dokładna, że przy wyznaczeniu nowej podstawy koło Perpignan, na południowym krańcu Francji, a więc na przeciwległej granicy, w zdejmowanej przez nich triangulacji na długości trzystu trzydziestu tysięcy sążni francuskich znaleziono zaledwie jedenaście cali różnicy pomiędzy miarą otrzymaną bezpośrednio a miarą wynikłą z obliczeń matematycznych.

Przed rozpoczęciem prac należało się urządzić w nowej siedzibie. Everest wydał stoworne rozkazy i w krótkim czasie w tej pustej okolicy powstała jakby nowa wieś, niby hotentocka osada, w języku krajowców zwana *kraalem*. Porozstawiano wozy na sposób domów mieszkalnych, ale tak, że po jednej stronie stały wozy trzech Anglików, po drugiej Struksa, Palandra i Zorna. Środek pomiędzy dwoma grupami zajmował wspólny plac, a za resztą wozów ustawionych w półkole pały się konie i bydłęta pod strażą poganiaczy. Na noc wpędzano je w środek taboru, dla zabezpieczenia od napaści drapieżnych zwierząt, w tych okolicach południowej Afryki nader obfitych.

Mokum, niezający się na matematyce, ale za to myśliwiec znakomity, wziął na siebie zaopatrywanie karawany w świeże mięso. Sir John Murray, którego obecność przy pomiarach była niepotrzebna, gorliwie za to pomagał Nemrodowi. Zależało rzeczywiście na oszczędzaniu mięsa suszonego, a więc dziczyzna miała je zastąpić. Dzięki zręczności i niezmiernej wprawie w tropieniu i ściganiu zwierza, a gorliwości jego podkomendnych, nie zabrakło dziczyzny. Łowcy płądrowali okolice na kilka mil w krąg zaimprovizowanej osady, a echa wystrzałów, co chwila dobiegające do uszu pozostałych w obozie, świadczyły, że myśliwi nie tracą czasu na próżno.

Dnia 7 marca przystąpiono do pomiaru podstawy. Część przygotowawczą wykonali mieli dwaj najmłodszy astronomowie.

— W drogę, koleżko — zawołał wesoło Michał Zorn — oby bóstwo ścisłości matematycznej użyło nam swej potężnej opieki.

Prace rozpocząć należało od wytyczenia linii prostej mającej służyć za podstawę pierwszego trójkąta. Ponieważ grunt najrówniejszy był z południowego zachodu na północny wschód, przeto postanowiono linię prowadzić w tym kierunku, ażeby ją wytyczyć jak najprościej. Emery wbijał w pewnych odległościach paliki, zaopatrzone na górnych końcach w stalowe ostrza. Zorn, uzbrojony w lunetę, sprawdzał prostotę kierunku. Do tego celu służyła mu luneta, której obiektyw był w środku przedzielony na pół prostopadłe przeciągniętym włosem. Jeżeli więc włos ten był na jednej linii z cienkimi ostrzami stojących za sobą palików, to wytyczenie linii prostej było dobre.

Linie te, mające, jak już mówiliśmy, stanowić podstawę pierwszego trójkąta, wytyczono na przestrzeni dziewięciu mil angielskich, a pracę tę, cztery dni trwającą, młodzieńcy wykonali jak najdokładniej.

Następnie miano zmierzyć długość wytyczonej linii za pomocą sztabek metalowych, układanych jak najprościej jedna za drugą. Zdaje się, że to rzecz łatwa, a jednakże jakichże ona wymaga ostrożności, tym większych, że od niej głównie zależy dokładność triangulacji.

Oto metoda, jakiej się trzymano przy tym mierzeniu.

W dniu 10 marca z rana poustawiano na ziemi, na wytyczonej palikami linii prostej, drewniane podstawki. Było ich dwanaście, a każda spoczywała na trzech żelaznych śrubowatych nóżkach, długich na kilka cali. Nóżki te nie pozwalały podstawce się ześlizgnąć i utrzymywały ją w położeniu nieruchomym. Na podstawkach układano następnie drewniane listwy, bardzo starannie wygładzone, a zaopatrzone z obu boków w wystające brzeżki. Na tych dopiero kładziono metalowe sztabki będące właściwą miarą.

Na tak przygotowanych podstawkach, po umieszczeniu na nich drewnianych listewek, obaj naczelnicy komisji, Everest i Strux, przy pomocy Emery'ego i Zorna, zajęli się ułożeniem pierwszych sztabek. Mikołaj Palander stał nad nimi z papierem i ołówkiem w ręku, gotowy do notowania w podwójnym rejestrze liczb, które mu tamci mieli podawać.

Sześć sztabek metalowych, wyrobionych z jak największą dokładnością, służyć miało do pomiaru. Każda była długa na jeden dawny sążeń francuski (*toise*), szeroka na dwanaście, a gruba na dwa milimetry. Wykonano je z platyny, jako metalu opierającego się najsilniej i w każdej porze roku wpływem powietrza. Ale i platyna ulega wpływom temperatury i kurczy się przy oziębieniu, a przy rozgrzaniu przedłuża. Zmiany te długości należało brać w rachubę, więc też każdą ze sztabek zaopatrzone w metalowy termometr, urządzony na własności kurczenia się i rozszerzania metali przy zmianie temperatury. Każda też sztabka platynowa pokryta była drugą, zrobioną z miedzi, a nieco krótszą. Podziałka, umieszczona przy końcu linii miedzianej, miała wskazywać ściśle względne



wydłużanie się miedzi, co znowu pozwalało obliczyć bezwzględne rozciąganie się sztabki platynowej. Nadto za pomocą tejże podziałki można było wyznaczyć rozszerzenie się choćby nader nieznaczne sztabki platynowej. Z jaką dokładnością brano się do pracy, dość powiedzieć, że do podziałki zastosowano mikroskop pozwalający wyznaczyć ćwierć jednej stutysięcznej części sążnia francuskiego.

Sztabki platynowe tak układano na drewnianych listwach, ażeby koniec jednej nie przytykał do końca drugiej, gdyż trzeba było wystrzegać się najłżejszego nawet wstrząśnienia. Pułkownik Everest i Mateusz Strux pierwszą sztabkę sami ułożyli na listwach w kierunku wytyczonej linii prostej. O sto sążni od niej znajdowało się na paliku ostrze, niby cel, do którego miano się stosować. Każda sztabka miała na dwóch końcach cieniuchne stalowe sztyfty, wbite na samej jej osi. Otóż jeżeli dwa rzeczony sztyfty i ostrze palika zakryły się wzajem, to nie zбочono z kierunku linii prostej.

Emery i Zorn, położywszy się na ziemi, przekonali się, że tak było w istocie.

— Teraz — odezwał się pułkownik — trzeba wyznaczyć punkt, od którego rozpoczynamy nasz pomiar. Ten punkt wskaże nam nitka obciążona ołowiem, a dotykająca zewnętrznego końca pierwszej sztabki. Ponieważ nie ma w pobliżu góry, przeto nic nie odciągnie ciężarka pionu od ściśle prostopadłej<sup>52</sup>, a tak wyznaczymy bardzo dokładnie szukany punkt.

— Ścisłość zależy od tego — odezwał się Strux — ażeby wziąć także w rachubę połowę grubości nici dźwigającej pion.

— Ależ ma się rozumieć — odparł Everest.

Wyznaczono więc omawiany punkt z jak największą ścisłością i miano zacząć dalszą robotę, ale ułożenie sztabek metalowych jedna za drugą w kierunku linii prostej nie wystarczało jeszcze do ścisłych obliczeń. Należało nadto wziąć w rachubę ich położenie względem poziomu.

— Mniemam — zauważył znowu Everest — iż nie możemy wymagać, ażeby sztabki metalowe układane były w położeniu zupełnie poziomym.

— Któż by się o to kusił — odpowiedział Strux. — Wystarczy wyznaczyć ich położenie względem poziomu, a tego dokażemy za pomocą libelki<sup>53</sup>; tym sposobem wyznaczymy kąt nachylenia, który nam da porównanie długości mierzonej z długością rzeczywistą.

Ponieważ obydwie powagi naukowe zgodziły się na jedno, przystąpiono więc do pomiarzenia kąta nachylenia. Libelka na ten cel wymyślona składała się alidady<sup>54</sup> ruchomej, obracającej się około osi umieszczonej na wierzchołku węgielnicy<sup>55</sup>. Podziałka znajdująca się na niej wskazywała różnicę przez porównanie linii nieruchomej (mającej na sobie łuk dziesięciostopniowy z pięciominutowymi odstępami) z linią ruchomą alidady.

Libelkę ustawiono na platynowej sztabce i wyznaczono kąt nachylenia. W chwili gdy Palander zabierał się do obliczenia wynikłych stąd liczb, Strux zażądał, ażeby libelkę ustawić odwrotnie, gdyż tym sposobem da się skontrolować pierwsze obliczenie. Uwagę Struxa przyjęto bardzo dobrze i odtąd stosowano się prawie zawsze do jego doświadczonego rad.

Dotąd więc dokonano dwóch ważnych prac: wytyczono kierunek linii mającej tworzyć podstawę pierwszego trójkąta i zmierzono kąt jej nachylenia względem poziomu. Wyniki otrzymane z tych dwóch czynności Palander wpisał do dwóch odrębnych rejestrów, a wszyscy członkowie komisji stwierdzili prawdziwość tych liczb swymi podpisami na marginesie rejestrów.

Ale pozostało jeszcze dopełnić dwóch, niemniej ważnych czynności: to jest najpierw odnotować zmianę, jakiej uległa sztabka platynowa pod wpływem ciepła, a następnie jak najdokładniej wyznaczyć wymierzoną przez nią długość.

Pierwsza była łatwa do wykonania. Wystarczało na to obrachowanie różnicy pomiędzy sztabką platynową i miedzianą. Strux i Everest kolejno obserwowali tę różnicę przez

<sup>52</sup>nie ma w pobliżu góry, przeto nic nie odciągnie ciężarka pionu od ściśle prostopadłej — góra, jako obiekt dużej masy, znacząco przyciągałaby ciężarek, zmieniając kierunek nici. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>libella a. libela — przyrząd pomiarowy do wyznaczania małych kątów pochylenia prostych lub płaszczyzn w stosunku do poziomu lub pionu. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>alidada — ruchoma, górna część instrumentu geodezyjnego, w postaci ramienia lub koła z podziałką, mogąca obracać się względem dolnej części. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>węgielnica — przyrząd geodezyjny i murarski służący do wyznaczania lub sprawdzania kąta prostego; tu w postaci kątownika. [przypis edytorski]

mikroskop, a obserwacja ta wskazała absolutną wartość zmiany długości sztabki platynowej. Zmianę zapisano w rejestrach, a później miano ją zredukować do temperatury  $+16^{\circ}\text{C}$ . Otrzymane cyfry także potwierdzili członkowie komisji podpisami swymi na marginesie rejestrów.

Szło wreszcie o wyznaczenie długości wymierzonej przez sztabkę platynową. Aby spełnić to zadanie, Everest położył na listwie drewnianej drugą platynową sztabkę w przedłużeniu pierwszej, ale tak, aby ich końce nie stykały się ze sobą. Następnie najmłodszy członkowie komisji sprawdzili, czy cztery sztyfty sztabek znajdują się na jednej linii i czy padają także na ostrze palika.

Na koniec trzeba było wymierzyć przerwę pozostawioną pomiędzy dwoma końcami sztabek. Na końcu pierwszej sztabki, w miejscu gdzie sztabka miedziana nie pokrywała platynowej, znajdował się języczek platynowy, dający się za lekkim dotknięciem tam i na powrót posuwać między dwoma rowkami. Pułkownik posunął ten języczek aż dotknął następnej sztabki. Znajdowała się na nim podziałka na dziesięciotysięczne części toaza, a że skala umieszczona na jednym z rowków, a opatrzona mikroskopem, pokazywała stutysięczne części tegoż sążnia, można więc było przerwę zostawioną pomiędzy dwoma sztabkami wyznaczyć z matematyczną ścisłością. Liczbę stąd otrzymaną wpisano w rejestry i potwierdzono, podobnie jak otrzymane pierwiej.

Dla otrzymania wyników jak najdokładniejszych przyjęto następującą uwagę Zorna:

Wiadomo, że sztabka miedziana pokrywała platynową. Otóż pierwsza, leżąca na wierzchu, była bardziej wystawiona na działanie promieni słonecznych, a tym samym rozgrzewała się i rozszerzała więcej. Ażeby zaś tego uniknąć, przykryto obie sztabki wysokim na kilka cali daszkiem, w ten sposób, iżby nie przeszkadzał obserwacjom. Wreszcie ponieważ z rana i nad wieczorem promienie słoneczne padały ukośnie i dostawały się pod daszek, przeto urządzono jeszcze zasłonę płócienną, zakrywającą sztabki z boku od strony słońca.

Podobne czynności uczeni wykonywali z niezmordowaną cierpliwością i pedantyczną dokładnością przez cały miesiąc. Skoro cztery sztabki ułożone dały rezultaty liczbowe, pod czterema powyżej wymienionymi okolicznościami jak najdokładniej sprawdzone i zapisane, rozpoczynała się na nowo ta sama praca z czterema następnymi sztabkami. Mierniczowie musieli przenosić podstawki i listwy, ustawiać je na przedłużeniu poprzednich, a pomimo wprawy i zręczności mierzących, robota posuwała się arcywolno i nie wymierzano więcej dziennie jak dwieście do trzystu sążni. Nieraz, gdy powstał silny wiatr i wstrząsał podstawkami, musiano przerywać pracę.

Na trzy kwadrans przed zachodem słońca astronomowie zaprzestawali pomiaru i przygotowywali pracę na dzień następny za pomocą następujących czynności.

Sztabkę oznaczoną numerem pierwszym układano tymczasowo, a na gruncie oznaczano punkt, w którym miał przypaść jej koniec. W miejscu tym robiono w ziemi dziurę, w której umieszczano palik z przymocowaną ołowianą płytką. Następnie nadawano pierwszej sztabie stałe położenie, a po zapisaniu nachylenia, zmian długości pochodzącej ze zmiany ciepłoty i kierunku, zapisywano przedłużenie linii, wymierzone sztabką oznaczoną numerem czwartym. Potem za pomocą pionu przedni kraniec pierwszej sztabki oznaczano kreską na płycie ołowianej palika. Przez ten punkt starannie wytyczano dwie linie pod kątem prostym: jedną wyznaczającą kierunek podstawy, a drugą w kierunku prostopadłym. Przy zachowywaniu przytoczonych ostrożności, gdyby nawet przez jakiś wypadek narzędzia zostały poruszone w nocy, nie potrzebowano roboty rozpocząć od początku na nowo.

Nazajutrz odkrywszy płytkę, mierniczowie układali sztabkę w położeniu tym samym, w jakim znajdowała się poprzedniego dnia przy zamknięciu robót, a to za pomocą pionu, którego czubek musiał padać dokładnie na punkt przecięcia dwóch linii.

Oto prace, jakimi nasi uczeni zajmowali się przez trzydzieści trzy dni na równinie tak przyjaznej rozpoczęciu pomiaru. Rzecz prosta, że wszystkie obliczenia zapisywano jak najsumienniej i stwierdzano podpisami.

Pomiędzy dwoma naczelnikami wyprawy zachodziły niekiedy maleńkie spory. Najczęściej przy odczytywaniu cyfr na podziałce wszczyniała się delikatna sprzeczka o cztery stutysięczne sążnia. Wymieniali wówczas pomiędzy sobą kilka słów słodko-cierpkich, lecz gdy kwestia sporna poddana pod głosowanie wszystkich członków komisji przeszła większością głosów, oponent musiał ustąpić.

Jedna tylko kwestia wywołała spór tak żywy, że dopiero wdanie się sir Johna Muraya położyło mu koniec. Poszło im o długość, jaką miała mieć podstawa pierwszego trójkąta. Rzecz jasna, że im podstawa będzie dłuższa, tym kąt jej przeciwległy bardziej rozwarty, a więc łatwiejszy do zmierzenia. Nie sposób jednak było przedłużać podstawy do nieskończoności. Everest proponował, ażeby obrac podstavę długą na sześć tysięcy francuskich sążni, czyli aby miała tę samą długość, jak przyjęta przez Delambra i Méchaina na drodze pod Melun. Mateusz Strux żądał, aby ją przedłużyć do dziesięciu tysięcy sążni, gdyż równina na to dozwalała.

W kwestii tej Everest był nieugięty. Strux postanowił także nie ustępować. Po wyczerpaniu obustronnych argumentów, mniej lub więcej słusznych, zaczęto robić osobiste przytyki. Nie był to już spór dwóch uczonych mężów, ale sprzeczka dwóch cudzoziemców, spierających się o pierwszeństwo swoich narodowości. Na szczęście słota przerwała to zajście, umysły ochłonęły, a komisja postanowiła większością głosów, że podstawę przyjmą na osiem tysięcy sążni długą, i tym sposobem waśń się zakończyła.

Krótko mówiąc, roboty prowadzono z wielką ścisłością i pomyślnym skutkiem. Ażeby ich rzetelność sprawdzić z matematyczną ścisłością, komisja postanowiła zmierzyć drugą podstawę, na północnym końcu południka.

Podstawa ta, bezpośrednio zmierzona, wynosiła osiem tysięcy trzydzieści siedem sążni i siedemdziesiąt pięć setnych. Od niej miała się poczynać i na niej opierać się trójkątów, którą uczeni zamierzali pokryć Afrykę Południową na przestrzeni kilku stopni.

#### VIII. POŁUDNIK DWUDZIESTY CZWARTY

Wymierzanie podstawy zabrało czterdzieści pięć dni. Rozpoczęto pracę dnia 6 marca, a skończono 13 kwietnia. Zaraz potem astronomowie wzięli się do rozpoczęcia triangulacji.

Przed wszystkim należało wyznaczyć szerokość południowego punktu, od którego zaczynał się łuk południka, jaki miano wymierzać. Podobną czynność należało potem ponowić na punkcie kończącym tenże łuk na północy, a z różnicy obu szerokości obrać liczbę stopni mierzonego łuku.

W dniu więc 14 kwietnia rozpoczęto jak najściślejsze obserwacje w celu wyznaczenia szerokości miejsca. Już poprzednich nocy, w czasie zawieszenia robót dziennych około wymierzania podstawy, William Emery i Michał Zorn zmierzili wysokość wielu gwiazd kołem powtarzającym<sup>56</sup> Fortina. Młodzi ci ludzie wykonali tę pracę z taką ścisłością, że odchylenia, wynikające zapewne z różnego stopnia odbicia, stosownie do gęstości różnych warstw atmosfery, nie przekraczały dwóch sekund kątowych.

Z tak drobiazgowo wykonanych badań okazało się, że punkt południowego końca łuku leży pod 27,951789 stopnia szerokości południowej.

Mając szerokość, przystąpiono do obliczenia długości wschodniej, znaleziony punkt przeniesiono na mapę Afryki Południowej, sporządzonej na wielką skalę. Mapa ta obejmowała wszystkie najnowsze odkrycia dokonane w tej części stałego lądu, były na niej narysowane drogi przebyte przez podróżników i naturalistów takich jak Livingstone, Anderson, Magyar, Baldwin, Burchell, Vaillant, Lichtenstein. Szło o wybranie na karcie tej południka, który miano wymierzyć pomiędzy dwiema oddalonymi stacjami, tak, aby południk ten zawierał w sobie dostateczną ilość stopni. Łatwo pojąć, że im ten łuk będzie więcej zawierał stopni, czyli im będzie dłuższy, tym będzie łatwiej zmniejszać wpływ możliwych błędów popełnianych przy mierzeniu. Południk zmierzony pomiędzy Dunkierką i Formenterą wynosił stopni 12, minut 22, sekund 13 i 5 tercji<sup>57</sup>.

Otóż w zamierzonej przez uczoną komisję triangulacji należało wybrać południk z jak największą przezornością; unikać zatem przeszkód naturalnych niemożliwych do przebycia, jak na przykład niedostępnych pasm gór, szeroko rozlanych wód, które by mogły wstrzymać pochód karawany. Szczęśliwym trafem ta część Afryki wybornie nadawała się do tego rodzaju prac. Wzgórza tam były łagodne i niewysokie, rzeki wąskie i łatwe do przebycia. Jeżeli czego należało się obawiać, to tylko niebezpieczeństwa, ale przeszkody

<sup>56</sup>kolo powtarzające (fr. *cercle répétiteur*) a. *kolo Bordy* — repetycyjny instrument geodezyjny wynaleziony w 1784 przez fr. konstruktora Étienne Lenoira, pracującego na zlecenie matematyka i inżyniera Jeana Charles'a de Bordy, który później ulepszył ten wynalazek; w 1806 usprawniony przez Jeana Nicolasa Fortina. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>tercja — tu: jedna sześćdziesiąta część sekundy kątowej. [przypis edytorski]

naturalne nie istniały.

Te obszary południowej Afryki zaległa w znacznej części pustynia Kalahari, ogromna przestrzeń, rozciągająca się na północ od Oranje aż do jeziora Ngami, pomiędzy dziewiętnastym a dwudziestym dziewiątym stopniem szerokości południowej, w kierunku zaś poprzecznym od Atlantyku na zachodzie do dwudziestego południka (według obserwatorium w Greenwich) na wschodzie. Tym to południkiem postępując w kierunku północnym, a trzymając się granic pustyni, Livingstone w roku 1849 dotarł aż do jeziora Ngami i do wodospadów Zambezi. Co do pustyni, nie zasługuje ona na tę nazwę w ścisłym słowa znaczeniu. Nie są to wcale równiny Sahary, nieprzejrzone równiny piaszczyste, jałowe i pozbawione roślinności, a z tego powodu niemożliwe do przebycia. Kalahari wydaje mnóstwo roślin, jej grunt pokrywają obfite bujne trawy, posiada obszerne zarośla i lasy o ogromnych drzewach, rojące się mnóstwem zwierzyny i drapieżnych, niebezpiecznych bestii. Mieszkają w niej stale lub prowadzą życie koczownicze liczne plemiona Bochjesmanów i Bakalaharisów. Ale przez znaczną część roku brakuje jej wody, a więc bardzo wiele potoków wysycha, a właśnie ten brak wody jest główną przeszkodą do zbadania jej wnętrza i osiedlenia się tutaj. W każdym jednak razie, w czasie rozpoczęcia wyprawy przez uczoną komisję tylko co skończyła się pora deszczów, a więc nie mieli powodu obawiać się braku wody.

Takich to objaśnień Mokum udzielił naszym wędrowcom. Znał bardzo dobrze krainę Kalahari, bo przebywał w niej często, już to jako myśliwy, już to jako przewodnik towarzyszący jakiejś wyprawie geograficznej. Tak Mateusz Strux, jak i pułkownik Everest zgodzali się na to, że ten rozległy obszar przedstawia wszelkie korzystne warunki potrzebne do dobrej triangulacji.

Pozostawało obrąć południk, na którym miano wymierzyć kilkustopniowy łuk. Czy południk ten miał się zaczynać od jednego z końców podstawy, przez co uniknięto by potrzeby łączenia jej za pomocą trójkątów z innym punktem pustyni Kalahari?

Okoliczność tę dokładnie roztrząsnięto, a po jej zbadaniu komisja uznała, że może przyjąć południowy koniec za punkt wyjścia. Południk ten był dwudziestym czwartym na wschód Greenwich; zajmował obszar siedmiu stopni, między dwudziestym a dwudziestym siódmym równoleżnikiem, a w przebiegu swym nie napotykał żadnej przeszkody, a przynajmniej na mapie wcale się nie znajdowały. Po długiej naradzie uczeni zgodzili się, ażeby przedsięwziąć pomiar łuku na dwudziestym czwartym południku, który w swym przedłużeniu przebiega przez południową Rosję. Korzyść to widoczna, gdyż można potem powtórzyć pomiar w Europie. Roboty więc rozpoczęto, a astronomowie zajęli się wyborem punktu, który miał być wzięty za wierzchołek pierwszego trójkąta.

Pierwszą stację obrano na prawo od południka. Było to odosobnione drzewo leżące na małym podniesieniu ziemi w odległości mniej więcej dziesięciu mil. Widać je było doskonale, tak z południowo-wschodniego, jak z północno-zachodniego końca podstawy, z punktów, na których pułkownik kazał wbić dwa pale. Astronomowie najpierw wymierzili kąt, który wymienione drzewo tworzyło z punktem południowego końca podstawy. Do pomiaru użyto koła Bordy, zastosowanego do prac geodezyjnych. Dwie lunety tego przyrządu były tak wymierzone, że oś optyczna jednej padała na północno-zachodni koniec podstawy, drugiej zaś na samotne drzewo, znajdujące się w stronie północno-wschodniej; ich rozsuniecie wskazywało odległość kątową rozdzielającą te dwa punkty. Zbyteczną rzeczą byłoby dodawać, że przyrząd ten, wyrobiony z osobliwą dokładnością, pozwala obserwującemu sprowadzać omyłki do najdrobniejszych rozmiarów. W samej istocie omyłki dają się wzajemnie kontrolować i znosić przez powtarzanie kilkakrotne pomiarów. Inne też instrumenty, jak podziałki, libelki, węgielnice, grundwagi<sup>58</sup>, przeznaczone do zapewniania przyrządom horyzontalnego położenia, nie pozostawiały nic do życzenia. Komisja posiadała cztery koła powtarzające. Dwa z nich służyć miały do obserwacji geodezyjnych, jak zdejmowanie kątów, które miano mierzyć; dwa pozostałe, z kołami ustawionymi pionowo, do obrachowywania wysokości gwiazd, a więc do wyznaczenia choćby w ciągu jednej nocy szerokości stacji z dokładnością do drobnego ułamka sekundy.

<sup>58</sup>*grundwaga* — prosty przyrząd do wyznaczania linii poziomej, trójkątna deseczka ze zwisającym z wierzchołka sznurkiem z ciężarkiem na końcu oraz z zaznaczoną rysą na środku przeciwległego boku. [przypis edytorski]

Przy pracy takiej doniosłości jak wymierzanie łuku południkowego nie dosyć było otrzymywać ściśłą wartość każdego kąta z tworzących trójkąt geodezyjny, ale nadto w pewnych przerwach mierzyć wysokość gwiazd w zenicie, wysokość dla każdej stacji odmienną.

Prace rozpoczęto 24 kwietnia. Pułkownik Everest, Michał Zorn i Mikołaj Palander obliczali wartość kąta, jaki koniec południowo-wschodni tworzył z drzewem, gdy tymczasem Mateusz Strux, William Emery i sir John Murray przenieśli się na koniec północno-zachodni dla wymierzenia kąta, który on tworzył z tym samym drzewem.

Podczas tych prac zwinięto obóz, zaprzężono woły, a karawana pod przewodnictwem Buszmena udała się w miejsce, gdzie znajdował się pułkownik i gdzie miano się znowu zatrzymać. Dwie kwaggi niosące narzędzia zostawiono przy astronomach.

Pogoda sprzyjała dotąd robotom, naczelnicy jednak postanowili, aby w razie, gdyby czas utrudniał zdejmowanie punktów, pracować w nocy, przy świetle rewerberów lub też światła elektrycznego, w które komisja była zaopatrzona.

Pierwszego dnia pomierzono dwa kąty; po starannym sprawdzeniu obliczeń zapisano je w podwójny rejestr. Wieczorem zgromadzili się wszyscy około drzewa, które służyło za celownik.

Był to ogromny baobab (*Adansonia digitata*), mający w obwodzie pnia osiemdziesiąt stóp<sup>59</sup>. Niezwykła barwa kory nadawała mu szczególny wygląd. Pod olbrzymimi konarami tego drzewa, którego rozłożyste gałęzie zamieszkiwała niezliczona ilość wiewiórek, nadzwyczaj lubiących jego jajowate owoce, zmieściła się cała karawana. W ciągu dnia myśliwi splądrowali okolice i ubili kilkanaście antylop. Kucharz osady zajął się ich przyrządzeniem, a wkrótce ponętna woń pieczystego poczęła drażnić powonienie uczonych mężów, rozbudzając szalony apetyt, na którym strudzonym całodzienną pracą wcale nie zbywało.

Po wieczerzy pokrzepieni astronomowie udali się do swoich sypialni, gdy tymczasem Mokum rozstawił czaty naokoło obozu. Dwa wielkie ogniska, podsycane uschłymi gałęziami baobabu, utrzymywano przez całą noc, a to w celu odstraszenia drapieżnych zwierząt, przywabionych wonią krwawego mięsa.

Po dwóch godzinach spoczynku William Emery i Michał Zorn wstali. Ich praca wymierzenia wysokości gwiazd nie była jeszcze ukończona. Chcieli znaleźć szerokość miejsca, na którym założono dzisiaj obóz. Obydwaj bez względu na wczorajsze trudy zasiedli przy lunetach. Ciszę nocy przerywało wycie hien podobne do ludzkiego śmiechu i grzmiący ryk lwa rozlegający się daleko w pustyni. Nie przeszkadzało to w pracy młodzieńcom; wyznaczyli bardzo ściśle zmianę zenitu, jaka zaszła z powodu przeniesienia stanowiska.

#### IX. KRAAL

Na drugi dzień, to jest 25 kwietnia, prowadzono bez przerwy roboty geodezyjne. Spod baobabu wymierzono lunety na dwa krańcowe punkty opuszczonej podstawy, ażeby sprawdzić, czy wczorajszy pomiar był dobry, następnie obrano dwa punkty, po prawej i po lewej stronie południka. Jednym miał być wyniosły pagórek, wznoszący się wśród równiny o sześć mil angielskich od obozowiska, drugim żerdź, wbita w odległości siedmiu mil.

W ten sposób prowadzono triangulację przez trzy tygodnie bez przeszkody. Do 15 maja astronomowie, po ustawieniu i obliczeniu siedmiu trójkątów, posunęli się o jeden stopień na północ.

Pułkownik Everest i Strux podczas tych prac bardzo rzadko ze sobą rozmawiali. Wdzieliśmy, że przy podejmowaniu prac na dwóch oddzielnych punktach rozdzielali się chętnie, pracowali prawie zawsze oddaleni od siebie o kilka mil, a rozdział ten chronił ich od sprzeczek, do jakich łatwo mogła ich przywieść miłość własna. Wieczorem, po powrocie do obozu, obydwoj udawali się do swych sypialni. Przy obieraniu stacji wszczynwały się wprawdzie często spory, ale nie dochodziło do groźniejszych zająć. Michał Zorn i jego przyjaciel nabierali otuchy, że dzięki ciągłemu rozdziałowi dwóch rywali prace geodezyjne będą przeprowadzone do końca bez wywołania zająć, które by mogło dwóch uczonych doprowadzić do zupełnego zerwania stosunków.

<sup>59</sup>ogromny baobab (...) mający w obwodzie pnia osiemdziesiąt stóp — Adanson w zachodniej Afryce mierzył baobab mający 26 metrów obwodu. [przypis autorski]



Dnia 15 maja obserwatorowie, jak powiedziano, przemieściwszy się o jeden stopień od południowego punktu południka, znajdowali się na równoleżniku Lattaku. Wieś ta położona była o trzydzieści pięć mil angielskich na zachód od ich obozowiska.

W miejscu tym założono świeżo obszerny kraal. Było to miejsce bardzo dogodne, a na wniosek Johna Murraya postanowiono wypocząć tu przez kilka dni. Dwaj najmłodsi uczeni mieli skorzystać z tej sposobności, aby dokonać pomiaru wysokości słońca. Palander z swej strony zajmował się redukcją, ażeby różne położenia celów wybieranych na wierzchołki trójkątów, a znajdujących się na rozmaitych punktach wzniesienia, sprowadzić do poziomu morza. John Murray także odbywał obserwacje, jednak ani tak mozolne, ani tak nudne, gdyż zamiast gwiazd na niebie lub punktów trygonometrycznych obserwował zwierzynę i nie teodolitem, ale ze strzelby do niej mierząc, bez wielkiego trudu zbierał owoce swej pracy.

Dzikie plemiona południowej Afryki nazywają kraalem rodzaj przenośnej osady, którą w miarę spasienia bydłem okolicy przenosi się w inną. Osada taka liczy zwykle około trzydziestu mieszkań i stu lub więcej mieszkańców.

Kraal, około którego zatrzymała się nasza wyprawa, utworzony był przez znaczną ilość szałasów rozłożonych w półkole po obu brzegach Kuramanu. Szalasy, wykonane z nieprzemakalnych plecionek z sitowia, które uczepiono do drewnianych słupków, wyglądały jak niskie ule. Otwory drzwi zasłonięte były skórą zwierząt, a tak niskie, że wchodziło się do środka na czworakach. Przez ten jedyny otwór wydobywał się na zewnątrz dym ogniska. Przebywanie w dymnej i ciasnej, pełnej wyziewów chacie dla Europejczyka było nieznośne, ale Bochjesmanowie i Hotentoci żyli tu rozkosznie.

Przybycie karawany poruszyło całą osadę. Psy, poprzywiązywane u wejścia chat, z zajądlnością szczekały. Wojownicy osady, zbrojni w asagaje, noże i maczugi, a chronieni przez skórzane tarcze, śmiało wystąpili naprzód. Było ich około dwustu, co wskazywało, że kraal był niepospolicie wielki; jakoż liczba szałasów dochodziła do osiemdziesięciu. Dodać należy, że całą osadę opasywał rodzaj żywopłotu, na pięć stóp wysokiego, z kolczastej agawy, który utrudniał przystęp zarówno wrogom, jak i dzikim zwierzętom. Z zachowania się wojowników kraalu wnieść było można ich nieprzyjazne usposobienie, lecz kilka słów, które Mokum szepnął naczelnikowi, wystarczyło do porozumienia. Naczelnik pozwolił karawanie rozłożyć się pod ogrodzeniem na lewym brzegu Kurumanu. Bochjesmanowie nie zabronili przybyłym paszenia koni i bydła, tym bardziej, że bujne pastwiska ciągnęły się na kilka mil wkoło. Zwierzęta należące do taboru mogły więc się paść do woli bez najmniejszego uszczerbku mieszkańców kraalu.

Wnet stosownie do rozporządzeń Mokuma rozbito obóz, zwykłym porządkiem ustanowiono wozy w półkole i każdy udał się do swej pracy.

Sir John Murray, pozostawiwszy swym towarzyszom paralaksy, aberracje i tym podobne awantury wymyślone na męczenie ludzi, postanowił nie marnować czasu i zaraz udać się na polowanie. Skinął na Mokuma, wskoczył na siodło swego ulubionego konia, a myśliwiec dosiadł zebry i obydwaj puścili się stepem. Trzy psy biegły obok łowców, szczekając radośnie. Strzelcy tym razem uzbrojeni byli w sztucery nabijane kulami eksplodującymi, co okazywało, że się wybrali na drapieżnego zwierza. O parę mil od kraalu rozciągał się nieprzebrany las, ku niemu więc skierowawszy wierzchowce, prowadzili żywą rozmowę.

— Przypominam ci, Mokumie — zaczął John Murray — że przy wodospadzie Morggheda obiecałeś zaprowadzić mnie w okolicę obfitującą we wszystkie rodzaje zwierza. A musisz i o tym wiedzieć, że nie dlatego puściłem się na drugi koniec świata, żeby strzelać sarny lub tropić lisy. Tego tałałajstwa i u mnie w domu nie braknie. Pragnę nim upłynie godzina zwalić...

— Nim godzina upłynie? — przerwał Mokum. — Och, mój panie, to troszeczkę za prędko. Przede wszystkim dobry myśliwiec powinien być cierpliwy. Ja jestem bardzo żywy, ale na polowaniu zachowuję wielką cierpliwość, a przez nią wynagradzam wszystkie niecierpliwości mego żywota. Przecież wielce szanowny pan jako znakomity myśliwiec powinien wiedzieć o tym, że polowanie na grubego zwierza jest jakby pewną gałęzią umiejętności. Trzeba przede wszystkim rozpoznać starannie miejsce, na którym ma się polować, znać dobrze obyczaje zwierza, zbadać ścieżki, którymi chodzi, obchodzić go całymi godzinami, aby mu zająć pod wiatr. Wszak musisz i o tym wiedzieć, że trzeba

podchodzić zwierzynę jak najciszej: jedno stąpienie na zeschniętą gałązkę, odezwanie się głośniejsze, spojrzenie nie w porę może ją spłoszyć. Mój panie, ja wzrosłem w lasach, przepędziłem trzy czwarte życia na polowaniach, a jednak przyznać się muszę, że jeżeli po trzydziestu sześciu godzinach tropienia bawołu lub koziorożca powiodło mi się go ubić, nie uważałem tego czasu za stracony.

— Bardzo dobrze, mój przyjacielu — zawołał John Murray — oddaję i siebie, i moją cierpliwość pod twe rozkazy. Pamiętaj jednak, że w tym miejscu zabawimy najdłużej cztery dni, więc nie będziemy mogli trawić dwóch dni na tropienie jednego bawołu.

— Zapewne, że warto się nad tym zastanowić — mówił Mokum tak spokojnym tonem, że nikt by w nim nie poznał owego niecierpliwego myśliwca, który nad wodospadem Morgheda nie mógł jednej chwili spokojnie dosiedzieć. — Zabijemy, co nam na strzał przyjdzie, ale wybierać nie będziemy mogli. Antylopa czy daniel, gnu lub gazela, każda zwierzyna dobra jest dla strzelca, któremu się tak spieszy.

— Antylopę lub gazelę! — krzyknął John. — Miałbym po to przybyć tak daleko, żeby strzelać gazele?

Po chwili jednak dodał, jakby pochlebiając staremu Nemrodowi:

— Powiedz no, mój dzielny strzelcze, co mi też zamyślasz wytropić na początek?

Buszmen spojrział na swego towarzysza w szczególniejszy sposób, a potem odezwał się z ironią:

— Do chwili, gdy wasza dostojność okażesz się zadowolony, nie mam nic do dodania. Sadzę, że teraz nie przyjąłbyś pan nic innego, jak partię nosorożców lub słoni.

— Myśliwczu — rzekł John Murray z rezygnacją — pójdę, gdzie mnie poprowadzisz, zabiję co mi każesz, ale na miłość boską, idźmy naprzód, ale nie marnujmy czasu na próżnych sporach.

Dwaj strzelcy, rozpuściwszy konie cwałem, pędzili szybko ku lasowi.

Równina, którą przebywali, podnosiła się łagodnie ku północnemu wschodowi. Porastały ją niezliczone kępy zarośli w pełnym kwitnieniu. Wydawały one obficie lepką, przezroczystą, wonną żywicę, z której krajowcy robią balsam gojący rany. Figi sykomorowe, zwane w języku dzikich *nuana*, rosły w kształcie klombów. Pnie ich, na trzydzieści do czterdziestu stóp wysokie, uwieńczone są w górze rozłożystymi gałęziami na podobieństwo parasoli. W gąszczu ich szczebiały gromady krzykliwych papug, lubiących zjadać owoce tych drzew. Nieco dalej rosły mimozy o żółtych liściach i srebro-drzewa powiewające jedwabistymi kitami, aloesy o długich kolcach i szkarłatnym kwiecie, które można było wziąć za krzewy koralowe, z przepaści morskich wydarte. Pośrodku pięknych amarylli, wdzięczących się niebieskawym liściem, szybko pędziły konie; w niespełną godzinę po opuszczeniu kraalu Murray i Mokum dosięgli pierwszych zarośli lasu. Była to przestrzeń obejmująca kilka mil kwadratowych, zarośnięta wysokimi akacjami. Niezliczone te drzewa, chaotycznie rosące, przez liściaste sklepienie gałęzi nie przepuszczały promieni słonecznych; knieja, podszyta odrostkami akacji i wysoką trawą. Pomimo to, rumak sir Johna i zebra Mokuma śmiało przerzynały drogę pomiędzy wciąż się krzyżującymi pniami. Tu i ówdzie znajdowały się obszerne polany, na których myśliwcy przystając, rozpatrywali się w otaczających je zaroślach.

Wyznać trzeba, że pierwszy dzień polowania wcale nie sprzyjał myśliwskim zachciankom szlachetnego lorda. Na próżno przebiegli znaczną przestrzeń lasu. Ani jeden zwierz nie wychylił się z gąszczów na jego spotkanie, a sir Johnowi przypominały się nieraz równiny szkockie, gdzie nie trzeba było tak długo oczekiwać sposobności celnego strzału. Być może, że sąsiedztwo kraalu odstraszyło płochą zwierzynę. Mokum nie doznawał ani uczucia zadziwienia, ani zawodu. Dla niego polowanie to nie było polowaniem, ale tylko szybką przejażdżką po lesie.

Około szóstej godziny wieczorem należało zawrócić ku domowi. Sir John był wielce rozdrażniony, choć się do tego nie przyznawał. Miałby tak znakomity myśliwiec powracać do domu z próżnymi rękami? Nigdy! Postanowił więc położyć trupem pierwszego lepszego zwierza, który mu się nasunie na strzał.

Znać los ulitował się nad biednym dzentelmenem, bo nagle spomiędzy zarośli wysunął się gryzoń z rodzaju zwanego w Afryce *Lepus rupestris*, jednym słowem zając, i przebiegł drogę myśliwcom w odległości pięćdziesięciu kroków. Sir John posłał eksplodującą kulę biednemu zwierzątku.

Polowanie

Mokum wydał okrzyk zgrozy! Strzelać kulą do lichego zajączka, któremu wystarcza średni śrut, to coś okropnego. Ale Anglik wcale nie zważał na to zgorzenie, lecz pędził co sił ku miejscu, gdzie spodziewał się znaleźć swą ofiarę.

Nadaremno! Z zająca ani śladu; parę kropelek krwi na trawie, ale ani kosmyka sierści. Sir John starannie przeglądał krzaki, trawy... Psy węszyły wśród gąszczów, wszystko na próżno.

— A przecież go trafiłem — mruknął sir John.

— W sam środek — odpowiedział spokojnie Buszmen. — Lecz, że go nie ma, nic w tym dziwnego. Kiedy się strzela eksplodującą kulą do zająca, można się tego spodziewać. Rozerwała go w szmaty i ani śladu nie zostało! ...

Anglik, zupełnie zawiedziony, dosiadł konia w milczeniu i ruszył ku obozowi, do którego przybył w najgorszym humorze.

Na drugi dzień Buszmen oczekiwał nowych propozycji myśliwskich od sir Johna, ale Anglik, srodze zadraśnięty w miłości własnej, starannie unikał jego spotkania. Zdawało się, iż zapomniał, że na świecie znajdują się strzelby i zwierzyzna, i zajął się sprawdzaniem cyfr i robieniem obserwacji wraz z innymi członkami komisji. Później poszedł do kraalu i przypatrywał się to strzelaniu z łuku, to Bochjesmanom, grającym na *gorah*, rodzaju lutni, której struny rozciągają się na drzewcu łuku, a na których nie gra się palcami, ale dmuchaniem przez pióro strusie. Dalej szedł pomiędzy kobiety i przyglądał się ich robotom gospodarskim albo śledził wpływ odurzającego dymu palących się *matakuanów*, to jest pewnego rodzaju tutejszych odurzających konopi, nad którym dzicy siedząc, upajają się. Niektórzy podróżni twierdzą, że dym tych roślin podnieca chwilowo siły fizyczne, ale za to osłabia umysłowe. I w samej rzeczy sir John zaledwie powstrzymywał się od śmiechu, patrząc na ogłupiałe fizjonomie krajowców zwieszane nad odurzającym dymem matakuanu.

Dopiero na trzeci dzień wcześniej rano Buszmen obudził Murraya, mówiąc do niego:

— Sądzę, iż nam dzisiaj szczęście posłuży, ale nie będziemy strzelać rozsadzającymi kulami do zająców.

Sir John udał, że nie rozumie tej ironii, lecz zerwał się z posłania, ubrał szybko i oświadczył, że jest gotów. Dwaj myśliwi już ujechali kilka mil lasu, gdy ich towarzysze spoczywali jeszcze w objęciach snu. Sir John był uzbrojony tym razem w pojedynkę, wyborną broń wyrobu Godwina, daleko stosowniejszą do polowania na daniela lub antylopy aniżeli straszliwy sztucer. Wprawdzie na równinie można było spotkać się z gruboskórnym lub mięsożernym zwierzęciem, ale pamięć niefortunego strzału kulą eksplodującą do zająca gryzła biednego myśliwca, a więc wolałby strzelić do lwa śrutem, aniżeli drugi raz w życiu popełnić czyn tak bezprzykładny w dziejach łowiectwa.

Sprawdziła się przepowiednia Mokuma: tego dnia szczęście im sprzyjało. Zabili dwie czarne antylopy, bardzo rzadkie i trudne do podejścia. Piękne zwierzęta, wysokie na cztery stopy, z długimi, zakrzywionymi w tył rogami. Pyski wąskie, z boków ścieśnione, raciczki czarne, sierść gęsta, jedwabista, uszy wąskie i spiczaste, nadają im wygląd arcydopowabny. Pierś i podbrzusze pokryte są włosiem śnieżnej białości, mocno odbijając od czarnego grzbietu, który porasta gęsta grzywa. Słowem, jest to jeden z najpiękniejszych okazów fauny południowej, który najslawniejsi myśliwi europejscy polujący w tych stronach najgoręcej pragnęli ubijać.

Zachwycenie Murraya z powalenia tak pięknej zwierzyzny przerwał Mokum, wskazując mu na krańcu kniei, w pobliżu wielkiego moczaru, świeże i głębokie tropy. Serce Anglika uderzyło gwałtownie.

— Czyje to tropy? — zapytał.

— Jeżeli jutro o brzasku zechce wasza wielmożność tu przybyć, to radzę nie zostawiać w domu sztucera.

— Skąd to wnosisz? — zagadnął Murray.

— Z tych świeżych tropów, wyciśniętych na tej podmokłej trawie.

— Ależ na Boga, czyje to tropy? A wreszcie, czyż te zakłębienia w istocie są tropami? Bo noga zostawiająca tak ogromne ślady musiałyby mieć co najmniej dwie stopy obwodu.

— Dowodzi to, że zwierzę posiadające takie nogi, musi mieć co najmniej dziewięć stóp wysokości w kłębie.

— To słoń! — krzyknął John Murray.

— Tak mi się widzi, i to słoń zupełnie dorosły.

— Więc jutro, Mokumie?

— Jutro, szlachetny panie.

Myśliwi zwrócili się ku obozowi, wioząc antylopy na grzbiecie wierzchowca Muraya. Te piękne zwierzęta, tak rzadko ubijane, obudziły podziw pomiędzy obozującymi. Wszyscy szczerze mu wieszowali zdobyczy, wyjąwszy Mateusza Struksa, który oprócz wielkiej niedźwiedzicy, centaury, koziorożca, smoka, pegaza, innej zwierzyny nie znał, a na ziemską nigdy nie polował.

Na drugi dzień o godzinie czwartej z rana dwaj myśliwcy, jak wrośli do siodeł, trzymając psy na sforach<sup>60</sup>, czatowali w cienistym gąszczu na przybycie stada gruboskórnych. Ze świeżych tropów poznali, że słońie przychodziły gromadnie do kałuży gasić pragnienie. Obydwaj strzelcy uzbili się w gwintowane sztucery nabite eksplodującymi kulami. Pół godziny upłynęło na czatowaniu, gdy nagle zaszeleściły gałęzie, a o pięćdziesiąt kroków zaczęło się coś w gąszczu poruszać.

Anglik pochwycił za broń, lecz Buszmen powstrzymał go za ramię i dał znak, aby miarkował swoją niecierpliwość.

Wkrótce ukazały się olbrzymie cienie. Słychać było jak gąszcze roztwierały się pod naciskiem ogromnych cielsk; drzewa trzeszczały, deptane krzaki z szelestem kładły się na ziemi; głośnie sapanie przedzierało się przez gałęzie. Było to stado słońi. Pół tuzina olbrzymich zwierząt, tylko nieco ustępujących wielkością swym indyjskim krewniakom, wolnym krokiem posuwało się ku kałuży.

Rozwidniający się coraz bardziej dzień pozwalał sir Johnowi podziwiać te potężne zwierzęta, szczególnie jeden ogromny samiec zwrócił jego uwagę. Jego wypukłe czoło rozkładało się pomiędzy dwojgiem niezmiernych uszu, spadających aż do piersi. Kolosalne rozmiary zwierza mrok jeszcze zwiększały. Słoń wywijał żywo trąbą ponad krzewami, a zakrzywionymi kłami uderzał w pnie drzew, jęczących pod tymi ciosami. Zdawało się, jakby zwierzę przeczuwało bliskie niebezpieczeństwo.

Buszmen, pochylwszy się ku sir Johnowi, szepnął mu do ucha:

— Czy podoba się panu ten kawaler?

Anglik skinął potwierdzająco.

— A więc postaramy się oddzielić go od stada.

W tej chwili słońie zbliżyły się do brzegu kałuży. Ich gąbczaste nogi lgnęły w błotnistym ile. Wciągały trąbami pewną ilość wody i wzniosłszy je z głośnym gulgotaniem, wlewały w gardziele. Olbrzymi samiec z wielkim niepokojem rozpatrywał się wkoło i wciągał z szaleństwem powietrze, pragnąc zwietrzyć jakiś podejrzaną wyziew.

Nagle Buszmen wydał krzyk szczególnego rodzaju. Spuszczone ze sfory psy, głośnie szcękając, wypadły z gąszczu i rzuciły się ku stadu słońi. Równocześnie Mokum, zaleciwszy swemu towarzyszkowi, aby się nie ruszał, spiął zębę i skierował ją tak, ażeby przeciąć odwrót słońiowi.

Polowanie

Wspaniały zwierzę nie myślał wcale uciekać. Sir John, trzymając palec na cynglu, obserwował go. Słoń, waląc trąbą w drzewo i wstrząsając gwałtownie ogonem, objawiał nie trwogę, ale znaki rozjuszenia. Dotąd jednak nie dostrzegł jeszcze wroga.

W tej chwili ujrzał Mokuma i psy i rzucił się ku nim.

Sir John, stojący o sześćdziesiąt kroków od zwierzęcia, skoro ten zbliżył się ku niemu o trzecią część tej odległości, dał ognia. Ale w chwili strzału słoń poruszył się, a kula przeszła tylko miękkie części ciała, nie napotkawszy przeszkody, o którą uderzenie mogłoby sprawić wybuch masy piorunującej.

Słoń rozjuszony przyspieszył biegu. Nie był to cwał, wystarczał jednak do prześcignięcia konia.

Koń sir Johna wspiął się i pomimo wszelkich usiłowań jeźdźca wypadł z gęstwiny. Zwierzę, najeżywszy uszy i wydając głos podobny do hasła trąbki, pędziło za nim.

Sir John uniesiony przez konia, ściskając go silnie kolanami, usiłował otworzyć odtylcówkę<sup>61</sup> i wsunąć w lufę nowy ładunek.

<sup>60</sup>sfora (daw.) — rzemień lub linka do prowadzenia psów gończych na polowanie. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>odtylcówka — broń myśliwska ładowana od tyłu (w odróżnieniu od dawniejszych ładowanych od przodu, przez wylot lufy). [przypis edytorski]

Tymczasem słoń zbliżał się ku niemu. Obydwaj znajdowali się na równinie. Jeździec ostrogami krwawił boki wierzchowca. Dwa psy tuż obok niego uciekały co tchu z przeraźliwym szczekaniem. Słoń był zaledwie o kilka sążni za koniem. Sir John słyszał jego ciężki oddech i świstanie trąby, którą wywijał w powietrzu. Co chwila spodziewał się, że go wyrwie z siodła ten żywy arkan.

W tej chwili koń przysiadł na zadzie, trąba uderzyła go w grzbiet. Zarżał boleśnie i rzucił się gwałtownie w bok. To uskokowanie ocaliło Anglika. Zwierz, uniesiony biegiem, przeleciał dalej, bijąc trąbą o ziemię, natrafił na psa, którego porwawszy w górę, wstrząsał z nieopisaną wściekłością.

Sir Johnowi pozostawał jedyny ratunek w lesie. Koń, jakby zrozumiałszy myśl pana, biegł tamże i w mgnienia oka minął już brzeg zarośli z nadzwyczajnym pędem.

Słoń opamiętał się i na nowo rozpoczął ściganie, unosząc wciąż nieszczęśliwego psa, któremu roztrzaskał łeb o pień drzewa. Koń rzucił się w gąszcz zagrodzony kolczastymi lianami i stanął.

Ale sir John pomimo zadrapań i pokrwawień ani na chwilę nie stracił przytomności. Z zimną krwią złożył się starannie, przez sieć powojów wymierzył dobrze sztucer pod łopatkę i strzelił. Kula, natrafiwszy na kość, wybuchnęła. Zwierz zachwiał się. W tej chwili z głębi lasu padł drugi strzał i ugodził w bok słonia. Zwierz przypadł na kolana tuż ponad małym stawkiem ukrytym w gęstwinie i wciągając trąbą wodę, zlewał nią swe ciężkie rany.

W tejże chwili ukazał się Buszmen, wołając:

— Mamy go! Mamy!

W samej rzeczy ogromny zwierz był raniony śmiertelnie. Wydając rozdzierające jęki, miotał się jeszcze; oddech stawał się coraz słabszy: ogonem bił coraz wolniej, a trąba skrapiała pobliskie krzewy purpurową ciecżą, czerpaną z kałuży krwi wypływającej spod słonia. Nareszcie zupełnie brakło mu sił, upadł, ażeby już więcej nie powstać.

Sir John wybiegł z zarośli. Kolce krzewów porozdzierały mu ubiór myśliwski w strzępy. Ale on byłby gotów okupić taki tryumf nawet własną skórą.

— Wspaniały zwierz! Pyszny zwierz, Buszmenie — zawołał, przypatrując się zwłokom słonia — chociaż nieco za ciężki do torby myśliwskiej.

— Nic nie szkodzi — odrzekł Mokum. — Potniemy go na części i zabierzemy co najprzedniejsze. Patrz pan — dodał — co to za przesłiczne kły, a toż każdy waży kilkanaście kilogramów. Licząc po dziesięć szylingów za kilogram, uzbiera się niezła sumka.

Tak rozprawiając, Mokum zabrał się do rozebrania zwierzka. Siekierą odciął kły i odjął tylko nogi i trąbę, twierdząc, że to najsmakowitsze części słonia, którymi zamierzył dzisiaj uraczyć członków komisji naukowej.

Czynność ta zajęła tyle czasu, iż myśliwcy mogli powrócić do obozu dopiero około południa.

Buszmen upiekł nogi słoniowe po afrykańsku: wykopał dół, wyłożył go kamieniami i nasypał żaru; kiedy się dostatecznie rozpałyły, obwinał mięso w liście i włożywszy między kamienie, przysypał ziemią. Tak przygotowane pieczone pozyskało powszechne pochwały, od których nawet zimny Palander wstrzymać się nie mógł i wybąknął:

— Wyborne!

## X. PRĄD

Przez cały czas pobytu w kraalu, pułkownik Everest i Mateusz Strux pozostali dla siebie zupełnie obcy. Znalezienie szerokości południowej zrobiono bez ich współudziału. Ponieważ kwestie naukowe nie wymagały wcale ich zejścia się z sobą, nie widywali się wcale. W przeddzień wyruszenia w dalszy pochód posłali sobie karty wizytowe z wzajemnym pożegnaniem.

Dnia 19 maja karawana, zwinawszy obóz, wyruszyła ku północy. Pomierzono kąty przyległe do podstawy ósmego trójkąta, którego wierzchołek stanowił cypel góry w odległości sześciu mil na lewo od południka. Pozostawało tylko dostać się do tego wzgórza, ażeby rozpocząć nową pracę geodezyjną.

Od 19 do 29 maja połączono przyległą okolicę z południkiem dwoma nowymi trójkątami. Rozumie się, iż robota odbywała się ze wszystkimi ostrożnościami, jakich użyto przy pomiarze pierwszego trójkąta. Prace postępowały pomyślnie, dotąd nie napotkano

nigdzie ważniejszej przeszkody. Ciągła pogoda sprzyjała pomiarom, a grunt nie przedstawiał żadnej nieprzewyciężonej trudności, ale być może, iż przez zbyt dużą równość nie był absolutnie przydatny do pomiarów. Był to jakby nieprzejrzany step zieleni, przecięty strumieniami płynącymi między rzędami *karrchutów*, drzew z kształtu liści podobnych do wierzby, których gałęzi Bochjesmanowie używali na łuki. Grunt ten, zasiany odłamami skał zwietrzałych, w których skład wchodziła mieszanina glinki, piasku i rudy żelaznej, w niektórych miejscach był bardzo jałowy. W miejscach takich niknęły wszelkie ślady wilgoci, a całą roślinność stanowiły pewne krzewy gumowe, zdolne oprzeć się największej suszy. Otóż na tej rozległej równinie nie widać było żadnego wzniesienia, które by można obrać za punkt trygonometryczny, uczeni więc musieli albo stawiać słupy lub też stawiać piramidy trójkątne, wysokie na dziesięć do dwunastu metrów. To pociągało za sobą stratę czasu i wstrzymywało postęp triangulacji. Po zrobieniu pomiaru musiano piramidę rozbierać i transportować ją o kilka mil dalej, a tam wznosić znowu wierzchołek nowego trójkąta. Ścisłe jednak biorąc, postępowanie to nie stanowiło znowu tak bardzo wielkich trudności. Załoga statku, do tej czynności użyta, wywiązała się z zadania bardzo zręcznie. Ludzie ci, dobrze obeznani, robili szybko i dobrze i zasługiwali na pełną pochwałę, gdyby nie pewien rodzaj zazdrości narodowej, która czasami siała między nimi ziarno niezgody.

W istocie zawiść nie do wybaczenia dzieliła dwóch naczelników wyprawy, Everesta i Struksa, podburzała także niekiedy majtków jednych przeciwko drugim. William Emery i Michał Zorn używali całej swej roztropności dla złagodzenia tych zgubnych objawów, ale nie zawsze się to udawało. Stąd powstawały spory, mogące pomiędzy tak mało okrzesanymi ludźmi jak majtkowie przerodzić się w oplakane zatargi. Pułkownik Everest i Mateusz Strux pośredniczyli w takich razach, ale w sposób jeszcze bardziej rozjątrający; każdy z nich bowiem ujmował się za swoimi, nie zważając, po czyjej stronie była słuszność. Od podwładnych spory przechodziły do przełożonych i, jak mówił Michał Zorn, „powiększały się proporcjonalnie do mas”.

We dwa miesiące po opuszczeniu Lattaku już tylko pomiędzy dwoma najmłodszymi członkami komisji panowała harmonia, tak potrzebna do pomyślnego ukończenia przedsięwzięcia. Sir John Murray i Mikołaj Palander, ludzie tak nieustannie zajęci, jeden swoimi cyframi, drugi przygodami łowieckimi, zaczęli się mieszać do tych wewnętrznych niezgód. Krótko mówiąc, pewnego dnia dyskusja stała się tak żywa, że Mateusz Strux uważał za obowiązek powiedzieć pułkownikowi:

— Racz szanowny panie nieco zniżyć głos, mówiąc do astronoma należącego do obserwatorium, gdzie znajduje się potężna luneta, za pomocą której przekonał się świat uczony, że tarcza Uranusa jest zupełnie okrągłą.

— A ja — odpowiedział pułkownik — mam najzupełniejsze prawo przemawiania głośniejsze, jako należący do obserwatorium w Cambridge, gdzie znajduje się potężna luneta, za pomocą której potrafią zaklasyfikować mgławicę Andromedy do mgławic nieregularnych.

Kiedy Strux posunął uszczypliwości aż do powiedzenia, że luneta jego obserwatorium, mająca soczewkę przedmiotową o czternastu calach średnicy, pokazuje bardzo wyraźnie gwiazdy szesnastej wielkości, wówczas pułkownik, odpłacając wzajemnością, odpowiedział dosadnie, że luneta w Cambridge ma soczewkę przedmiotową o czternastu calach i dwóch liniach średnicy i że za jej pomocą w nocy 31 stycznia 1862 roku odkryto tajemniczego satelitę, który był powodem zaburzeń w ruchach Syriusza.

No, jeżeli uczeni zaczynają sobie prawić podobne impertynencje, to o zbliżeniu się jakimkolwiek mowy być nie może. Zachodziła więc słuszna obawa, że z powodu tej nieuleczalnej rywalizacji przyszłość triangulacji może być zagrożona.

Na szczęście, spory odnosiły się dotąd wyłącznie do systematów i faktów geodezyjnych. Czasami miary zdjęte teodolitem lub kołem powtarzającym wywoływały dyskusję, ale nie gmatwały wcale obliczeń, lecz owszem, doprowadziły je do daleko większej ścisłości. Co do wyboru stacji, ani razu jeszcze spór o to nie zaszedł.

Dnia 31 maja pogoda dotąd prześliczna zmieniła się nagle. W każdej innej strefie można przepowiedzieć na pewno bliską burzę lub nawałnicę, lecz tutaj działo się inaczej. Niespodziewanie niebo pokryło się chmurami ciemnymi. Błyskawice bez grzmotu roz-

darły kilkakrotnie obłoki, ale zgęszczenie oparów w górnych strefach nie doprowadziło do deszczu i ziemi nadzwyczaj wyschłej ani kropla wody nie ożywiła. Niebo tylko pozostało przez kilka dni zachmurzone, a tumany mgły nie dozwoliły o milę nawet dojrzeć znaków triangulacyjnych.

Członkowie uczonej komisji, nie chcąc tracić czasu, postanowili ustawić światła, by pracować w nocy. Stosując się do rady Mokuma, przedsięwzięli pewne ostrożności dla zabezpieczenia się od napadu drapieżnych zwierząt, w samej bowiem rzeczy leśne bestie, przywabione światłem elektrycznym, zgromadzały się stadami naokoło stacji. Uszy astronomów po całych nocach rozdzierały skomlenia głodniałych szakali i wycia hien podobne do przeraźliwego śmiechu pijanych Murzynów.

Pierwsze te roboty nocne nie postępowały szybko. Nieustanny wrzask drapieżnych zwierząt wyjących naokoło, przerywany niekiedy grzmotliwym rykiem zapowiadającym obecność straszliwego lwa, mieszał i trwożył uczonych. Pracowali dokładnie, ale musieli niekiedy dwa i trzy razy jedną robotę powtarzać z powodu roztargnienia. Bo też potrzeba posiadać dziwnie zimną krew i panowanie nad sobą, żeby zdejmować kąty, celować lunetę i robić obliczenia przy podobnej muzyce, zwłaszcza gdy w niewielkiej odległości naokoło w cieniach nocnych przyświecają oczy rozżartych bestii. Uczonemu ciału nie zbywało jednak ani na odwadze, ani na zimnej krwi. Po kilku dniach przyzwyczaili się do nocnych serenad, odzyskali zupełnie pewność siebie, a prace ich w pośrodku mnóstwa dzikich zwierząt odbywały się z takim spokojem jak w sali obserwatorium. Zresztą naokoło pracujących porostawiano strzelców, którzy ubili kilka hien, zanadto chciwych nauki i pragnących, jak się zdaje, wyręczać znużonych astronomów. Zbyteczne byłoby dodawać, że John Murray sposób taki prowadzenia triangulacji uważał za cudowny. Podczas gdy oko jego utkwione w lunecie dopatrywało pożądanej gwiazdy, ręka ścisnęła sztucer godwinowski i zdarzało się, że pomiędzy dwoma obserwacjami kładł trupem szakala lub hienę.

Pochmurzenie więc nieba nie przerywało prac geodezyjnych, ani też umniejszało ich dokładności, a pomiar południka jak najregularniej posuwał się ku północy.

Pomiędzy 30 maja a 17 czerwca nie zaszedł żaden wypadek. Nowe trójkąty zakładano z pomocą sztucznych celowników. Jeżeliby do końca miesiąca jaka naturalna przeszkoda nie powstrzymała pochodu uczonych, to pułkownik i Strux spodziewali się pomierzyć nowy stopień dwudziestego czwartego południka.

W dniu 17 czerwca drogę zatamowała dosyć szeroka i bystra rzeka. Nie zakłopotalo to członków komisji, że będą zmuszeni przepłynąć się na drugą stronę. Posiadali kauczukową łódź, przeznaczoną wyłącznie do przebywania rzek i jezior mniejszych rozmiarów. Ale ani karawana, ani wozy, nie mogły przepłynąć się w czółnie. Należało więc poszukać brodu bądź w górze, bądź w dole rzeki.

Pomimo niejakiego sprzeciwu Mateusza Struksa zapadło postanowienie, aby Europejczycy wraz z instrumentami przepłynęli się przez wodę, zaś prowadzona przez Mokuma karawana miała się udać kilka mil w dół rzeki dla znalezienia brodu, który Buszmen spodziewał się odszukać.

Dopływ ten rzeki Oranje rozlewał się na pół mili szerokości. Jego wody toczyły się gwałtownie, rozbijając się o glazy i pnie drzewne sterczące w łóżysku, a były nieco niebezpieczne dla czółenka drobnych rozmiarów. Mateusz Strux zrobił w tym względzie kilka uwag, lecz nie chcąc, aby go posądzano, że lęka się niebezpieczeństwa, któremu jego koledzy śmiało stawili czoło, przyłączył się do zdania innych.

Spomiędzy członków komisji jeden tylko Palander miał pozostać przy karawanie. Nie dlatego, ażeby przezacny rachmistrz doznawał uczucia trwogi. Zanadto był zajęty cyframi, iżby mógł dostrzec niebezpieczeństwo. Lecz obecność jego nie była niezbędnie potrzebna przy wymierzaniu kątów, a zachodziła obawa, ażeby w zamyśleniu zamiast trójkąta nie zmierzył głębokości rzeki, przeto postanowiono zostawić go pod opieką Mokuma. Zresztą zbyt szczupłe czółno mogło pomieścić tylko pewną ograniczoną liczbę osób, należało zaś na jeden raz przewieźć osoby, instrumenty i nieco zapasów żywności. Ponieważ kierowanie czółnem na tak gwałtownym prądzie wymagało wielkiej wprawy, miejsce uczonego zajął jeden z marynarzy, którego umiejętność kierowania czółnem stokroć w tym razie była przydatniejsza, aniżeli cały ogrom wiadomości matematycznych czcigodnego Palandra.

Skoro wyznaczono punkt zborny na północnym brzegu Nosobu, karawana natychmiast ruszyła w dół rzeki lewym jej brzegiem. Wkrótce ostatnie wozy zniknęły z oczu pozostałych na brzegu. W czółno mieli wsiąść: pułkownik Strux, John Murray, Emery i Zorn; wiosłowanie powierzono dwóm najlepszym majtkom, ster jednemu z krajowców, obznajmionemu wybornie z przepławami przez swe ojczyste rzeki.

Pora deszczów niedawno minęła, strumienie i potoki uchodzące do Nosobu posiadały więc jeszcze znaczny zasób wody i dlatego rzeka była wzdęta. Podczas gdy majtkowie zajmowali się rozkładaniem łódki i spuszczeniem jej na wodę, Zorn odezwał się do Williama:

— Piękna rzeka, nieprawdaż?

— Prześliczna, ale piekielnie trudna do przepawy. Wezbrany potokom niewiele już pozostaje czasu, więc używają życia. Dzisiaj Nosob pędzi z szaloną gwałtownością, a za parę tygodni, w miarę przedłużania się pory suchej, w łóżysku nie pozostanie nawet tyle wody, ażeby napoić tabor naszej karawany. Podobny on do młodzieńca marnującego nieogłędnie siły fizyczne i umysłowe, nie przeczuwającego, że wkrótce może ich zabraknąć. Ale nie pora filozofować. Czółno już gotowe, a wcale nie gniewam się o to, że mam sposobność przekonać się, jak się też popisie nasz statek na tak gwałtownym prądzie.

Kilka minut zabrało rozpięcie czółna na wewnętrznych drewnianych ramach; majtkowie, ułożywszy podłogę na dnie, spuścili je na wodę. Łódka kołysała się lekko na fali obmywającej brzeg łagodnie spadzisty i jakby sztucznie wybrukowany głazami różowego granitu. Miejsce to, zasłonięte wybiegającym od brzegu cyplem, miało wodę spokojną, cichym nurtem oblewającą przybrzeżne trzciny pomieszane z wiciowatymi roślinami. Wsiadanie więc odbyło się łatwo. Przyrządy złożono na dnie czółna na podestaniu z liści, aby zapobiec uszkodzeniu w przypadku wstrząśnięcia. Uczni zajęli miejsca w ten sposób, ażeby nie zawadzać wiosłarzom. Bochjesman usiadł w tył i ujął ster.

Krajowiec ten, zwany Numba, był przewodnikiem karawany, to jest idącym na czele pochodu. Strzelec wybrał go jako człowieka zręcznego i obytego z afrykańskimi prądami. Umiał on nieco po angielsku i zalecił pasażerom milczenie podczas przepawy przez Nosob.

Odwiązano czółno, a silne odepchnięcie wiosł popędziło je ku środkowi. Szybki bieg wody, zamieniający się o sto jardów od brzegu w silny prąd, już się dawał czuć. Majtkowie dokładnie wypełniali rozkazy wydawane przez Numba. Raz podnosili wiosła dla wyminięcia pnia pogrążonego do połowy w wodzie, to znowu silnym pchnięciem przedzierali się przez wir powstały ze starcia się dwóch przeciwnych prądów, a kiedy prąd stawał się zbyt rwący, puszczano czółno z wodą.

Numba, trzymając ster silnie, z nieruchomą głową i okiem wlepionym w rzekę, starał się omijać wszelkie niebezpieczeństwo przepawy. Europejczycy z pewnym niepokojem śledzili bieg łodzi, czuli z jaką nieprzewyciężoną siłą unosi ich gwałtowny prąd. Pułkownik Everest i Mateusz Strux wpatrywali się w siebie w milczeniu. Sir John Murray z nierozłączną strzelbą przyglądał się chmarom ptactwa unoszącego się nad wodami Nosobu. Młodzi dwaj astronomowie bezwiednie i bez uwagi patrzyli na brzegi uciekające w tył z niezmierną szybkością. Wkrótce wątle czółno dostało się na środek głównego prądu, który należało przeciąć ukośnie, ażeby spłynąć na wody spokojne i przybić do przeciwnego brzegu. Na komendę Numba majtkowie uderzyli silniej wiosłami. Lecz wbrew ich usiłowaniom czółno porwane nieprzewartą siłą powróciło do kierunku równoległego do brzegów, pędząc jak błyskawica w dół rzeki. Ster już nie wywierał na nie wpływu, wiosła nie mogły sprowadzić go na właściwą drogę. Niebezpieczeństwo stawało się groźne, gdyż pierwsze lepsze uderzenie łódki o pień lub skałę podwodną mogło ją w mgnieniu oka rozdrzeć.

Uczni uczyli niebezpieczeństwo, ale żaden z nich nie wyrzekł słowa.

Numba wyteżył wzrok i śledził bieg gwałtownie unoszonej łódki. O dwieście jardów przed nią sterczał z pośrodku prądu rodzaj wysepki, niebezpieczne nastroszysko pniaków i głazów. Nie sposób było je ominąć. Za kilka chwil czółno musiało o nie uderzyć i niechybnie się rozdrzeć.

Jednakże przed osiągnięciem kępy łódź uderzyła gwałtownie o coś ukrytego pod wodą, nie tak jednak silnie, jakby się można spodziewać. Nieco wody dostało się do środka przechylonym bokiem. Podróżni zdołali się utrzymać na swoich miejscach. Spojrzeli na-



przód, wypatrując przyczyny, ale zdumieli wszyscy, widząc, że skała rusza z miejsca.

Skałą tą był olbrzymi koń rzeczny, którego prąd zaniósł do kępy, skąd atoli nie miał odwagi puścić się do jednego z dwóch brzegów. Uderzony czołnem hipopotam podniósł łeb, wstrząsnął nim gwałtownie, szukając drobnymi oczami, kto go uderzył, a ujrzawszy łódź, pochwycił jej brzeg zębami i począł ją gryźć gwałtownie, grożąc poszarpaniem.

Był to zwierz potężny, mający przeszło dziesięć stóp długości, pokryty skórą nagą i twardą, brunatnej barwy; z rozwartej paszczy sterczały kły białe, ostre i silne.

Koń rzeczny, szarpiąc czołnem, byłby je niechybnie zatopił, ale na szczęście załogi znajdował się tu też John Murray ze swoim sztucercem. Wymierzywszy, trafił go około ucha, lecz widząc nieskuteczność strzału, nabił szybko powtórnie i ugodził go w głowę. Tym razem cios był śmiertelny: hipopotam, puściwszy łódź, całym brzemieniem cielska runął w wodę, która szybkim prądem uniosła go daleko.

Zanim podróżni ochłonęli, łódź, porwana w kierunku ukośnym, zaczęła się obracać jak fryga, zwracając się znowu za kierunkiem prądu. Nagły zakręt rzeki o kilkaset jardów dalej łamał prąd Nosobu. Łódź, w kilkunastu sekundach osiągnąwszy tego zakrętu, doznała gwałtownego uderzenia i zatrzymała się przy brzegu. Podróżni zdrowi i cali wyskoczyli na ląd o dwie mile od miejsca, gdzie wsiedli do łodzi.

#### XI. ODSZUKANIE MIKOŁAJA PALANDRA

Po wylądowaniu niebawem zabrano się do dalszej pracy. Wytyczono dwie nowe stacje, połączono je z trzecią pozostawioną na tamtej stronie rzeki i tak powstał nowy trójkąt. Roboty nie były trudne, lecz astronomowie musieli mieć się na baczności przed węzłami, których w tej okolicy było mnóstwo. Krajowcy nazywają je *mambas*, długość ich wynosi dziesięć do dwunastu stóp, a ukąszenie jest śmiertelne.

W cztery dni po przebyciu bystrego Nosobu, a więc w dniu 21 czerwca, uczeni znaleźli się w krainie lesistej. Pokrywające ją zarośla nie były zbyt wysokie, więc nie przeszkadzały trójkątowaniu. W każdym kierunku naokoło napotykało się wzniesienia, przydatne do ustawienia piramid trygonometrycznych i rewerberów. Okolica ta, stanowiąca obszerną wklęsłość znacznie zagłębioną w stosunku do ogólnego poziomu kraju, obfitowała w wody, była więc żyzna. Pomiędzy tysiącami drzew William dostrzegł wiele figowców, których kwaskowaty owoc krajowcy namiętnie lubią. Szerokie łysiny rozciągające się pomiędzy zaroślami wydawały przyjemną woń, pochodzącą od niezliczonego mnóstwa roślin z wyglądu podobnych do ziemowitu jesiennego. Zapach ten wydawały żółte owoce, zwane przez tutejszych mieszkańców *kukumakranti*, które są ulubionym przysmakiem dzieci. Dolina wilgotna, przetrzęta licznymi potokami, wydawała także mnóstwo kolokwint i wyborny gatunek mięty, której zaaklimatyzowanie w Anglii tak się udało.

Ziemia ta, aczkolwiek żyzna i nadająca się wybornie do uprawy rolnej, była jednak mało uczęszczana przez koczujące plemiona. Ani jednego kraalu, ani jednego ogniska obozowego. A jednak wody była tam obfitość, tworzyła w wielu miejscach potoki, strumienie, kałuże, dosyć znaczne jeziora, a nawet bystre rzeczki, które spływały do rzek wpadających w Oranje.

Tegoż dnia uczeni zrobili przystanek, aby oczekiwać przybycia karawany. Terminznaczony przez strzelca upływał; nie zwykł się on być mylić w rachubie. Jeżeli udało mu się szczęśliwie przebrodzić Nosob, dziś właśnie powinien być przybyć na punkt zborny.

Dzień jednak miał się ku schyłkowi, a ani jeden z Bochjesmanów nie pokazywał się. Zapewne ekspedycję zaskoczyła jakaś przeszkoda, niepozwalająca przybyć na czas. Sir John Murray był zdania, że w tej porze, zbyt jeszcze obfitującej w wodę, gdy nie można było rzeki przebrodzić, Buszmen zmuszony był udać się jeszcze dalej w dół rzeki, by wyszukać dogodniejszą przeprawę. Przypuszczenie to przyjęto, gdyż ostatnia zima była nadzwyczaj dżdżysta i zapewne spowodowała niezwykajne wezbrania.

Astronomowie oczekiwali. Lecz gdy i dzień 22 czerwca upłynął, a żaden z ludzi Mokuma się nie ukazał, pułkownik zaczął się niepokoić. Bez materiału ekspedycyjnego nie można było puszczać się na północ, a dłużej trwająca zwłoka mogła narazić wyprawę na przeszkody i niepowodzenia.

Mateusz Strux, korzystając z tej sposobności, zwrócił uwagę swych towarzyszy, iż był za tym, aby towarzyszyć karawanie, mianowicie zaraz po obraniu dwóch stacji i połączeniu ich geodezyjnym z punktem obranym z tej strony rzeki; że gdyby wówczas usłuchano

jego rady, wyprawa nie znalazłaby się w przykrym położeniu; że jeżeli przez zwłokę działania ucierpią, wina i odpowiedzialność spadnie na tych, którzy mu się sprzeciwiali. Rzecz naturalna, że pułkownik zaprotestował przeciwko tym oskarżeniom kolegi, przypominając, że decyzją przyjęto wspólną zgodą. Wdał się w tę sprawę sir John Murray, prosząc, aby zakończono niewczesną sprzeczkę.

— Co się stało, to się stało, tego się już nie odrobi — zawołał — a wymówki położenia rzeczy nie zmieniają.

Postanowiono więc, że jeżeli karawana i jutro się nie pokaże, William Emery i Michał Zorn wyruszą na jej spotkanie w stronę południowo-wschodnią. W czasie ich nieobecności pułkownik i jego koledzy pozostaną w miejscu, oczekując ich powrotu, ażeby wspólnie coś postanowić.

Po tej umowie współzawodnicy przepędzili resztę dnia z dala od siebie. Sir John dla zabicia czasu płądrował bliższe zarośla, lecz mu się polowanie nie powiodło: ani jednego czworonoga nie ubił. Z ptakami poszczęściło mu się cokolwiek lepiej: od jego strzału padły dwa niezwykle gatunki. Najpierw rodzaj jarząbka, długiego na trzynaście cali, o krótkich łapkach, czerwonym dziobie, którego piękne piórka miały barwę brunatno-cieniowaną; znakomity egzemplarz z rodziny grzebiących, którego pierwowzorem jest kuropatwa. Drugi ptak, ubity z zadziwiającą zręcznością, należał do drapieżnych: gatunek sokoła właściwego południowej Afryce, mający pierś czerwoną, a ogon biały, kształt jego bardzo nadobny. Numba obdarł obydwu bardzo zgrabnie ze skóry, ażeby je można było wypchać.

Pierwsze godziny ranne 23 czerwca upłynęły, a karawany nie było widać. William i Michał zabierali się do odjazdu, kiedy nagle usłyszano z dala szczekanie psów, a wkrótce potem spoza zakrętu zarośli aloesowych leżących po lewej stronie obozu ukazał się Mokum, pędzący szybko na swojej zebrze.

Buszmen wyprzedził karawanę i zbliżył się ku Europejczykom.

— Przybywaj, dzielny myśliwcze! — zawołał radośnie John Murray. — Zwątpiliśmy już o tobie. Wierz mi, że byłbym niepokieszony, gdybym cię więcej nie ujrzał. Zwierzyna mnie unika, gdy nie mam przy sobie Mokuma. Pójdź, uczymy twój powrót pucharem szkockiego *usquebaughu*<sup>62</sup>.

Na te życziwe i przyjacielskie słowa Mokum nic nie odpowiedział, lecz począł przypatrywać się twarzom wszystkich Europejczyków z pewnym rodzajem niepokoju.

Pułkownik dostrzegł to natychmiast i zbliżając się do zsiadającego myśliwca, zapytał:

— Kogo szukasz, Mokumie?

— Pana Palandra.

— Czyż nie był z wami?

— Był, lecz nas opuścił i mniemałem, że go tu znajdę.

Usłyszawszy to, Strux szybko się zbliżył i zawołał:

— Co, pan Palander zaginął? Uczony, powierzony tobie astronom, za którego odpowiadasz, a którego nie przyprowadziłeś? Mów natychmiast gdzie jest, co się z nim dzieje?

Słowa te Struksa obruszyły strzelca, który w tej chwili nie będąc na polowaniu, nie potrzebował być cierpliwy.

— Ech, mój mości astrologu — odparł tonem rozdrażnionym — czy to pan do mnie mówisz? Cóż to, czy ja mam strzec pańskiego towarzysza, który sam siebie upilnować nie może? Pan się mnie czepiasz, to pan źle robisz, rozumiesz pan!? Jeżeli pan Palander zgubił się gdzie, to sam sobie winien. Najmniej dwadzieścia razy zawracałem go do karawany, gdy zatopiwszy się w swoich liczbach, oddalał się, nie wiedząc nawet o tym. Ale przedwczoraj pod wieczór gdzieś mi zniknął i mimo najtroskliwszych poszukiwań nie mogłem go znaleźć. Pan, co jesteś tak okrutnie mądry i wszechwiedzący, pewnie go od razu znajdziesz. Weźże więc lunetę, przyłóż do niej oko i szukaj swego kolegi po stepie, to go pewnie zaraz odkryjesz jak gwiazdę.

I rozjątrzony strzelec byłby prawil jeszcze bez końca tym samym tonem, ku wielkiemu gniewowi szanownego Struksa, który z otwartymi ustami stał, nie mogąc zdobyć się na

<sup>62</sup>*usquebaugh* (z gaelickiego *uisge beatha*, dosł.: woda życia) — daw. szkockie i irlandzkie określenie mocnej wódki ze zboża i siodu jęczmiennego, od którego wywodzi się obecne *whisky*. [przypis edytorski]

słowo, gdyby John Murray nie ułagodził rozjątrzonego myśliwca.

Strux jednak nie mógł tego strawić i z wymówkami, niemającymi najmniejszej podstawy, zwrócił się do pułkownika, niespodziewającego się tego wcale.

— Bądź co bądź — mówił tonem oschłym — nie myślę opuszczać wcale mego nieszczęśliwego kolegi w tej pustyni. A ponieważ to do mnie należy, użyję wszelkich środków do odszukania go. O... gdyby coś podobnego spotkało pana Emery'ego lub Murraya, to jestem pewny, że pan pułkownik nie omieszkałby natychmiast zawiesić wszelkich prac geodezyjnych, ażeby iść na pomoc swemu rodakowi. Otóż nie widzę przyczyny, dlaczego nie można by tego samego uczynić dla mego kolegi, co dla którego z pańskich.

Pułkownik, napadnięty w ten sposób, nie potrafił zachować swej zwykłej zimnej krwi.

— Mój panie Strux — krzyknął, założywszy ręce na piersiach i wpatrzywszy się bystro w oczy przeciwnika — czy pan postanowiłeś sobie obrażać mnie bez powodu? Za cóż to pan nas bierzesz? Czy daliśmy panu powód do powątpiewania o naszych uczuciach w sprawach ludzkości? Cóż to pana naprowadza na domysł, że nie pójdziemy szukać twego niezdarnego towarzysza?

— Panie! — wyjąkał Strux, zirytowany do najwyższego przydomkiem nadanym Palandrowi.

— Tak jest, niezdara i jeszcze raz niezdara! — zawołał pułkownik, wymawiając dobitnie ten przydomek. — A prawem odwetu powiem panu, że jeżeli nasze działania doznają przerwy lub nie dojdą do skutku, odpowiedzialność spadnie na panów, a nie na nas!

— Pułkowniku! — krzyknął Strux, którego oczy miały błyskawice — te słowa...

— Słowa te wyrzekłem z namysłem, a teraz mniemam, że należy zawiesić wszelkie roboty, dopóki się wasz rachmistrz nie znajdzie. Czy pan jesteście gotów do odjazdu?

— Byłem wprzód, niż pan o tym pomyślałeś — odrzekł cierpko Strux.

Po czym przeciwnicy poszli do swoich wozów, gdyż właśnie przybyła karawana.

Sir John Murray, towarzyszący pułkownikowi, nie mógł się powstrzymać od powiedzenia:

— To jeszcze wielkie szczęście, jeżeli ten mazgaj nie zgubił gdzie podwójnych rejestrów.

— Lękam się tego — odrzekł pułkownik.

Przywoławszy Mokuma, poczęli go się rozpytywać o zaginionego. Strzelec opowiedział im, że Palander znikł od dwóch dni. Ostatni raz widziano go o kilka mil od karawany z boku. Dowiedziawszy się o tym, Mokum wypuścił się natychmiast na poszukiwania i to właśnie opóźniło przybycie taboru na punkt zborny. Dalej opowiadał, że nie znalazłszy go, wpadł na myśl, czy też Palander nie udał się do swych kolegów znajdujących się na północy Nosobu. Gdy jednak tu go nie ma, sądzi, iż trzeba robić poszukiwania ku północnemu wschodowi, w okolicach lesistych, i że nie należy tracić ani chwili czasu, jeżeli chcą zastać rachmistrza przy życiu.

Nie był to wcale człowiek umiejący sobie radzić w niebezpieczeństwie: całe życie podróżował w krainie cyfr, a nigdy w świecie rzeczywistym. Każdy inny potrafiłby znaleźć jakiegokolwiek pożywienie, lecz biedny Palander niezawodnie umarłby z głodu. Trzeba mu było śpieszyć z pomocą.

O godzinie pierwszej pułkownik Everest, Mateusz Strux, sir John Murray i dwaj młodzi astronomowie wyruszyli na rącznych koniach pod przewodnictwem Mokuma. Strux przyłgnął do swego konia w groteskowy sposób i klął w duszy nieszczęśliwego kolegę, który go naraził na taką jazdę. Towarzysze jego, ludzie poważni i przyzwoici, udawali, że nie widzą śmiesznej postawy, jaką astronom przybierał na swym rumaku, nadzwyczaj ognistym i miękkim w pysku.

Przed opuszczeniem obozu Mokum wypożyczył od Numba psa; zwierz ten roztropny i sprytny, umiejący wybornie tropić, mógł być wielce pomocny w poszukiwaniach. Dano mu do powąchania kapelusze Palandra; wciągnąwszy wiatr, bez wahania puścił się w stronę północno-wschodnią, zachęcany gwizdaniem swego pana. Mały oddział pośpieszył za psem i wkrótce zniknął w gęstych zaroślach.

Przez cały dzień pędzili za tropiącym w różnych kierunkach psem. Roztropne zwierzę wiedziało dobrze, czego po nim wymagano, ale dotąd nie zdołało odnaleźć tropów zbłąkanego matematyka, ani pójść pewnie za śladem. Biegło to naprzód, to zawracało, wciąż trzymając nos przy ziemi, lecz właściwego tropu dotąd nie znalazło.

Uczeni ze swojej strony nie zaniedbywali dawać wszelkiego rodzaju sygnałów oznajmujących ich obecność w pustyni. Wydawali okrzyki, strzelali, spodziewając się, że ich Palander usłyszy, jeżeli nie będzie roztargniony lub zamyślony. Przebiegli tym sposobem blisko pięć mil angielskich naokoło obozu, gdy wieczór zapadł i przerwał poszukiwania. Wypadało je odłożyć do świtu.

Nocne legowisko obrali Europejczycy pod kępą drzew, obok ognia, który Mokum podtrzymywał z wielką starannością. Wycia drapieżnych zwierząt, dające się niekiedy słyszeć, trwożyły ich o los Palandra. Biedak ten zgłodniały, wycieńczony, przejęty do kości chłodem nocnym, wystawiony na napaść hien, tak licznych w tej stronie Afryki, czy mógł mieć nadzieję, że go ocala? Wszyscy myśleli tylko o tym. Całą noc prawie żaden oka nie zmrużył. Radzili, projektowali różne sposoby wyszukania Palandra. Anglicy okazali tu tyle gorliwości, że nawet zacięty i zimny Strux czuł się wzruszony. Zdecydowano, że dopóki nie odnajdą Palandra żywego bądź umarłego, będą szukać, choćby przyszło odłożyć pomiary na czas nieokreślony.

Na koniec, po długiej nocy, która zdawała im się wiekiem, brzask rozjaśnił niebo na wschodzie. Szybko osiodłano konie i przedsięwzięto poszukiwania w daleko szerszym zakresie. Pies sunął naprzód, a jego śladem puścili się jeźdźcy.

Pędząc ku północy, przebiegali okolicę podmokłą. Płynęły tu rzeczki wprawdzie niegłębokie, lecz częste. Przebywano je wplaw, strzegąc się krokodyłów, których pierwsze próbki sir John tutaj zobaczył. Były to gady potężne, niekiedy mające dwadzieścia i więcej stóp długości, straszne swą żarłocznością, mianowicie w wodzie, gdzie trudno ująć przed nimi. Buszmen nie chciał tracić czasu na bójkach z krokodyłami i powstrzymywał sir Johna, zawsze gotowego do strzału. Gdy który wychylił się z nadbrzeżnych zarośli, konie, puszczając się cwałem, uchodziły mu łatwo. Na środku szerokich jeziorzysk powstałych z powodzi widać było po kilkanaście paszcz ponad wodę wzniesionych, pożerających na wzór psów jakakolwiek zdobycz i miażdżących ją ostrymi szczękami.

Tymczasem kupka jeźdźców, ożywiona niewielką nadzieją, prowadziła dalej poszukiwania, to wśród trudnych do przejścia gąszczów, to znowu na równinie, wśród labiryntu sieci strumieni, badając ziemię, wypatrując niedojrzanych tropów. Tu gałązka, ułamana w wysokości człowieka, ówdzie trop trudny do rozpoznania, prawie zatarty, tam kępka liści świeżo zgniecionych, nieco dalej jakiś ślad na wpół niewidoczny, którego pochodzenia dojsć nie było można, zwracały ich uwagę. Nic nie mogło naprowadzić szukających na ślady Palandra.

W tej chwili znajdowali się o dziesięć mil na północ od ostatniego obozowiska i już za radą Buszmena mieli się zwrócić ku południowemu zachodowi, gdy nagle pies zaczął dawać znaki niepokoju; szczekał, kręcił ogonem, wybiegał to w tę, to w ową stronę po kilka kroków, trzymając nos przy ziemi, odsuwając nim zeszlą trawę na boki, po czym znowu powracał na miejsce, które tylko co opuścił, jak gdyby przywabiony jakimś osobliwym zapachem.

— Pułkowniku — zawołał Mokum — nasz pies coś zwierzył. Ach, mądre zwierzę, wpadło na trop zwierzyny, przepraszam, chciałem powiedzieć uczonemu, na którego polujemy. Nie przeszkadzajmy pieskowi, nie przeszkadzajmy!

— Tak, tak — powtarzał sir John za swoim przyjacielem — już jest na tropie. Czy słyszycie to ciche poszczekiwanie? Zdawałoby się, że rozmawia sam ze sobą, że chce sobie zdać sprawę z tego, co poczuł. Dam pięćdziesiąt funtów szterlingów za to zwierzę, jeżeli nas naprowadzi na miejsce, gdzie się znajduje legowisko Palandra.

Mateusz Strux nie zwracał uwagi na sposób, w jaki się wyrażano o jego koledze. Szło przede wszystkim o to, ażeby go znaleźć, każdy więc był gotowy rzucić się za psem, jak tylko by ten był już na pewnym tropie. To wkrótce nastąpiło; pies, zaskomliwszy głośno, rzucił się w krzaki i znikł w gęstwinie.

Konie nie mogły się dostać w głąb tych nieprzebytych zarośli. Pułkownik i jego towarzysze byli zmuszeni objeżdżać je, kierując się za głosem psa. Promyk nadziei ich ożywił. Nie wątpili, że pies zwierzył ślady zbląkanego matematyka i jeżeli tylko nie zgubi ich, powinien przybyć prosto do celu.

Jedno tylko nasuwało się pytanie: czy Palander żyje, czy nie?

Była godzina jedenasta z rana. Szczekanie, za którym dążyli, od dwudziestu minut nie dawało się słyszeć. Czy pies się zbyt oddalił? czy zblądził?... Buszmen i sir John,

jadący przodem, doznawali srogiego niepokoju. Nie wiedzieli, w którą stronę prowadzić towarzyszy, gdy wtem szczekanie dało się słyszeć na nowo, w odległości może pół mili, lecz już zewnątrz. Natychmiast konie, spięte ostrogami, popędziły w tę stronę. W kilkunastu skokach przebywszy przestrzeń, oddział jeźdźców dostał się w miejsce nader bagniste. Słyszeli wyraźnie szczekanie, lecz nie mogli dostrzec psa; ziemię pokrywały wysokie na parę sążni trzciny.

Jeźdźcy posiadali z koni, a przywiązawszy je do drzew, przedzierali się przez trzcinę za głosem psa. Wkrótce przebyli trzcinę, niezmiernie utrudniającą pochód. Przed nimi rozciągała się szeroka przestrzeń pokryta wodą i roślinami wodnymi. W najgłębszym zakłębieniu ziemi rozlewało swoje brunatne wody szerokie i długie na pół mili jezioro.

Pies zatrzymał się nad jego brzegami i szczekał zapalczywie.

— Oto jest, oto jest! — zawołał Mokum.

Rzeczywiście na końcu półwyspu, zapuszczającego się daleko w jezioro, w odległości trzystu kroków siedział na kłodzie nieruchomy Mikołaj Palander.

Uczony matematyk nic nie wiedział, co się dokoła niego działo. Miał na kolanach tabliczkę, w ręku ołówek... całą postać nieruchomą. Zapewne zajęty był jakimś obliczaniem.

Towarzysze nie mogli powstrzymali okrzyku trwogi. Naokoło mędrca czatowała liczna gromada krokodyłów wzniesionych nad wodę paszczami, a on nawet nie przeczekał ich obecności. Żarłoczne gady podsuwały się z wolna i mogły go lada chwila pochwycić.

— Śpieszmy się — szepnął strzelec — nie rozumiem, na co jeszcze krokodyle czekają.

— Czekają zapewne aż skruszeje — zauważył sir John Murray, robiąc aluzję do sposterzeń krajowców, którzy twierdzą, że gady te nie lubią świeżego mięsa.

Buszmen i John zalecili towarzyszom, aby na nich zaczekali w miejscu, dopóki sami nie obejdą jeziora i nie dostaną się do wąskiego przesmyku, którym mogą dojść do Palandra.

Nie uszli jeszcze stu kroków, gdy krokodyle, opuszczając głębie, zaczęły wylazić na ląd, idąc prosto ku swej zdobyczy. Uczony nic nie widział. Oczy jego nie opuszczały tabliczki, a ręka wciąż coś na nich kreśliła.

— Oko pewne, krew zimna, inaczej zginął — szepnął strzelec sir Johnowi.

Obydwa przyklekli, a wycelowawszy do poczwary najbliższych Palandra, dali ognia. Dwa strzały huknęły i dwa jaszczury ze zgruchotanym kręgiem pacierzowym runęły w wodę, reszta w mgnieniu oka pograżyła się w głębiach.

Na huk broni palnej Palander na koniec podniósł głowę, poznał swych towarzyszy i pobiegł ku nim, wywijając tabliczką.

— Znalazłem, znalazłem! Mam! mam! — wołał tryumfującym głosem.

— Cóż to znalazł, panie Palander? — zapytał go John.

— Pomyłkę cyfry dziesiątnej w sto trzecim logarytmie tablic Wolstona.

W istocie odkrył tę pomyłkę zacny uczony. Odkrył błąd w logarytmie i zyskał prawo do nagrody stu funtów szterlingów, którą wydawca logarytmów Wolstona wyznaczył za znalezienie błędu. Otóż na takim zajęciu zeszło Palandrowi czterodniowe bląkanie się. André Marie Ampere, człowiek najbardziej roztargniony na kuli ziemskiej nie potrafiłby nic lepszego wynaleźć.

## XII. STACJA W GUŚCIE SIR JOHNA MURRAYA

Znaleziono więc matematyka. Skoro go na pytali, czym żył przez te cztery dni, nie umiał odpowiedzieć. Czy miał świadomość grożących mu niebezpieczeństw — wątpimy bardzo. Gdy mu opowiadano wypadek z krokodyłami, nie chciał uwierzyć i twierdził, że sobie z niego żartują. Czy głód mu dokuczał? Prawdopodobnie nie, gdyż żywił się przez ten czas cyframi, a żywił tak dobrze, że aż odkrył błąd w tablicach logarytmicznych.

Wobec całej komisji Strux, przez narodową miłość własną, nie uczynił najmniejszej wymówki Palandrowi, lecz należy przypuszczać, że gdy zostali sami, niezawodnie wypalił mu tęgą burę, a zarazem wezwanie, ażeby na przyszłość nie dał się uwodzić dociekaniom logarytmicznym.

Niebawem zabrano się na nowo do pracy. Przez kilka dni roboty odbywały się bardzo dobrze. Pogoda im sprzyjała, równie przy mierzeniu kątów stanowisk, jak i przy pomiarach zenitalnych. Nowe trójkąty przyłączono do sieci dawnych, a kąty ich oznaczono

ściśle przez kilkakrotne obserwacje.

Dnia 28 czerwca astronomowie otrzymali geodezyjnie podstawę piętnastego trójkąta. Podług ich obliczeń, trójkąt ten powinien był obejmować odcinek drugiego i trzeciego stopnia. Ażeby uzupełnić trójkąt, należało za pomocą sygnału postawionego w jego wierzchołku pomierzyć dwa kąty przyległe podstawie.

Tutaj okazała się przeszkoda fizyczna. Okolica, jak oko zasięgnąć mogło, pokryta lasami, nie przedstawiała dogodnego punktu do postawienia sygnału. Ogólne zniżanie się gruntu z południa na północ utrudniało już nie wystawienie, ale dojrzenie celownika.

Jedyny tylko punkt mógł posłużyć do ustawienia rewerberu. Był to wierzchołek góry wysokiej na tysiąc dwieście do tysiąca trzystu stóp, który się wznosił na północnym zachodzie o mil trzydzieści. W tych warunkach boki piętnastego trójkąta musiałyby mieć przeszło po dwadzieścia tysięcy toazów. Zdarzało się przy innych pomiarach trygonometrycznych, że używano czterokrotnie dłuższych boków, lecz komisja, o której piszemy, nigdy jeszcze tak wielkich boków nie używała.<sup>63</sup>

Po wyczerpujących rozprawach astronomowie zdecydowali się zamieścić rewerber elektryczny na rzeczonyj wyżynie i postanowili zatrzymać się w miejscu, dopóki sygnał nie będzie postawiony. Pułkownik Everest, Emery i Zorn, w towarzystwie trzech majtków i dwóch Bochjesmanów, prowadzeni przez Numba, wydelegowani byli na to nowe stanowisko dla wystawienia elektrycznego świetlnego sygnału do pracy nocnej.

Mają ten oddział, zaopatrzony w instrumenty i aparaty włożone na muły, zabrawszy zapas żywności, wyruszył z rana 28 czerwca. Ponieważ Everest spodziewał się dopiero na drugi dzień dotrzeć do stóp góry i gdy nadto wyjście na jej wierzch mogło nasuwać jakie nieprzewidziane trudności, umówiono się, że sygnał będzie zapalony dopiero w nocy z 29 na 30. Obserwatorowie zatem przed upływem 36 godzin nie powinni byli upatrywać światła sygnałowego na wierzchołku ich piętnastego trójkąta.

Po odjeździe wymienionych osób Strux i Palander oddali się zwykłym zajęciom, a sir John Murray ze strzelcem plądrowali okolice obozu i zastrzelili kilka sztuk z rodziny antylopy, bogatej w rozmaite odmiany w tej części Afryki.

Sir John dodał do swoich dotychczasowych tryumfów myśliwskich upolowanie żyrafy, pięknego zwierza, dziś dość rzadko napotykanego w północnej Afryce, ale za to licznie zamieszkującego południową. Polowanie na żyrafy uważają znawcy za jedno z najpiękniejszych. Sir John Murray i Buszmen napotkali gromadę tych zwierząt przeszło dwadzieścia sztuk liczącą, a tak trwożliwych, że bliżej jak na pięćset jardów podejść się nie dały. Jednak jedna samica oddzieliła się od stada, a myśliwi postanowili ją upolować przez zmęczenie. Zrazu zwierz uciekał klusem, jakby chciał, aby go doścignięto, lecz gdy konie polujących znacznie się do żyrafy przybliżyły, podniósłszy ogon, zaczęła umykać z niesłychaną szybkością. Ścigali ją przeszło dwie mile, aż na koniec kula wystrzelona ze sztucera Murraya, trafiwszy w łopatkę żyrafę, powaliła ją na bok. Był to prześliczny okaz tego rodzaju. Koń z szyi, wół z nóg i goleni, wielbłąd z głowy, jak mawiali Rzymianie, pokryty skórą lamparta. Osobliwszy ten przeżuwacz od kończyn rogów do kopyt miał jedenaście stóp wysokości.

Następną noc astronomowie pozostający w obozie zdjęli wysokość kilku gwiazd dla oznaczenia stopnia szerokości południowej, pod jaką znajdował się obóz.

Dzień 29 czerwca upłynął bez wypadku. Oczekiwano przybliżenia się nocy z pewnym niepokojem. Miał być oznaczony wierzchołek piętnastego trójkąta. Nadeszła wreszcie noc bezksiężycowa, bezgwiezdna, ale sucha, niezamierzchna mgłą, a więc cudnie sprzyjająca zamierzonej pracy.

Poczyniono potrzebne przygotowania, jeszcze w dzień wycelowano ku wiadomej górze ustawioną na kole powtarzającym lunetę, która miała schwycić w swe ognisko światło rewerberu, gdyby zbyt duża odległość nie dozwalała dostrzec go gołym okiem.

Przez całą noc z 29 na 30 Strux, Palander i Murray czuwali kolejno przy otworze lunety, lecz na szczycie góry wcale nie zabłysnęło światło.

<sup>63</sup>Zdarzało się przy innych pomiarach trygonometrycznych, że używano czterokrotnie dłuższych boków — przy pomiarze południka Francji, posuniętym aż do wyspy Formenter, jeden z boków piętnastego trójkąta, rozciągający się od brzegów Hiszpanii aż do Ibizy, miał 160.000 metrów. [przypis autorski]

Obserwatorowie wniesli stąd, że dostanie się na szczyt góry połączone było z wielkimi trudnościami i że pułkownik Everest nie mógł osiągnąć wierzchołka przed wieczorem. Odłożyli zatem obserwacje do następnej nocy, nie wątpiąc, że w ciągu dnia aparat elektryczny zostanie ustawiony.

Lecz jakże się zadziwili, gdy około drugiej godziny nazajutrz pułkownik i jego towarzysze, nie zapowiedziawszy powrotu, ukazali się w obozie.

Sir John Murray wyjechał przed nich.

— Pan tu, pułkowniku? — zawołał.

— Tak, to my — odpowiedział Everest.

— A więc góra jest niedostępna?

— Owszem, bardzo dostępna — odrzekł pułkownik — ale zanadto dobrze strzeżona, ręczę wam za to, i przybywam po posiłki.

— A więc krajowcy?

— Tak jest, krajowcy czworonożni z czarnymi grzywami, którzy nam pożarli jednego konia.

W kilku słowach pułkownik zdał relację. Podróż aż do podnóża góry udała się wybornie. Przybywszy na miejsce, przekonano się, że jest dostępna tylko przez przełęcz boczną, a właśnie na tej jedynej drodze rodzina lwów założyła sobie kraal, jak mówi Numba. Na próżno pułkownik usiłował wyprzeć je z tego stanowiska. Niedostatecznie uzbrojony, musiał zatrzeć na odwrót, straciwszy konia, którego olbrzymi lew ubił jednym uderzeniem łapy.

Opowiadanie to rozogniło krew Murraya i Mokuma. Postanowili zdobyć górę lwów, to stanowisko konieczne do prowadzenia dalszych prac geodezyjnych. Sposobność stoczenia bitwy z kilku najstraszniejszymi zwierzętami z rodziny kociej zanadto była ponętna dla dwóch zapalonych myśliwych, ażeby ją pominąć. Natychmiast więc zorganizowano wyprawę.

Wszyscy uczeni Europejczycy, nie wyłączając nawet Palandra, chcieli wziąć w niej udział, lecz dla zmierzenia kątów przyległych nowej podstawie musiał ktoś pozostać w obozie. Pułkownik Everest uznając, że dla kontrolowania ścisłości pomiaru obecność jego w obozie jest niezbędna, zdecydował się pozostać wraz z Struksem i Palandrem. Z drugiej strony nie było najmniejszego powodu zatrzymania sir Johna Murraya. Oddział przeznaczony do zdobycia góry miał się więc składać z sir Johna Murraya, Williama Emery'ego i wreszcie Michała Zorna, którego prośbom Strux oprzeć się nie mógł. Buszmen nie odstąpiłby za nic od wyprawy; zabrał z sobą trzech krajowców znanych mu z odwagi i zimnej krwi.

Trzej Europejczycy, pożegnawszy uściśnieniem ręki pozostałych kolegów, wyruszyli około czwartej po południu z obozu i zapuścili się w las w kierunku góry. Jazda odbyła się tak szybko, iż do godziny dziewiątej wieczór przebyli przestrzeń trzydziestu mil angielskich.

Na dwie mile pod górą posiadali z koni i urządzili nocleg. Nie rozpalono wcale ognia, gdyż Mokum nie chciał ani zwracać uwagi zwierząt, z którymi zamierzono walczyć w biały dzień, ani wywoływać napadu nocnego.

W nocy bez ustanku dawały się słyszeć ryki głodnych lwów. Podczas bowiem nocnych ciemności te straszliwe mięsożerne bestie zwykle opuszczają swe legowiska, by szukać żywności. Żaden z myśliwych nie przespał ani godziny, a Buszmen, korzystając z tej bezsenności dawał im przestrogi, które jego doświadczenie myśliwskie czyniło bardzo cennymi.

— Panowie! — mówił tonem zupełnie spokojnym — jeżeli pułkownik Everest się nie mylił, będziemy jutro mieli do czynienia z lwami czarnogrzywami. Należą one do gatunku najdzikszego i najniebezpieczniejszego. Musimy się tego trzymać. Zalecam wam, ażebyście starali się uniknąć pierwszego skoku tych zwierząt, które zwykle przesadzają szesnaście do dwudziestu stóp. Wiem z doświadczenia, że skoro im się ten pierwszy skok nie uda, rzadko go ponawiają. Ponieważ o świcie zwykły powracać do swoich kryjówek, poprzędzimy je tam i zaatakujemy. Ale lwy się bronią i bronią dobrze. Mogę was zapewnić, że z rana, po nocnej uczcie, bywają mniej srogie, a nawet mniej odważne — jest to kwestia żołądka. Niebezpieczeństwo większe lub mniejsze zależy także od miejsca:

w okolicach, gdzie ludzie bezustannie je ścigają, lwy bywają trwożliwsze, ale tu, w kraju dzikim, zachowują wszystkie popędy dzikości. Zalecam wam także, ażebyście dobrze obliczali odległość strzału. Pozwólcie im zbliżyć się dobrze i strzelajcie tylko pewnie, a celujcie pod łopatkę. Konie postawimy w tyle. Zwierzęta te przerażają się, ujrawszy lwa, i mogą zwalić jeźdźca. Będziemy walczyć pieszo, a mam nadzieję, że nam zimnej krwi nie zabraknie.

Strzelcy w głębokim milczeniu słuchali przestróg doświadczonego myśliwca. Mokum pokazał się znowu jako strzelec, który umie być cierpliwy. Wiedział, że spotkanie będzie niebezpieczne. Jeżeli lew zwykle nie rzuca się na człowieka, który go nie zaczepia, to za to wściekłość jego nie zna granic, gdy go atakują. Jest to wówczas zwierzę groźne, obdarzone przez naturę lekkością skoku, siłą do druzgotania i wściekłością czyniącą go straszliwym. Buszmen zalecał też Europejczykom, aby zachowywali zimną krew, a przede wszystkim ostrzegwał sir Johna Murraya, który często pozwalał unosić się zbytnej śmiałości.

— Strzelaj pan do lwa, jakbyś strzelał do kuropatwy, bez większego wzruszenia. W tym cała sztuka.

W istocie w tym cała sztuka, ale któż może zaręczyć, że namiętny myśliwiec, stanąwszy pierwszy raz oko w oko z lwem, potrafi zachować zimną krew?

O godzinie czwartej z rana myśliwi, przywiązawszy mocno konie do drzew, opuścili nocne stanowisko. Jeszcze nie dniało, na wschodzie tylko różowawy odcień zaczynał barwić obłoki. Na ziemi panowała głęboka ciemność.

Buszmen polecił towarzyszom, aby przegładnęli broń. Sztucery jego i sir Murraya nabijały się z tyłu, trzeba było tylko wsunąć w lufę nabój z miedzianym denkiem i spróbować, czy mechanizm dobrze działa. Zorn i Emery, uzbrojeni w gwintowane sztucery, zmienili pistony<sup>64</sup>, które nocna wilgoć mogła popsuć. Trzej dzicy byli zbrojni w aloesowe łuki, których z dziwną zręcznością umieli użyć. Licha to broń z pozorów, ale ileż lwów padło od strzał Afrykanów.

Sześciu myśliwych ściśniętą gromadką posuwało się naprzód, dążąc ku wąwozowi, który dwaj młodzi myśliwi, będąc tu wczoraj, wskazali jako drogę wiodącą na wierzch góry. W głębokim milczeniu, na wzór czerwonoskórych Ameryki Północnej, przesuwali się wszyscy zarośłami.

Wkrótce mały oddział stanął przy wąskiej szyi, stanowiącej wejście do wąwozu. Był to jakby wąski korytarz, przebity między dwoma granitowymi ścianami, wiodący na pierwsze wzniesienia wspomnianej przez Everesta przełęczą. W samym prawie środku tego wąwozu, w miejscu rozszerzonym przez oberwanie się skał, było legowisko lwów.

Buszmen wydał następujące rozporządzenie. Sir John Murray, jeden krajowiec i on sam, mieli posuwać się lekko szczytem wąwozu. Spodziewali się oni tym sposobem dojść do jaskini lwów, wypłoszyć stamtąd straszne zwierzęta i popędzić je w dół wąwozu. Dwaj Europejczycy z dwoma Bochjesmanami umieszczeni w zasadzce mieli uciekające lwy przyjąć strzałami.

Miejsce nadawało się wybornie do takiego manewru. Śród wąwozu wznosiła się panująca nad okolicznym lasem olbrzymia sykomora, której rozłożyste gałęzie stanowiły dla myśliwych wyborną, a dla lwów niedostępną kryjówkę. Wiadomo, że lwy nie umieją wdzierać się na drzewa, jak inne zwierzęta z rodziny kotów, więc strzelcy umieszczeni tam na pewnej wysokości, niedostępnej dla lwiego skoku, mogli strzelać w warunkach nader korzystnych.

Najniebezpieczniejsze zadanie miał spełnić Mokum ze swoimi towarzyszami. Na uwagę zrobioną w tej mierze przez Williama myśliwiec odpowiedział, że inaczej być nie może i plan ułożony musi być co do joty wykonany. Emery uległ jego zdaniu.

Zaczynało dzień. Szczyt góry oświetlony poranną zorzą zarumienił się jak pochodnia. Mokum upewniony, iż czterech towarzysze umieścili się dogodnie w gałęziach sykomory, dał znak pochodu. Buszmen, sir John i krajowiec poczuli się wspinać na ścieżkę kapryśną pokręconą na prawej ścianie wąwozu.

<sup>64</sup>piston — kapiszon, miedziana a. mosiężna sponka używana od XIX w. w odprzodowej broni palnej, mająca formę miseczki zawierającej piorunian rtęci, wybuchający po uderzeniu przez kurek, co powodowało zapalenie prochu w lufie i oddanie strzału. [przypis edytorski]



Trzej odważni myśliwi postępowali kilkadziesiąt kroków, zatrzymując się niekiedy i pilnie bacząc na dno parowu, którym pieli się w górę. Buszmen był pewny, że lwy po nocnej wycieczce nie omieszkały wrócić do legowiska, bądź dla pożarcia zdobyczy, bądź dla odpoczynku. Może uda się je zejść śpiące i skończyć z nimi szybko.

W kwadrans po przebyciu wejścia do wąwozu Mokum i jego dwaj towarzysze dosięgnęli usypiska przed kryjówką, o której mówił im Zorn. Tu przykucnęli na ziemi i badali miejsce.

Była to jaskinia dosyć duża, której głębokość trudno było ocenić. Szczątki zwierzęce, kupy kości zalegały wejście. Nie było wątpliwości, że to kryjówka lwów wskazanych przez pułkownika.

Lecz w tej chwili, wbrew oczekiwaniu myśliwych, jaskinia zdawała się pusta. Mokum z odwiedzoną strzelbą posunął się ku otworowi i na kolanach pełznął ku niemu.

Jednym szybkim spojrzeniem przekonał się, że była pusta. Okoliczność ta, której wcale nie przewidywał, nasunęła mu inny plan. Skinieniem przyzywał towarzyszków.

— Sir Johnie — mówił — naszej zwierzyny nie ma w legowisku, ale tylko co jej patrzeć. Mniemam, iż dobrze uczynimy, zajmąwszy jej miejsce. Mając do czynienia z takimi żarłokami, lepiej być obleżonym, aniżeli oblegać, zwłaszcza, gdy mamy armię na odsiecz. Cóż myśli wasza dostojność?

— Myślę tak jak ty, myśliwcze — odpowiedział Murray. — Rozkazuj, a będę posłuszny.

Mokum, sir John i krajowiec weszli w głąb jaskini. Była to głęboka grota zapełniona kośćmi i krwawymi szczątkami zwierząt. Po przekonaniu się, że jest zupełnie próżna, wzięli się rączy do zatarasowania wejścia za pomocą wielkich głazów, tocząc je z niemałym wysiłkiem i piętrząc jeden na drugim. Luki między kamieniami pozatykali suchymi gałęziami i krzewami rosnącymi w pobliżu, zostawiając tylko otwory do wysunięcia strzelb.

Pracę tę ukończono w bardzo krótkim czasie, gdyż wejście do groty było wąskie, po czym stanęli za tą barykadą zaopatrzoną w strzelnice i oczekiwali nieprzyjaciela.

Oczekiwanie to nie trwało długo. Kwadrans po piątej w odległości stu kroków od jaskini ukazał się lew i dwie lwice potężnego wzrostu. Lew wstrząsał czarną grzywą i zamiatał ziemię ogonem. Niósł w paszczy całą antylopę i potrząsał nią jak kot myszą. Ciężar zdobyczy nie utrudniał wcale swobody ruchów i zwierz poruszał głową z łatwością. Dwie lwice żółtej maści biegły, podskakując, obok niego. Sir John, jak to później sam wyznał, uczył gwałtowne bicie serca. Oczy rozwarły mu się niezwykle, czoło zmarszczyło. Uczuł nieopisany przestach w połączeniu z zadziwieniem i niepokojem, lecz to nie trwało długo i wnet zapanował nad sobą. Dwaj jego towarzysze byli spokojni jak zwykle.

Tymczasem lwy poczuły niebezpieczeństwo. Na widok zabarykadowanej jaskini zatrzymały się. Od strzelców dzieliła je przestrzeń sześćdziesięciu kroków. Samiec wydał chrapliwy ryk i rzucił się wraz z lwicami w gąszcz na prawo, nieco niżej miejsca, na którym poprzednio zatrzymali się myśliwi. Przez gałęzie krzaków wyraźnie przeświecały płowe boki, nastawione uszy i iskrzące oczy straszliwych zwierząt.

— Otóż i kuropatwy — szepnął sir John do Mokuma. — Dalej każdy do swojej.

— Nie — odrzekł Mokum bardzo cicho — nie ma ich wszystkich, a strzały spłoszyłyby resztę — po czym zwracając się do dzikiego, zapytał:

— Czy jesteś pewny strzału na tę odległość?

— Tak, Mokumie.

— A więc poślij strzałę w lewy bok samca, a celuj w serce.

Bochjesman napiął łuk i mierzył z wielką uwagą przez krzewy. Strzała wypadła świszcząc. Ryk zagrzmiął, lew podskoczył i runął o trzydzieści kroków od jaskini.

— Dobrze! — rzekł Mokum.

Lew leżał bez ruchu. Ostre kły bielily się z rozwartej i zakrwawionej paszczy.

Lwice, opuściwszy zarośle, rzuciły się do samca. Na ich rozdzierające ryki ukazały się na zakręcie parowu dwa inne lwy: stary samiec z żółtymi pazurami i trzecia lwica. Pod wpływem straszliwej wściekłości wstrząsały czarnymi grzywami. Zdawało się, że ciała ich zolbrzymiały. Rzucając się, wydawały ryk podobny do grzmotu.

— Na strzelby kolej! — zawołał Buszmen. — Palić w lot, gdy stanąć nie chcą.

Dwa strzały padły. Jeden z lwów, trafiony kulą eksplodującą Buszmena w krzyż, padł bez życia. Drugi lew, z łapą strzaskaną wystrzałem sir Johna, rzucił się ku barykadzie.

Rozjuszona lwice pędziły za nim. Straszliwe bestie chciały zdobyć jaskinię i mogłyby tego dokazać, gdyby ich nie zatrzymały kule.

Buszmen, John i krajowiec cofnęli się w głąb jamy. Broń szybko nabito. Parę celnych strzałów powinno było zwalić napastników i zwierzęta byłyby niechybnie ubite, gdyby nie zaszedł wypadek całkiem nieprzewidziany, który wprawił strzelców w okropne położenie.

Naraz gęsty dym zappełnił jaskinię. Tlejąca przybitka<sup>65</sup> rzucona na suche liście, zapaliła je, a wkrótce ognisty pas odgrodził myśliwych od zwierząt. Lwy cofnęły się, lecz strzelcy nie mogli dłużej pozostać w legowisku, boby ich dym wkrótce podusił. Położenie było przerażające, nie można się wahać.

— Wychodźmy, wychodźmy! — zawołał Mokum, dusząc się od dymu.

I razem odrzuciwszy kolbami palące się liście, rozepchnawszy kamienie barykady, strzelcy, na wpeł dymem zduszeni, wypadli z jaskini.

Krajowiec i sir John jeszcze nie zdołali ochłonać, gdy potężna siła zwała ich na ziemię.

Afrykanin uderzeniem łba, Anglik ogonem lwicy jeszcze nienaruszonej, krajowiec ugodzony w środek piersi leżał bez ruchu. Sir John, mniemając, że ma roztrzaskaną nogę, przypadł na kolana, lecz w chwili gdy zwierz chciał rzucić się na niego powtórnie, strzał Buszmena wstrzymał go. Kula piorunująca natrafwszy na kość, roztrzaskała się wewnątrz ciała.

W tej chwili Zorn, Emery i dwóch Bochjesmanów ukazali się w zakręcie wąwozu, biegnąc szybko dla wzięcia udziału w walce. Dwa lwy i lwica legły już od kul i strzał, lecz pozostałe przy życiu dwie lwice i samiec, któremu sir John strzaskał łapę, były jeszcze straszne dla myśliwych. Gwintówki atoli, kierowane pewną ręką, zrobiły swą powinność. Druga lwica, dwiema kulami w bok i głowę ugodzona, padła na miejscu. Raniony lew i trzecia samica, szalonym rzutem przesadziwszy głowy młodzieńców, znikły na zakręcie wąwozu, poczęstowane na pożegnanie dwiema kulami i dwiema strzałami.

Sir John wydał okrzyk zwycięski, lwy zostały pokonane. Cztery trupy leżały na ziemi.

Pospieszono ku Murrayowi. Przy pomocy przyjaciół zdołał się podnieść. Noga szczęściem nie była zgruchotana. Krajowiec ugodzony łbem z wolna odzyskał zmysły. Gwałtowne uderzenie tylko go ogłuszyło. W godzinę później mały oddział dostał się do miejsca, gdzie były przywiązane konie, nie spotkawszy uchodzącej pary.

— Cóż, czy wasza dostojność jest zadowolona z kuropatw afrykańskich? — zapytał Mokum.

— Zachwycony, zachwycony, mój drogi! — mówił sir John, pocierając potłuczoną nogę. — Ależ co za ogony, zacny myśliwce, co za ogony!

### XIII. ZA POMOCĄ OGNIA

Tymczasem pułkownik z towarzyszymi z bardzo naturalną niecierpliwością oczekiwali w obozie na wypadek walki.

Jeżeli strzelcom się powiodło, to w nocy zabłyśnie sygnał świetlny. Łatwo pojąć niepokój, w jakim uczeni przepędzili dzień. Ich matematyczne narzędzia były w pogotowiu. Wymierzili lunety ku szczytowi góry w ten sposób, aby nimi uchwycić choćby najmniejsze światełko, lecz czy to światełko zabłyśnie?...

Pułkownik i Strux nie mieli chwili spokojnej. Sam tylko Palander, zawsze zamyślony, zapomniał nawet pośród rachunków o niebezpieczeństwie grożącym kolegom. Nie należy go obwiniać o oryginalny egoizm. Można by o nim powiedzieć, co niegdyś powiedziano o matematyku Bouvardzie: „nie przestanie liczyć, dopóki nie przestanie żyć”, a być może, że Mikołaj Palander przestałby żyć, gdyby przestał rachować.

Wyznać jednak należy, że Everest i Strux, miotani niepokojem, więcej myśleli o uzupełnieniu swoich prac, jak o niebezpieczeństwie przyjaciół. Byliby chętnie stawili czoło temu niebezpieczeństwu, bo nie zapominali wcale, że służą nauce, która prowadzi zaciętą wojnę z przyrodą, ale wypadek jej mocno ich niepokoił. Gdyby przeszkoda fizyczna nie została zwyciężona, powstrzymałaby ich prace lub w najlepszym razie znacznie opóźniła. Łatwo więc pojąć niepokój astronomów w tym dniu wlokącym się bez końca.

Na koniec noc nadeszła. Everest i Mateusz Strux luzowali się co pół godziny przy lunecie. Śród cieniów nocy nie przemówili do siebie ani słowa, a zmieniali się z chrono-

<sup>65</sup>przybitka — kawałek tkaniny, papieru lub filcu wciskany do lufy daw. broni ładowanej odprzodowo w celu oddzielenia ładunku prochowego od pocisku oraz uszczelnienia lufy. [przypis edytorski]

metryczną punktualnością. Szło o to, kto pierwszy spostrzeże upragniony sygnał.

Godziny upływały, północ minęła, nic nie ukazywało się na ciemnym szczycie.

Na koniec trzy kwadranse po drugiej pułkownik, podnosząc się z wolna, wyrzekł chłodno tylko to jedno słowo:

— Sygnał!

Przypadek sprzyjał Anglikowi, ku wielkiemu niezadowoleniu uczonego kolegi, który jednak musiał stwierdzić ukazanie się sygnału. Ale Mateusz Strux zemścił się, nie odpowiadawszy ani słówka.

Zdjęcie kąta odbyło się z drobiazgową ścisłością. Po obserwacjach, kilkakrotnie powtórzonych, okazało się, że kąt mierzył  $78^{\circ}58'42,413''$ . Widzimy, że ścisłość posunięto aż do tysięcznych części sekundy.

Nazajutrz, 2 lipca, zwinięto obóz o świcie. Everest pragnął jak najprędzej połączyć się z towarzyszami. Rad był dowiedzieć się, czy zdobycie góry nie było połączone z wielkimi ofiarami. Wozy ruszyły pod przewodnictwem Numba, a w południe połączyli się wszyscy członkowie uczonej komisji. Po opowiedzeniu szczegółów walki koledzy wieszowali im zwycięstwa.

W ciągu poranka John Murray, Emery i Zorn zmierzli z wierzchołka góry odległość kątową nowego stanowiska, leżącego o kilka mil na zachód od południka. Astronomowie zdjęli nadto wysokości kilku gwiazd dla oznaczenia szerokości, pod którą leżał ich sygnał, z czego Palander obliczył, że za pomocą ostatnich pomiarów otrzymano drugą część południka, odpowiadającą jednemu stopniowi. Zmierzone więc dotąd dwa stopnie, wyprowadzone od podstawy za pomocą piętnastu trójkątów.

Prace rozpoczęto na nowo w warunkach zadowalających i należało się spodziewać, iż żadna przeszkoda fizyczna nie powstrzyma ich ukończenia. Przez całe pięć tygodni pogoda sprzyjała uczonym. Okolica nieco falista pozwalała stawiać sygnały. Pod dyktando Buszmena obozowiska zakładano porządkie. Żywności nie brakło, bo sir John na czele strzelców zaopatrywał w nią obficie. Szanowny Anglik stracił już rachubę odmian bawołów i antylop padających pod jego strzałami. Wszystko szło pomyślnie. Stan zdrowia zadowalający. Woda jeszcze nie powysychała w kałużach gruntu; Everest i Strux ku wielkiej radości kolegów mitygowali się. Prześcigano się wzajemnie w gorliwości i można już było przewidzieć ostateczne powodzenie przedsięwzięcia, gdy niespodziewanie nowa przeszkoda miejscowa zagroziła przerwaniem prac i rozbudziła uśpione niechęci.

Było to 11 sierpnia. Od poprzedniego dnia karawana ciągnęła krainą lesistą. Tego poranka wstrzymał pochód ogromny bór wysokopienny, którego granic dostrzec nie było można na widnokręgu. Nic wspanialszego nad te masy zieleni, tworzące jakby olbrzymi szpaler o ścianie wzniesionej sto stóp nad ziemię. Rozmaitości i piękności drzew tej puszczy nie sposób oddać słowami. Mieszały się tu najrozlicniejsze gatunki *goundy*, *mosokosów* i *mukomdów*, drzew poszukiwanych do budowy okrętów; hebany niezmiernie grube, których treść była czarna jak węgiel: *bochinie* o żelaznej mocy włóknach; *buchmerie* z pomarańczowym kwiatem; wspaniałe czerwonoliste z pniem białawym a szkarłatnym kwieciami; tysiące gwajaków, między którymi wiele miało pnie piętnastostopowego obwodu. Z głębokich tych mas wydobywały się dziwne szmery, niby szum morskiej fali rozbijającej się na piaszczystym brzegu. Wiatr przedzierający się przez ten ocean gałęzi konał na krańcach lasu.

Zapytany przez pułkownika Mokum odpowiedział:

— To jest las Rowuma.

— Jak daleko ciągnie się ze wschodu na zachód?

— Na czterdzieści pięć mil.

— A z południa na północ?

— Około dziesięciu mil.

— A jakimże sposobem przedrzemy się przez tę puszcę?

— Przebyć jej się nie da, bo nie ma przez nią żadnej drogi. Jedyne sposoby objechać ze wschodu lub z zachodu.

Naczelnicy wyprawy, usłyszawszy stanowczą odpowiedź Buszmena, wielce się zakłopotali. Nie można było stawiać sygnałów w lesie zalegającym równinę. Obejść ją to znaczyło oddalić się na dwadzieścia do dwudziestu pięciu mil od linii południkowej, a więc

nadzwyczajnie powiększyć roboty i dodać do istniejących przynajmniej tuzin nowych trójkątów.

Trudność prawdziwa, przeszkoda naturalna istniała. Kwestia była ważna i trudna do rozwiązania. Jak tylko założono obóz wśród kępy drzew o czterysta sążni od lesistej ściany, zeszli się wszyscy astronomowie na naradę w celu podjęcia decyzji. Myśl trójkątowania pośród nieprzebytej puszczy odrzucono z góry. Pracować w podobnych warunkach oczywiście się nie dało. Pozostawało tylko obejść las, z nałożeniem dwudziestu kilku mil po prawej lub lewej stronie południka, który przechodził środkiem.

Członkowie międzynarodowej komisji zdecydowali wreszcie obejście puszczy, mniejsza o to, na wschód, czy na zachód. Jednak właśnie to ostatnie błahe pytanie wywołało gwałtowną sprzeczkę pomiędzy Struksem i Everestem. Dwaj rywale, powściągnięci się od niejakiego czasu, wybuchnęli przy tej sposobności na nowo, z całą gwałtownością długo tajonej niechęci. Na próżno koledzy chcieli ich umitygować. Naczelnicy nie chcieli ich słuchać. Everest był za obejściem lasu na prawo, bo tym sposobem ekspedycja zbliżała się ku drodze, którą Dawid Livingstone zdążył w pierwszej swej podróży do wodospadów Zambezi: był to wzgląd ważny, ponieważ kraj w tej stronie był bardziej znany i bardziej uczęszczany, nastęczał więc pewne korzyści. Strux upierał się przy lewej, widocznie dlatego tylko, żeby się sprzeciwić pułkownikowi. Gdyby ten był obrał kierunek na lewo, tamten głosowałby za prawym. Sprzeczka wzmagająca się coraz bardziej i można było przewidzieć, że nastąpi rozdzielenie komisji.

Zorn, Emery, Murray i Palander, widząc, że nic nie poradzą, opuścili naradę, pozostawiając naczelników w zapasach. Obydwaj tak się zawzięli, że można nawet było obawiać się przerwania prac i prowadzenia dalszej triangulacji przez obydwóch oddzielnie. Dzień minął, nie sprowadziwszy porozumienia pomiędzy dwiema sprzecznymi opiniami.

Na drugi dzień sir John Murray, przewidując, że i przez dziś jeszcze nie nastąpi zgoda, zaproponował Mokumowi wycieczkę myśliwską. Może tymczasem dwaj naczelnicy pogodzą się, a w każdym razie kawał świeżej dziczyzny był nie do pogardzenia.

Mokum, zawsze gotów, gwizdnął na psa i dwaj myśliwcy zapuścili się w gęstwinę, przetrząsali brzegi lasu, to gawędząc, to tropiąc na kilka mil dokoła obozu.

Rzecz prosta, że rozmowa toczyła się głównie około wypadku, który przeszkodził prowadzeniu dalszych prac.

— Jestem prawie pewny — odezwał się Buszmen — że będziemy sobie długo biwakować pod lasem Rowumy. Nasi naczelnicy nie ustąpią sobie i, bez urazy pańskiej, podobni są dwóm znarwionym koniom, z których każdy ciągnie w inną stronę.

— A to fatalna historia — odpowiedział Murray — i bardzo się boję, żeby to poróżnienie nie doprowadziło do zupełnego rozdziału. Gdyby nie interes nauki, niechby sobie głowy pourywali, nie dbałbym o to wcale, mój dzielny Mokumie. Obfitość zwierzyny afrykańskiej dostarcza mi rozrywki; niechże się kłócą, a dopóki zgoda nie nastąpi, będę ze strzelbą w ręku uwijał się po lasach.

— Ba, tylko czy się pogodzą? Ja się tego bynajmniej nie spodziewam i jestem pewny, że nasz pobyt tutaj Bóg wie jak długo potrwa.

— Może być, może być! Nasi naczelnicy spierają się o rzecz błahą, której na drodze naukowej nie sposób rozstrzygnąć. Obydwaj mają słuszość i obydwaj się myślą. Pułkownik oświadczył stanowczo, że nie myśli ustąpić. Strux przysiągł, że się będzie opierał przywidzaniom Everesta, a dwaj uczeni, którzy by niezawodnie ulegli racjom naukowym, nie nakłonią się nigdy do ustępstw w kwestii, która jest czysto kwestią miłości własnej. W interesie prac naukowych jest to rzecz arcyনিemila, że południk przechodzi środkiem tej puszczy.

— Pal diabli las, kiedy idzie o pracę naukową! — krzyknął Buszmen. — Ale bo też co za niedorzeczność mierzyć ziemię wzdłuż lub wszerz. Na co się komu przyda, że ją pomierzą na stopy i cale. Co do mnie, wołę o niczym nie wiedzieć, wołę mniemać, że ziemia, na której mieszkam, jest niezmierna, nieskończona, zdaje mi się, że zmniejszyłbym ją, gdybym pomierzył dokładnie. Nie, nie, sir Johnie, choćbym jeszcze żył sto lat, nigdy nie przyznam, aby ta wasza robotka na co się zdała.

Sir John nie mógł się wstrzymać od uśmiechu. Często podobne dysputy wszczynaly się pomiędzy nim i Mokumem, lecz to nieświadome dziećmi natury, ten swobodny włóczęga leśny, nieustraszony pogromca drapieżnych zwierząt, widocznie nie mógł po-

jąc ważności naukowej związanej z triangulacją. Kilkakrotnie sir John usiłował objaśnić, przekonać, ale Buszmen odpiął jego wywody argumentami nacechowanymi tak czystą filozofią przyrody, a swe zdania popierał nie uczoną, ale ognistą wymową, że Anglik na próżno silił się je odeprzeć.

Rozmawiając w ten sposób, myśliwi uganiali się za drobną zwierzyną, bijąc to zajęce skalne, to nowy gatunek gryzoni, oznaczonych przez Ogilly'ego<sup>66</sup> pod nazwą *Graphycerus elegans*, piskliwe siewki i stada kuropatw, mających pierze brunatne pomieszczone z czarno-żółtym. Można powiedzieć, że sir John sam dostarczał zwierzyny, gdyż Mokum mało strzelał: myśl jego zajmował spór dwóch uczonych, mogący zniweczyć całą wyprawę. Ten bór daleko bardziej go niepokoił, aniżeli sir Johna. Zwierzyna choćby najpiękniejsza nie zwracała jego uwagi, co odznaczało nadzwyczajne natężenie umysłu naszego Nemroda.

W istocie myśl jedna, jeszcze nieskrystalizowana, zajmowała umysł myśliwca, z wolna nabierając coraz większej jasności. Sir John zauważył, że sam ze sobą rozmawiał. Spuściwszy strzelbę do nogi i nie bacząc na zwierzynę, stał nieporuszony, zagłębiony w myślach, jak Palander zajęty sprawdzaniem logarytmów. Anglik szanował tę pracę umysłową swego towarzysza i nie chciał mu przeszkadzać w tak ważnym zajęciu.

Dwa lub trzy razy w ciągu dnia Mokum, przybliżywszy się do sir Johna, zapytywał:

— Więc wasza dostojność sądzi, że pułkownik i pan Strux nie zgodzą się na jedno?

— Gotów jestem przysiąc — odrzekł tamten.

Pod wieczór, o kilka mil od obozu, Mokum ponowił raz jeszcze to samo pytanie i odebrał tę samą odpowiedź. A usłyszawszy ją, rzekł:

— A więc niech się wasza dostojność uspokoi, znalazłem sposób przyznania słuszności obydwu uczonym.

— Czy być może, przezacny myśliwczycze? — zawołał Anglik zdziwiony.

— Nie inaczej. Nim zabłyśnie jutrzejszy ranek, pułkownik Everest i pan Strux nie będą już mieli powodu do kłótni, jeżeli wiatr mi dopomoże.

— Co chcesz powiedzieć przez to?

— To już moja rzecz.

— Dobrze, Mokumie, rób co chcesz, a jeśli tego dokonasz, to zasłużysz się wielce uczonej Europie, a nazwisko twe będzie uwieńczone w rocznikach nauki.

— To byłoby za wiele honoru dla mnie, sir Johnie. Nie obchodzi mnie wcale wasza uczona Europa, pragnę tylko przywrócić zgodę. — I zapewne przeżuważając myśl swoją, odtąd nie wyrzekł ani słowa.

Sir John uszanował to milczenie. Ale na próżno starał się odgadnąć, jakim sposobem myśliwy zamierzał pogodzić dwóch uczonych tak zawziętych na siebie, że gotowi byli narazić powodzenie tak ważnej i długiej pracy, byle sobie nie ustąpić nawzajem.

Około piątej przed wieczorem myśliwi powrócili do obozu. Podczas ich nieobecności, nie tylko nie przyszło do zgody, ale nawet zajątrzenie się wzmogło. Usiłowania Williama i Zorna, ażeby ich pogodzić, spełzły na niczym. Współzawodnicy kilkakrotnie na nowo wszczynali dysputę, lecz ostre przymówki, których sobie nie żalowali, pogorszyły jeszcze stan rzeczy. Lękano się nawet, iżby sprzeczka coraz drażliwsza nie doprowadziła do wyzwania. Przyszłość triangulacji była zagrożona, bo w razie zupełnego poróżnienia, każdy z naczelników musiałby ją skończyć na własną rękę. Wtedy musiałby nastąpić rozdział, a myśl o nim najbardziej zasmucała dwóch najmłodszych członków komisji, którzy przywykli do siebie i byli połączeni z sobą serdeczną sympatią.

Sir John wiedział dobrze, co się działo w ich duszy i odgadł przyczynę smutku. Mógłby ich wprawdzie uspokoić, opowiadając o jakimś projekcie Mokuma, lecz nie chciał ludzi ich za wcześniej, nie wiedząc sam, co on zamierza zrobić i postanowił oczekiwać do jutra spełnienia obietnicy myśliwca.

Buszmen podczas wieczoru nie zmienił w niczym swoich zwykłych zajęć: rozstawił czaty obozowe jak zwykle, czuwał, aby zachowano porządek z wozami i użył wszelkich środków dla zachowania bezpieczeństwa karawany.

Sir John zaczął przypuszczać, że Mokum zapomniał przyrzeczenia. Zanim udał się na spoczynek, usiłował zbadać usposobienie pułkownika względem pana Mateusza Struksa.

<sup>66</sup>Ogilly — popr.: *Ogilby, William* (1808–1873), irlandzki adwokat i przyrodnik, opisał wiele gatunków ssaków Europy i kolonii bryt. [przypis edytorski]

Everest był niewzruszony, nieugięty w poczuciu swoich praw i napomknął, że w razie, jeżeli mu Strux nie zechce ustąpić, postanowił rozdzielić się z nim i jego towarzyszami, „są bowiem rzeczy”, dodał, „których się nawet od przyjaciół nie znosi”.

John Murray bardzo niespokojny, a przy tym mocno zmęczony, poszedł się położyć i wkrótce usnął. Około jedenastej przerwano mu sen. Widocznie coś zaszło w obozie, krajowcy przebiegali z wielką wrzawą. Zerwał się i zastał swych towarzyszków na nogach. Szkarłatne światło olśniło mu wzrok, wybiegł z wozu i ujrzał ogromny las w płomieniach.

Pożar

Co za widok! Cała północ zamieniła się w ocean ognia, płomienie były w obłoki. Spadał z nich ognisty deszcz iskier, kłęby czarno-purpurowego dymu bałwanily się nad lasem. Kilkanaście mil puszczy ogarnął pożar.

John Murray spojrzął na Mokuma, który nieruchomy stał przy nim, ale na zapytanie uczynione wzrokiem, Buszmen nie odpowiedział żadnym znakiem. Anglik zrozumiał, że ten pożar miał utorować drogę uczonym na północ.

Południowy wiatr był silnym sprzymierzeńcem Mokuma. Jego silne dęcie podsycało coraz gwałtowniej pożar, niosąc rozżarzone węgle w głąbie puszczy i zażegając miejsca nietknięte, z których wnet wybuchały nowe słupy ognia. Ogniste morze coraz bardziej rozszerzało swe fale. Suche gałęzie i uschłe pnie trzeszczą, z oceanu pożaru wybuchają niekiedy żywsze kolumny ognia — o drzewa na wskrós przesiąknięte żywicą. Trzask jakby nieustannej kanonady zagłusza powietrze. Potężne olbrzymy leśne roztrzaskują się z hukiem grzmotu. Na niebie odbijają się olśniewające luno. Zdaje się, że płomienie zapalą obłoki, że niszczący żywioł tam sięgnie, że wszczyną się zapowiedziany Pismem koniec świata.

Pożar

I z innej strony chaos nie do opisania. Ryki i wycia uchodzących przed ogniem zwierząt rozlegają się naokoło. Na tle ognistego pasa widać czarne cienie uciekających, niby piekielnych potworów wynurzających się z płomieni. Ostrożność i nienawiść wzajemna, drapieżność jednych, trwoga innych znikły gdzieś wobec wspólnego niebezpieczeństwa, wobec strasznego żywiołu niosącego zaturę. Lwy i gazy, nosorożce, żyrafy, hieny i szakale pomieszane z antylopami uchodzą w jedną stronę, a nie trwożąc się nawet ludzi, przelatują środkiem obozu.

Pożar szalał przez resztę nocy, dzień i noc następną. Poranek 14 sierpnia ukazał patrzącym obszerną przestrzeń pożartą przez płomienie. Zgliszcze na kilka mil szerokie otworzyło przejście przez niemożliwą przedwczoraj do przebycia dziewiczą puszcę. Przejście dla południka otwarto. Śmiały, acz barbarzyński czyn Mokuma ocalił triangulację.

#### XIV. WOJNA

Tego samego dnia rozpoczęto roboty. Wszystkie preteksty do nieporozumienia zniknęły. Pułkownik Everest i Strux nie przebaczyli sobie, ale mimo to pracowali wspólnie.

Po lewej stronie uczynionej przez pożar szerokiej przerwy wznosiło się wzgórze bardzo widoczne z odległości pięciu mil. Szczyt jego mógł zostać użyty za wierzchołek nowego trójkąta. Zmierzone kąt pomiędzy nim i ostatnią stacją, a na drugi dzień karawana wyruszyła środkiem wypalonego lasu.

Całą drogę zaścilał węgiel. Ziemia była jeszcze mocno rozpalona, pnie dymily się tu i ówdzie, nad kałużami unosiły się gęste tumany pary. W wielu miejscach wały się zwęglone trupy zwierząt zaskoczonych w ucieczce, których szybki bieg nie zdołał ocalić od rozwścieczonego żywiołu. Czarne dymy, wznoszące się w niektórych miejscach, zdradzały istnienie ognia. Pożar jeszcze nie był zupełnie ugaszony, a lada podmuch wiatru mógł go rozniecić na nowo i obrócić w przynę resztę lasu.

Z tego powodu komisja uczonych przyspieszała swój pochód. W przypadku wzniesienia się pożaru karawana uległaby zniszczeniu. Należało spieszenie przebyć pogorzeliśko, tym bardziej, że po bokach las jeszcze gorzał. Mokum nalegał na woźniców, aby się spieszyli, a w południe roztoczono obóz u stóp wzgórza, o którym tylko co mówiliśmy.

Skaliste bryły zakończone tę wyniosłość zdawały się ułożone ludzką ręką: były podobne do ołtarza druidów<sup>67</sup>, a znalezienie ich w tym miejscu zadziwiłoby niezmiernie archeologa. Ogromny spiczasty głaz wieńczył szczyt i zakończył ten pomnik, będący może ołtarzem pogan afrykańskich.

<sup>67</sup> druid — staroż. kapłan celtycki; druidzi przewodniczyli obrzędowi religijnym, pełnili rolę wróżbitów, lekarzy i sędziów. [przypis edytorski]

Dwaj młodzi astronomowie i sir John Murray chcieli obejrzeć z bliska tę osobliwą budowę. W towarzystwie więc Mokuma wdrapali się na szczyt pagórka. Już tylko dwadzieścia kroków oddzielało ich od głazu, gdy spoza niego wypadł człowiek, dotąd za kamieniami ukryty, mignął szybko i zbiegł, a raczej stoczył się z góry i w jednej chwili zniknął w zaroślach oszczędzonych przez pożar.

Buszmen widział go tylko przez chwilę, lecz to mu wystarczyło, ażeby go poznał.

— Makololo! — zawołał, rzucając się w ślad za zbiegiem.

Sir John odruchowo pobiegł za swym przyjacielem. Obaj przeszukali gąszcze, ale nie mogli znaleźć krajowca, który dopadłszy lasu, a znając wszystkie manowce, tak dobrze zmykał, że nikt nie byłby go zdołał wytropić.

Pułkownik Everest, zawiadomiony o tym wypadku, zawołał Mokuma i wypytywał go o zbiega: kto to był, co robił w tym miejscu, dlaczego Buszmen puścił się za nim.

— Jest to Makololo — odpowiedział myśliwy — dziki należący do plemion północnych, które płądrują nadbrzeża rzek uchodzących do Zambezi. Makololowie nie tylko są naszymi wrogami, ale rabusiami groźnymi dla wszystkich zapuszczających się w środek Afryki. Człowiek ten nas szpiegował i bardzo żałuję, że go nie zdołał pojmać albo zabić.

— Ależ Mokumie, dlaczegoż mamy się lękać bandy takich opryszków? Jesteśmy dość liczni, ażeby ich pokonać.

— Tutaj zapewne, ale tam, na północy, napotyka się ich w znacznej liczbie i trudno im się wymknąć. Jeżeli ten Makololo jest szpiegiem, o czym wcale nie wątpię, to niezawodnie sprowadzi nam na kark z kilkuset rabusiów, a jeżeli to nastąpi, to nie dam złamanego szeląga za wszystkie wasze trójkąty.

Pułkownik zaniepokoił się wielce tym spotkaniem. Wiedział, że Buszmen nie należy do ludzi przesadzających niebezpieczeństwa i że trzeba było liczyć się z tym, co powiedział. Zamiary dzikiego były podejrzone, nagle pojawienie się i szybka ucieczka pokazywały, iż był szpiegiem, schwytanym na gorącym uczynku. Niepodobna, aby zdoławszy się wymknąć, nie powiadomił swoich o pobycie karawany w pustyni. W każdym razie nie można już było cofnąć złego. Ograniczono się więc do wysyłania częstszych zwiadów, a triangulację prowadzono dalej.

Dnia 17 sierpnia został ukończony pomiar trzeciego stopnia południka i oznaczona szerokość geograficzna stacji. Astronomowie zmierzili już więc trzy stopnie południka, na co potrzeba było dwudziestu dwóch trójkątów od obranej podstawy.

Po sprawdzeniu mapy okazało się, że osada Kolobeng<sup>68</sup> nie była dalej jak około sto mil angielskich od południka, na północny wschód od obozu. Astronomowie, naradziwszy się, postanowili w tej osadzie wypocząć przez kilka dni, a oprócz tego dowiedzieć się jakichś nowin z Europy. Pół roku minęło, jak opuścili brzegi Oranje, a zagłębieni w pustyni Afryki Południowej, nie mieli związków ze światem ucywilizowanym. W Kolobengu, osadzie dosyć znacznej, głównej stacji misjonarzy, mogli znowu nawiązać zerwaną nić z Europą. Karawana wypocznie tam po tylu trudach i będzie mogła odnowić swoje zapasy.

Stojący na szczycie wzgórza niewzruszony głaz miał posłużyć za oznaczenie punktu, na którym przerwano roboty. Od niego postanowiono rozpocząć dalsze prace. Jego szerokość geograficzną dokładnie wyznaczono. Pułkownik, mając zapewniony w ten sposób stały punkt, kazał wyruszyć w pochód ku Kolobengowi.

Europejczycy przybyli do tej osady dnia 22 sierpnia, nie doznawszy najmniejszego wypadku.

Kolobeng składa się z gromady chat krajowców, ponad którymi wznoszą się zabudowania stacji misjonarskiej. Wieś ta, oznaczona na niektórych mapach nazwą „Litubaruba”, niegdyś nazywała się „Lepelole”. W tym miejscu w r. 1843 przepędził kilka miesięcy Livingstone dla zaznajomienia się z obyczajami Beszuanów, noszących w tych stronach Afryki nazwę Bakainów.

Misjonarze przyjęli nadzwyczaj gościnnie członków komisji naukowej i oddali do ich rozporządzenia wszystkie środki, jakie znajdowały się w tym kraju. Widać tam jeszcze było dom Livingstone’a w tym stanie, w jakim go oglądał myśliwiec Baldwin, gdyż Burowie,

<sup>68</sup>Kolobeng — trzecia i ostatnia stacja misyjna Davida Livingstone’a, zał. w 1847, opuszczona po ataku Burów w 1852; 25 km na zach. od ob. Gaborone, stolicy Botswany. [przypis edytorski]

napadłszy to miejsce w r. 1852, nie uszanowali pamiętki wielkiego podróżnika.

Zaledwie astronomowie rozgościli się w domu szanownych ojców, zaczęli się zaraz dopytywać o nowiny z Europy. Przełożony nie mógł zaspokoić ich ciekawości. Od pół roku żaden kurier nie przybył do misji, lecz oczekiwano chwili przybycia krajowca przynoszącego depesze i nowe dzienniki, o których nadesłaniu przed niedawnym czasem donoszono z górnej Zambezi. Według zdania ojców kurier nie mógł opóźnić się w drodze więcej jak tydzień. Tyleż właśnie czasu uczeni umyśleli poświęcić na wypoczynek. Przez tydzień mieli więc używać słodkiego *farniente*<sup>69</sup>. Jeden tylko Palander nie korzystał z tego czasu; po całych dniach siedział zatopiony w rejestrach.

Ponury Strux unikał Anglików i trzymał się od nich z dala. William i Zorn spędzali czas jak najprzyjemniej na wspólnych wycieczkach w okolice Kolobengu. Najserdeczniejszą przyjaźń łączyła tych dwóch młodych ludzi, której, jak się spodziewali, nic w świecie rozerwać nie zdoła, gdyż polegała na wzajemnym poznaniu się i szczerzej sympatii tak serc, jak i umysłów, a głównie na młodości.

Dnia 30 sierpnia przybył tak niecierpliwie oczekiwany posłaniec. Był to krajowiec z miasta Kilimani, położonego nad jednym z ujść Zambezi. Statek kupiecki z Mauritiusa<sup>70</sup>, handlujący gumą i kością słoniową, dotarł do wschodnich wybrzeży Afryki i złożył w Kilimani depesze, listy i dzienniki przeznaczone dla misjonarzy w Kolobengu. Depesze te pozostawały w drodze ponad dwa miesiące, gdyż sam posłaniec spędził cztery tygodnie na podróży w górę Zambezi.

W dniu tym zaszedł wypadek, który musimy opowiedzieć nieco obszerniej, gdyż jego następstwa srodze zagroziły przyszłości ekspedycji. Przełożony misji natychmiast po przybyciu posłańca oddał pułkownikowi cały pakiet dzienników europejskich. Zbiór ten stanowiły przeważnie „Times”<sup>71</sup>, „Daily News”<sup>72</sup> i „Journal des débats”<sup>73</sup>. Nowiny w nich zawarte miały dla wyprawy naukowej, jak się o tym zaraz przekonamy, niezmierną doniosłość.

Członkowie komisji zgromadzili się w głównej sali misji. Pułkownik, otworzywszy pakę z dziennikami, wyjął numer „Daily News” z 13 maja 1854 roku, by odczytać go swoim kolegom.

Zaledwie jednak odczytał nagłówek wstępnego artykułu, gdy rysy jego nagle się zmieniły, czoło zmarszczyło się, a ręka trzymająca dziennik zadrżała. Po chwili odzyskał zimną krew i zapanował nad sobą.

Sir John Murray, spostrzegłszy wzruszenie pułkownika, zwrócił się do niego i zapytał:

— Jakież nowości, sir Evereście?

— Wiadomości bardzo ważne, nadzwyczaj ważne, których panom natychmiast udzielię — odpowiedział.

Pułkownik wciąż wpatrywał się w „Daily-News”. Koledzy, wlepiwszy wzrok w niego, oczekiwali niecierpliwie, aż przemówi. Wreszcie powstawszy, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, a szczególnie tego, ku któremu zwrócił swą mowę, Everest poszedł prosto ku Mateuszowi Struksowi i rzekł do niego:

— Zanim zakomunikuję panom wiadomości zawarte w tym dzienniku, pragnę zrobić pewne uwagi.

— Słucham pana — odpowiedział Strux.

— Aż dotąd, panie Strux, współzawodnictwo więcej osobiste aniżeli naukowe rozdzieliło nas, utrudniając prace, które przedsiębraliśmy w interesie dobra powszechnego. Wynikało to, jak mniemam, stąd, że nas obydwóch w równym charakterze postawiono na czele ekspedycji. Położenie takie wywoływało pomiędzy nami nieustanne scysje. Każde jakiegokolwiek rodzaju przedsięwzięcie powinno mieć jednego naczelnika.

Mateusz Strux kiwnął głową na znak, że jest tego samego zdania.

— Panie Strux, skutkiem obecnie zachodzących okoliczności położenie to, dla nas obydwóch przykre, zmieni się. Zanim jednak okoliczności te wymienię, pozwól pan, aże-

<sup>69</sup>słodkie *farniente* — z wł. *dolce far niente*: słodka beczynność. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Mauritius — wyspa na Oceanie Indyjskim, ok. 900 km na wsch. od Madagaskaru. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>The Times — dziennik brytyjski, zał. w 1785, wydawany pod tą nazwą od 1788. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>The Daily News — ogólnokrajowy dziennik brytyjski zał. w 1846 przez Charlesa Dickensa; w 1930 połączony z „Daily Chronicle”, utworzył „News Chronicle”. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Journal des débats — dziennik francuski wydawany w latach 1789–1944. [przypis edytorski]



bym cię zapewnił, iż mam dla pana szacunek głęboki, szacunek, na który zasłużyłeś swymi znakomitymi pracami naukowymi. Chciej pan wierzyć, iż mocno żałuję wszystkiego, co dotąd między nami zaszło.

Słowa powyższe wypowiedział pułkownik z wielką godnością, a nawet z pewnym rodzajem jakiejś dumy. W tym tłumaczeniu się, wyrażonym szlachetnie, nie przebijają najmniejsze upokorzenie się.

Nikt z obecnych nie mógł zrozumieć, do czego zmierzała przemowa pułkownika. Nie mogli odgadnąć jej powodu. Może nawet Mateusz Strux, nie mając powodu do podobnych oświadczeń, mniej był sposobny do puszczenia w niepamięć zajęć osobistych. Niemniej powstrzymał swą antypatię i odpowiedział:

— Pułkowniku, mniemam podobnie jak pan, że nasze osobiste nieporozumienia nie powinny bynajmniej szkodzić wielkiemu dziełu naukowemu, nad którym pracujemy wspólnie. Wyznaję również, iż niezmiernie pana poważam jako człowieka tak zasłużonego nauce. O ile to będzie w mojej mocy, dołożę starań, ażeby w przyszłości niechęci osobiste znikły z naszych relacji. Co zaś do zmian w naszym położeniu, o których pan wspominałeś, nic nie rozumiem...

— Zrozumiesz pan zaraz — odrzekł pułkownik z pewnym odcieniem smutku — lecz zanim dam objaśnienie, chciej mi podać rękę.

— Oto jest — zawołał Strux, podając dłoń nie bez niejakiego wahania.

Dwaj astronomowie w milczeniu podali sobie rękę.

— W końcu przecież jesteście przyjaciółmi! — wykrzyknął sir John z radością.

— Nie, Johnie — odpowiedział pułkownik, puszczać rękę astronoma. — Odtąd jesteśmy otwartymi nieprzyjaciółmi, rozdzielonymi nieprzebytą przepaścią, nieprzyjaciółmi, którzy się schodzić nie mogą nawet na polu naukowym.

Potem, zwracając się do swych kolegów, dodał:

— Panowie, pomiędzy Rosją i Anglią wybuchła wojna<sup>74</sup>. Oto dzienniki, donoszące nam tę wiadomość.

W istocie, wojna się już toczyła. Anglicy, w połączeniu z Francją, Turcją i Włochami, oblegali Sewastopol<sup>75</sup>, a na wodach Morza Czarnego rozlegał się huk armat.

Ostatnie słowa pułkownika jak grom uderzyły słuchaczy. Obydwie strony uległy ogromnemu wrażeniu. Jedno słowo „wojna” sprawiło niewypowiedziany skutek. Wszyscy porwali się z miejsc. Nie byli to już uczeni, koledzy, towarzysze wspólnych prac i trudów, ale wrogowie mierzący się nieprzyjaznym wzrokiem. Odstąpili wzajem od siebie, a nawet poczciwy Palander cofnął się na bok. Tylko William Emery i Michał Zorn spoglądali na siebie ze smutkiem, żałując, że przed oświadczeniem pułkownika nie uściskali się serdecznie.

To nowe położenie, rozdzielenie dotychczas pracujących wspólnie, utrudniło dalsze roboty pomiarowe, lecz nie miało ich zupełnie przerwać. W każdym razie wypadało oddzielnie zdejmować pomiar łuku. Pułkownik i Strux porozumieli się w tym względzie. Każdy z nich w interesie powszechnym chciał dokończyć rozpoczętą pracę. Losowano. Strux i jego towarzysze mieli utrzymać się przy wykonanych już pracach. Anglicy, uważając je za własność wspólną, postanowili w dalszym ciągu mierzyć inny południk, o sześćdziesiąt mil angielskich ku zachodowi, połączywszy go z poprzednio mierzonym siecią trójkątów, i prowadzić swą pracę aż do dwudziestego stopnia szerokości południowej.

Wszystkie te kwestie rozstrzygnęli pomiędzy sobą dwaj naczelnicy w przyzwoitym porozumieniu. Współzawodnictwo osobiste ustąpiło wielkiemu współzawodnictwu narodów. Strux i pułkownik podczas narad najmniejszym słówkiem nie uchybili sobie wzajemnie.

Cały tabor miał być podzielony między obie strony na dwie równe połowy. O rzeczy, których nie było można podzielić, losowano. Los sprzyjał w tym przypadku Rosjanom, przyznając im szalupę parową.

Mokum, szczerze przywiązany do Anglików, szczególnie do sir Johna, pozostał przy przewodnictwie ich połowy karawany. Numba, równie znający kraj, przy Struksie. Po-

<sup>74</sup>*między Rosją i Anglią wybuchła wojna* — 28 marca 1854 Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Rosji, stając się sprzymierzeńcami Imperium osmańskiego w wojnie krymskiej (1853–1856). [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*oblegali Sewastopol* — oblężeniem Sewastopola określa się okres od lądowania sprzymierzonych na Krymie we wrześniu 1854 do wycofania się armii rosyjskiej we wrześniu 1855. [przypis edytorski]

dzielono się instrumentami i wręczono sobie po egzemplarzu potwierdzonych podpisami rejestrów.

W dniu 31 sierpnia rozłączyli się członkowie komisji. Anglicy wyruszyli pierwsi w drogę, pomierzywszy wprzód kąty ostatniej stacji. O ósmej z rana opuścili Kolobeng, podziękowawszy misjonarzom za gościnne przyjęcie.

Gdyby który z zacnych misjonarzy wszedł niespodzianie do pokoju Zorna, byłby z zdziwieniem ujrzał, jak obydwaj z Williamem Emerym ściskali się serdecznie. Prawda, że ci dwaj przyjaciele dopiero przed paru godzinami zostali nieprzyjaciółmi z wyższych rozkazów.

#### XV. JEDEN STOPIEŃ DALEJ

Obydwa więc towarzystwa rozdzieliły się. Uczeni musieli teraz podwójnie pracować, ale dokładność ich pracy bynajmniej na tym nie ucierpiała. Anglicy mieli rozpocząć pomiar nowego południka i zabrali się do niego z równą ścisłością jak dotąd. Praca postępowała wolniej, a z wielką trudnością, jak poprzednio, lecz uczeni nie oszczędzali się wcale i starali się na nowym łuku dokonać tego, czego ich współzawodnicy dokonywali na swoim. Bódcem w tym szlachetnym współzawodnictwie na polu naukowym była narodowa miłość własna. Oba oddziały starały się przewyższać nawzajem dokładnością i ścisłością pracy i wywiązać jak najlepiej z trudnego zadania. Z każdej strony trzech pracowników pracowało teraz za sześciu. Odtąd więc musieli oni poświęcić wszystkie swój czas, wszystkie myśli pomiarowi: William Emery musiał się rozstać z ulubionymi dumaniami, a sir John Murray rozkoszne wycieczki myśliwskie zamienić na nudne obserwacje astronomiczne.

Na wstępie ułożono nowy program pracy, dzieląc ją pomiędzy trzech. Pułkownik Everest i sir John Murray zajmowali się mierzeniem kątów trygonometrycznych i zenitalnych, William Emery zastąpił w zapisywaniu i rachunkach Mikołaja Palandra. Nie potrzebujemy nadmieniać, że obieranie stacji i miejsca na ustawianie celowników trygonometrycznych odbywało się za wspólnym porozumieniem i że nie zachodziła najmniejsza obawa, ażeby pomiędzy pracownikami mogło przyjść kiedykolwiek do sprzeczki, bo już Struksa z nimi nie było. Dzielny Mokum stał się głównym dostarczycielem zwierzyny. Sześciu majtków angielskich, to jest połowa załogi parowca, towarzyszyło swoim zwierzchnikom, a chociaż szalupa dostała się losem uczonym rosyjskim, to pozostawiało im czółno kauczukowe, wystarczające do przepływania się przez rzeki i jeziora przerynające kraj. Obie karawany podzieliły się równo wozami; tym sposobem oba oddziały miały zapewnione prowiantowanie się i wygodę.

Krajowców towarzyszących wyprawie także rozdzielono na dwa równe oddziały. Nie ukrywali się oni z tym, że im się ten podział sił wcale nie podoba. Buszmani, wyprowadzeni z okolic rodzinnych, z dala od znajomych pastwisk i rzek, pośród których zwykli byli koczować, zapędzeni na północ pomiędzy dzikie i nieprzyjazne plemiona ludności południowej Afryki, słusznie zatrwożyli się rozdzieleniem sił. Udało się jednak Mokumowi i Numbowi przekonać ich, że niebezpieczeństwo nie było znowu tak bardzo groźne, gdyż obydwie oddziały pracować miały w jednej okolicy i w niezbyt wielkim oddaleniu od siebie.

Oddział pułkownika Everesta, opuszczając w dniu 31 sierpnia Kolobeng, wyruszył spalonym lasem ku wzgórzom, na którym podczas ostatniego pomiaru umieszczony był znak trygonometryczny. Od niego to w dniu 2 września rozpoczęto wytyczanie nowego trójkąta, którego wierzchołek stanowił właśnie wspomniany punkt. Boki tego trójkąta rozciągnięto na dziesięć do dwunastu mil angielskich na zachód od dawnego południka.

W sześć dni później, 8 września, ukończono sieć trójkątów pomocniczych, a wtedy pułkownik Everest za zgodą swoich uczonych współtowarzyszy, po sprawdzeniu miejsca z kartą geograficzną, oznaczył nowy południk, którego następne pomiary miano posunąć aż do dwudziestego równoleżnika. Nowy południk oddalony był od poprzednio mierzonego o jeden stopień. Był on dwudziestym trzecim, licząc od Greenwich ku wschodowi. Anglicy więc mieli pracować o sześćdziesiąt mil angielskich od swych dawnych kolegów. Odległość ta była dostateczna, ażeby trójkąty wytykane przez oba oddziały nie mieszały się ze sobą i ażeby punkty trygonometryczne przez nie oznaczone nie dawały powodu do zajęć niemiłych dla obu uczonych komisji.

Kraina, w której Anglicy rozpoczęli nowe roboty, była pagórkowata, żyzna i mało zaludniona, co wielce ułatwiało prace pomiarowe. Nieprzerwana pogoda, niezamącona najmniejszą chmurką, sprzyjała robotom. Nieprzejrane łąki i pola, urozmaicone niezbyt rozległymi lasami, wzgórki przydatne do ustawiania celowników trygonometrycznych — wszystko to w połączeniu z piękną porą pozwalało prowadzić prace wedle upodobania w dzień lub w nocy. Cała okolica odznaczała się dziwną różnorodnością płodów: roślinność bogata, kwiecista, nęciła pszczoły, które bądź w dziuplach drzewnych, bądź w szczelinach skał zakładały barcie, wydające w obfitości biały wonny miód. Nie brakło i zwierza: żyrafy, gazy, antylopy najrozmaitszych gatunków podchodziły czasami, zwłaszcza w nocy, pod samo obozowisko. Hieny i pomniejsze dzikie bestie snuły się w gąszczach, a niekiedy w oddaleniu ukazywały się słonie i nosorożce. Można sobie wystawić, jaka to była pokusa dla biednego sir Johna Murraya. Wyznać jednak trzeba, że zacny dżentelmen stawiał potężny opór pokusom, a ręka jego, zamiast ulubionej strzelby, ścisnęła wciąż i wytrwale lunetę astronomiczną.

Za to Mokum wraz ze swoimi dzikimi współrodakami tym gorliwiej zajmował się polowaniem. Można sobie wyobrazić, jak gwałtownie uderzało serce biednego Murraya, ilekroć dobiegał do jego uszu oddalony huk strzałów myśliwskich. Pomiędzy inną zwierzyną Buszmen ubił parę bawołów, zwanych przez Beszuanów *bokolokolo*. Straszliwe te zwierzęta mierzyły od końca pyska do ogona blisko cztery metry, od racicy do szczytu grzbietowego około dwóch metrów. Ich krępe i muskularne ciała, małe łby, uzbrojone w czarne rozłożyste rogi, czarna sierść wpadająca w granat i srogie wejrzenie nabawiały trwogą najodważniejszych myśliwców. Z drugiej jednak strony polowano na nie zapamiętane, gdyż mięso tych zwierząt jest nadzwyczaj smaczne, a Anglicy bardzo byli radzi z tej odmiany pożywienia: płowa zwierzyna już im się przejadła. Krajowcy przygotowali mięso bawołów na podobieństwo pemikanu przyrządzanego przez Indian północnoamerykańskich, który daje się przechowywać przez czas nieograniczony. Europejczycy z zajęciem przyglądali się tym kucharskim działaniom, zrazu okazując jednak pewien wstręt. Mięso bawołów krajano w długie i cienkie pasy. Po wysuszeniu go na słońcu, dzicy pakowali je w wyprawione skóry, a następnie, bijąc cepami, prawie proskowali. Robił się więc z tego proszek mięsny. Proszek ten kładziono w wory skórzane, zalewając roztopionym tłuszczem. Krajowcy dodawali nadto trochę roztopionego szpiku i nieco jagód, zawierających składnik cukrowy, prawdopodobnie niezgodny z azotową naturą mięsa. Następnie masę tę gnieciono, ubijano i formowano z niej rodzaj twardych jak kamień placków.

Skoro ukończono przyrządzanie, Mokum prosił astronomów, ażeby skosztowali tej mieszaniny. Europejczycy ulegli prośbom Buszmena, uważającego swój pemikan za potrawę narodową. Pierwsze kąski spożyli z wstrętem, lecz wkrótce przyzwyczaili się do tego puddingu afrykańskiego, a z czasem uznali go nawet za wyśmienity. Pokarm ten w istocie był bardzo pożywny, bardzo stosowny dla potrzeb karawany, rzuconej w nieznaną kraj, w którym często się dawał odczuwać brak świeżej żywności. Pemikan, dający się wygodnie transportować, nieulegający zepsuciu, a w stosunku małej objętości bardzo pożywny, był nieocenionym skarbem w pustyni. Dzięki strzelcowi zapas jego doszedł wkrótce do kilka centnarów, a tak potrzeby spiżarniane karawany były zaspokojone na dłuższy czas.

W ten sposób upływały dni. Noce poświęcano częstokroć obserwacjom. William był smutny, myślał wciąż o Zornie i zlorzeczył okolicznościom, które w jednej chwili rozerwały ścisły węzeł przyjaźni. Brakowało mu Michała, nie miał komu spowiadać się z uczuć, rodzących się w tych wielkich a dzikich przestrzeniach. Zatapiał się w rachunkach, chronił się pomiędzy cyfry z wytrwałością Palandra, aby tylko zabić tęskne godziny. Pułkownik Everest był zawsze jednym i tym samym człowiekiem, zimnym, zajęтым namiętnie pracami trygonometrycznymi. Co do sir Johna Murraya, to ten szczerze żałował dawnej połowicznej swobody, lecz nie użalał się na to przed nikim.

Czasami jednak los dozwalał jego wielmożności powetować straty swobody. Jeżeli nie miał czasu uganiać się za płową zwierzyną po okolicznych gąszczach, to znowu zwierzyna sama podchodziła pod obozowisko, jakby dla kuszenia zacnego dżentelmena i odrywania go od prac matematycznych. Wówczas uczony przemieniał się nagle w myśliwca. Toż napadnięty miał zupełne prawo bronić się przed napastnikami. I w istocie w dniu 12 września wdał się w awanturkę z starym nosorożcem, która, jak zaraz się przekonamy,

kosztowała go немало.

Od niejakiego czasu zwierz ten kręcił się w pobliżu karawany. Był to potężny kawaler, mający około czternastu stóp długości, a przeszło sześć wysokości. Jego czarna skóra nie miała tak wyraźnych fałdów, jak u azjatyckich współplemieńców. Mokum twierdził, że to zwierz bardzo niebezpieczny. W samej rzeczy czarne nosorożce są daleko zuchwalsze i ruchliwsze od jasnych i bez zaczepki uderzają na ludzi i zwierzęta.

We wspomnianym dniu sir John Murray w towarzystwie Mokuma udał się na rozpoznanie stanowiska odległego o sześć mil od stacji, gdzie pułkownik postanowił założyć nowy celownik pomiarowy. Jakby w przecuciu sir John zabrał ze sobą, zamiast zwykłej dubeltówki, sztucer. Jakkolwiek od dwóch dni nie widziano nosorożca, wszelako sir John nie chciał źle uzbrojony zapuszczać się w nieznaną krainę. Mokum i jego towarzysze ścigali wprawdzie gruboskóra, ale go nie dogonili, a można było łatwo przypuścić, że olbrzymi zwierz nie porzucił swych zamiarów.

Sir John Murray nie pożałował swej przezorności. Przybył ze swym towarzyszem bez najmniejszego wypadku na wierzchołek wzgórza, gdy nagle u stóp jego na krawędzi lasku ukazał się nosorożec. Nigdy jeszcze lord nie widział tak blisko potwornego zwierza. W istocie, był on straszliwy. Małeńkie jego oczka iskrzyły się. Wstrząsał nozdrzami, ponad którymi wznosiły się jeden za drugim dwa rogi, prawie równej wielkości, długie blisko po dwie stopy i silnie osadzone w chrząstkowatej masie nozdrzy. Broń nader niebezpieczna.

Buszmen pierwszy dostrzegł nosorożca przytulonego do krzewu mastyksowego<sup>76</sup>.

— Milordzie — rzekł do niego — fortuna sprzyja waszej wielmożności: oto nosorożec.

— Nosorożec! — zawołał John z iskrzącym okiem.

— Tak, sir Johnie — odpowiedział Mokum. — Jest to, jak pan widzisz, wspaniałe zwierzę, które, jak mi się zdaje, ma ochotę przeciąć nam odwrót. Nie pojmuję, dlaczego to stworzenie roślinożerne zawzięło się na nas, lecz koniec końców trzeba je stąd wyprzeć.

— Czy może się wdrzeć tutaj do nas? — zapytał Murray.

— Nie ma obawy. Pochyłość zanadto spadzista dla jego krótkich a grubych kończyn, więc będzie czekał na nas.

— Niech więc czeka, a skoro zbadamy naszą stację pomiarową, postaramy się wyprosić stąd niewygodnego sąsiada.

Sir John Murray z Buszmenem poczęli prowadzić dalej przerwane chwilowo badanie. Z drobiazgową dokładnością obejrzeni wzgórek, wybrali punkt do postawienia znaku trygonometrycznego, upatrzyli ze szczytu dwa inne wzniesienia, mogące posłużyć za punkty wytyczne nowego trójkąta, a po ukończeniu wreszcie tych robót, sir John Murray, zwróciwszy się do Buszmena, zapytał:

— No i cóż, czy możemy wziąć się do nosorożca?

— Jestem na usługi waszej dostojności — odpowiedział Mokum.

— A czy gruboskóry oczekuje nas?

— Ani się ruszył z miejsca.

— A więc zjeźdźmy ku niemu, a jakkolwiek zwierz to potężny, jestem pewny, że kula mego sztucera powali go od razu.

— Jedna kula! — wykrzyknął strzelec. — Wasza dostojność, jak uważam, ma błędne wyobrażenie o nosorożcu. Zwierz to arcytwardy i nie widziano jeszcze, ażeby padł od jednej kuli, chociażby najsilniej wymierzonej.

— Ba — rzekł sir John — bo też nie strzelano do niego eksplodującym stożkowym pociskiem.

— Stożkowy czy okrągły, na jedno wychodzi: nigdy pierwsza kula nie zwali nosorożca.

— Ech, mój drogi — zawołał Anglik zadraśnięty w miłości własnej myśliwca — ja ci pokażę, co może broń Europejszka.

I mówiąc to, odwiódł kurek i zamierzał wystrzelić z odległości, która mu się wydawała wystarczająca.

<sup>76</sup>*mastyksowy krzew* — pistacja kleista (lentyszek), gatunek drzewa wydzielający pachnącą żywicę zwaną mastyksem, używaną jako środek higieny i w lecznictwie; występuje w basenie M. Śródziemnego i w Azji Zach. [przypis edytorski]

— Jeszcze słówko — zawołał Buszmen nieco dotknięty, powstrzymując Anglika. — Czy wasza dostojność nie raczyłaby się ze mną założyć?

— Dlaczegożby nie, zacny mój myśliwczę?

— Nie jestem bogaty, lecz z chęcią zaryzykuję funt szterling przeciwko pierwszej kuli.

— Trzymam — odparł sir John. — A więc otrzymasz funta, jeżeli nosorożec nie padnie od pierwszego strzału.

— Zgoda! — zawołał Mokum.

— Zgoda!

Dwaj myśliwi spuścili się z północnego stoku wzgórze i zatrzymali się o dwieście kroków od nosorożca. Zwierz pozostał wciąż bez ruchu, a przedstawiał swe cielsko tak korzystnie strzelcowi, że sir John mógł jak najswobodniej wybierać miejsce do zadania śmiertelnej rany. Anglik tak był pewny strzału, że wymierzywszy sztucer, odwrócił głowę do Mokuma i zapytał:

— A może chcesz się cofnąć? Jeszcze czas... No cóż?...

— Trzymam zakład — odpowiedział Buszmen.

Nosorożec stał spokojnie jak głaz. Sir John wybrał miejsce, które mu się zdawało najpewniejsze do zadania śmiertelnej rany. Zdecydował się ugodzić w nozdrze, a podniecony miłością własną, mierzył z nadzwyczajną starannością, której z pomocą przyjąć miała wyborna broń.

Rozległ się wystrzał, lecz kula zamiast ugodzić w ciało roztrzaskała koniec rogu. Zwierz zdawał się nie czuć strzału.

— Tęgo strzału nie będziemy liczyć, wasza dostojność nie ugodziła w ciało — zawołał strzelec.

— Czy tak? — odrzekł Murray, nieco obrażony. — Przeciwnie, mój strzelcze, strzał się liczy. Przegrałem funta, ale trzymam dalej: dwa funty lub kwita.

— Jak się waszej dostojności podoba, ale szkoda pieniędzy, bo pan przegrasz.

Anglik bardzo starannie nabił sztucer, wymierzył celnie pod łopatkę i wypalił, lecz kula ugodziła w miejsce, gdzie skóra jakby rogowata zachodzi jedna na drugą. Pocisk odbił się jakby od żelaznej tarczy i upadł na ziemię. Nosorożec posunął się i cofnął o kilka kroków.

— Dwa funty — liczył Mokum.

— Czy trzymasz zakład dalej?

— Z największą chęcią.

Tym razem sir John, czując, że nim owłada gniew, całą siłą starał się zapanować nad sobą i wymierzył w samo czoło. Kula uderzyła w wybrane miejsce, lecz odbiła się od twardej czaszki i upadła bez skutku.

— Cztery funty — zawołał Mokum z nietajoną radością.

— I jeszcze cztery! — zawołał sir John zdesperowany.

Pocisk trafił w biodro, ale nosorożec zamiast lec trupem rzucił się jak szalony naprzód i począł z wściekłością druzgotać krzewy napotymane na drodze.

— Zdaje mi się, że nosorożec jeszcze cokolwiek się porusza — rzekł z udaną prostotą Buszmen.

Sir John tracił prawie zmysły od gniewu. Osiem funtów, które był już winien strzelcowi, zaryzykował na piątą kulę — przegrał i jeszcze raz podwoił stawkę. Dopiero szósta kula ugodziła w serce, a zwierz upadł, ażeby się więcej nie podnieść.

Jego dostojność wydała okrzyk zwycięski. Chybione strzały, zakład chwilowo poszły w niepamięć: zabił przecież nosorożca. Ale było to zwierzę arcydrogie.

Trzydzieści dwa funty szterlingi, to jest osiemset franków. Sir John odliczył je natychmiast, a Mokum ze zwykłą zimną krwią zgarnął do kieszeni.

#### XVI. ROZMAITE PRZYGODY

W końcu miesiąca września astronomowie posunęli się o jeden stopień dalej ku północy. Część południka zmierzona dotąd za pomocą trzydziestu dwóch trójkątów obejmowała cztery stopnie, dzieła więc dokonano w połowie. Trzej uczeni, pracując z niezwykłym wyteżeniem, doznawali czasami tak wielkiego utrudzenia, że przerywali robotę na kilka dni. Przyczyniały się do tego nadzwyczaj duszące upały. Wiadomo, że wrzesień odpowiada kwietniowi na półkuli północnej, na której pod tym samym stopniem szerokości leży

Sahara i górny Egipt. W godzinach południowych niepodobna było pracować, pomiar więc przedłużał się, co wielce niepokoiło Buszmena z następujących powodów.

Na północ wymierzanego obecnie południka, o jakie sto mil angielskich od ostatniej stacji zajmowanej przez astronomów, mierzony łuk przecina osobliwszą okolicę, w języku krajowców zwaną *Karru*, podobną do pustyni rozciągającej się u stóp gór Roggeveld w Kolonii Przylądkowej. Okolica rzeczona w czasie pory dżdżystej nosi znamiona najurodzajniejszej ziemi. Po kilku dniach deszczu ziemia pokrywa się prześliczną zielonością, różnobarwne kwiaty wdzieczą się obficie dokoła, rośliny w bardzo krótkim czasie rozrastają się, a jak okiem sięgnąć wszędzie bujne pastwiska, obfite potoki zraszają ziemię. Stada antylop spuszczają się z gór i obejmują w posiadanie te zaimprovizowane łąki. Lecz cudowne działanie przyrody trwa krótko. Po miesiącu, a najwyżej po sześciu tygodniach, palące promienie słońca wypijają wszelką wilgoć, zamieniając ją w pary i mgły. Stwardniała ziemia nie jest w stanie utrzymać roślinności. Wszystko więdnie i usycha. Zwierz uchodzi w urodzajniejsze okolice, a w miejsce bogatej i żyznej okolicy zastępuje głucha pustynia.

Taką to ziemię miała przebywać wyprawa angielska przed osiągnięciem prawdziwej pustyni, graniczącej z jeziorem Ngami. Łatwo pojąć, dlaczego Buszmen pragnął przebyć tę okolicę zanim susza zniweczy wszelkie żywotne źródła. Swoje zdanie przedłożył pułkownikowi, który zrozumiał doniosłość uwag strzelca i przyrzekł, o ile można, pospieszać z robotami. Ale pośpiech ten nie powinien był szkodzić dokładności pomiaru. Obliczanie kątów nie jest łatwe i nie zawsze da się wykonywać. Praca ta wymaga pięknej pogody. Pomimo nalegania Mokuma, roboty nie szły tak śpiesznie jak należało i myśliwiec był pewny, że zanim zostaną ukończone, chwilowa żyzność krainy *Karru* zniknie pod działaniem ognistych promieni słońca.

Trójkątowanie odbywało się na granicy tej ziemi. Astronomowie mieli jeszcze sposobność podziwiania cudownej żyzności krainy, ku której się zbliżali. Nigdy jeszcze nie oglądali tak bujnej wegetacji łąkowej. Pomimo palących upałów liczne strumienie rozszerzały dokoła przyjemny chłód. Nieprzeliczone stada zwierzyny znajdowały tu obfitą paszę. Miejscami zielone gaje urozmaicały okolicę, nadając jej podobieństwo do angielskiego parku.

Pułkownik Everest nie zachwycał się pięknnością przyrody, ale za to sir John Murray, a nade wszystko William Emery, uczyli żywo wdzięk poetycznej okolicy, rozciągającej się przed ich okiem. William tym silniej czuł teraz brak przyjaciela, Michała Zorna, z którym w podobnych razach podzielał doznawane wrażenia. O jakżeby teraz mile im schodził czas wolny od pracy, na podziwianiu precyzyjnych wdzięków przyrody.

Karawana posuwała się naprzód wśród tej czarownej krainy. Niezliczone stada ptactwa śpiewem i lotem ożywiały łąki i gaje. Myśliwi oddziału nie tracili daremnie czasu, bijąc wielkie *korany*, podobne do dropiów, a zamieszkujące licznie południową Afrykę, lub „grubogłowy”, mające delikatne i wytworne mięso. Inne jeszcze ptaki zwracały uwagę Europejczyków, chociaż nie ze względów gastronomicznych. Nad brzegami strumieni, ponad licznymi potokami większe ptaki upędzały się za żarłocznymi wronami, które im wypijały jaja, składane w nadbrzeżnych piaskach. Błękitne żurawie z białą szyją, szkarłatne czerwonaki, przechadzające się jak ogniste duchy pomiędzy zaroślami; czaple, kszyki, bekasy i kalasy przysiadające na grzbietach bawołów rozciągniętych na murawie; siewki, ibisy egipskie, pelikany maszerujące szeregami jak wojsko — wszystko to ożywiało nadobną krainę, której jeszcze tylko brakowało człowieka. Ze wszystkich jednak mieszkańców skrzydlatych, najbardziej zajmowały oka zmyślne „tkaczyki”, których zielone gniazdzka, niby olbrzymie gruszki, zwieszały się z gałązek wierzb płaczących. William wziął je zrazu za plód roślinny. Jakże się zadziwił, zerwawszy parę i znalazłszy wewnątrz zielonej powłoki pisklęta. A jednak niezawodnie wzruszyłby ramionami z politowaniem, gdyby był wyczytał w opisach którego z starożytnych podróżników, że w Afryce znajdują się drzewa, których owoc wydaje żywe ptaki.

Natura

Karru więc przedstawiało w obecnej chwili bajecznie żyzną krainę, eldorado<sup>77</sup> paszy dla przeżuwaczy. Gnu o spiczastych kopytach, *kaamy*<sup>78</sup>, o których Harris<sup>79</sup> twierdził, że się składają z trójkątów, losie, kozice, gazy, przesuwały się licznymi stadami. Co za rozmaitość zwierzyny, jaka nęcąca pokusa dla zapalonego myśliwca. Nie mógł jej się oprzeć sir John Murray i uzyskawszy dwudniowy urlop od pułkownika Everesta, udał się natychmiast na polowanie wraz z Buszmenem, a William Emery przyłączył się do nich jako amator. Ileż tu pomyślnych strzałów przybyło do księgi myśliwskiej zacnego dżentelmena, ileż trofeów myśliwskich zdobył dla przyozdobienia swego zamku w górach szkockich! W tych dwóch rozkosznych dniach polowania wywietrzały mu zupełnie z głowy triangulacje, południki, zenity i wszystkie tym podobne nudne zajęcia. Dzierząc strzelbę silną i pewną dłonią, zapominał, że wczoraj jeszcze trzymał ją na lunecie południkowej. Oko znużone widokiem gwiazd szukało wytchnienia, spoczywając na celu sztucera lub dubeltówki, ścigało migającą sążnistymi susami antylopę, zamiast wpatrywać się w leniwie przesuwaną się gwiazdę stałą trzynastej wielkości. W ciągu tych dwóch dni sir John Murray przemienił się w tak zapalonego myśliwca, tak głęboko pogrzebał nudnego astronoma, iż zachodziła obawa, że może ten pedant już nigdy więcej się nie ukaże.

Jednak podczas tych rozkosznych dni poświęconych łowiectwu zaszło pewne wcale niespodziane zdarzenie, które mocno zaniepokoiło Mokuma. Wypadek ten usprawiedliwiał jego niecierpliwość, z jaką przynaglał pułkownika do przyspieszenia robót.

W dniu 15 października, drugim właśnie namiętnych łowów Murraya, dano znać Mokumowi, że w odległości dwóch mil angielskich na prawo od obozowiska wytropiono stadko pięknych antylop. O zwierzęta te nie było trudno, lecz właśnie owo stado złożone było z antylop z rodzaju *Oryx*, bardzo trudnych do podejścia, a z tego powodu ponętnych dla myśliwców afrykańskich, którzy ubicie ich uważają za wielki tryumf łowiecki.

Buszmen natychmiast zawiadomił o tym sir Johna i nalegał nań silnie, aby korzystał z nadarżającej się a tak rzadkiej sposobności. Powiedział mu przy tym, że antylopa oryks ma nadzwyczajnie szybki bieg i rączością prześciga najlepsze konie; że sławny myśliwiec Cumming, który całe życie spędził na łowach, polując w krainie Namaka<sup>80</sup> na antylopy, pomimo używania najroślejszych i najszybszych koni, zdołał upolować zaledwie cztery.

Opowiadanie to podniecało Murraya do najwyższego stopnia; oświadczył więc, że natychmiast uda się na ściganie oryksów. Nie czekając na Mokuma, dosiadł najszybszego konia, wybrał najlepsze psy i wyprzedziwszy Buszmena, puścił się ku zaroślom, w których dostrzeżono antylopy.

Mokum wkrótce go dopędził. Po półgodzinnej jeździe zatrzymali się obydwaj za kępą drzew. Buszmen wskazał Anglikowi grupę zwierząt pasących się pod wiatr o kilkaset kroków. Nie dostrzegły jeszcze myśliwych i bez obawy pasły się na bujnej łące. Jedno wszakże stało jakby na czatach, na co Afrykanin zwrócił uwagę sir Johna.

— To czata — szepnął. — Stary samiec, czuwający nad bezpieczeństwem stada. W razie dostrzeżenia czegoś wyda świst, a natychmiast stado pierzchnie z niezmierną szybkością. Należy go więc ubić z takiej odległości, ażeby od celnego strzału padł na miejscu.

Anglik odpowiedział skinieniem i podsuwał się z wolna, ażeby zająć jak najdogodniejsze stanowiska. Oryksy nie przestawały skubać trawy. Samiec naczelnik, do którego zapewne dobiegła z wiatrem jakaś podejrzana woń, podniósł głowę do góry i zaczął okazywać pewien niepokój, ale myśliwi, zbyt oddaleni od niego, nie mogli strzelać. O szczuciu psami na tak rozległej równinie nie można było ani marzyć. Jedynie tylko zbliżenie się stada ku zaroślom, w których kryli się strzelcy, dozwoliłoby wybrać i powalić po jednej sztuce.

Przypadek zdawał się sprzyjać myśliwcom. Stado pod przewodnictwem starego samca z wolna posuwało się ku kępie drzew ukrywających zasadzkę. Antylopy bez wątpienia

<sup>77</sup>*eldorado* — wymarzona, dostatnia kraina; od nazwy Eldorado: kraju złota, legendarnej krainy w Ameryce, w której istnienie wierzone w XVI w. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*kaama* — właśc. bawolec krowi, duży przeżuwacz z Afryki Śr. i Płd. o rogach w kształcie liry. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Harris, William Cornwallis (1807–1848)* — bryt. inżynier, odkrywca i myśliwy, autor m.in. *Portraits of the Game and Wild Animals of Southern Africa* (1840). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*kraina Namaka* — dziś: *Namaqualand*, kraina geogr. rozciągająca się wzdłuż atlantyckiego wybrzeża RPA i Namibii. [przypis edytorski]

czuły się bezpieczne na otwartej równinie. Skoro Mokum nabrał pewności, że stado przybliży się, zsiadł z konia i dał znak Anglikowi, aby uczynił to samo. Konie przywiązano do pni sykomor. Buszmen zawiązał im oczy i pokrył głowy derkami, dla zapewnienia ich milczenia i nieruchomości, po czym, trzymając psy u nogi, obydwaj zaczęli się z wielką przezornością podsuwać zachodzącym daleko w pole klinem lasu, którego ostatnie drzewa nie były dalej jak trzysta kroków odległe od antylop. Tam przypadli, jakby na zasadzce, oczekując z odwiedzioną bronią przyjaznej chwili do strzału.

Z tego miejsca można było doskonale obserwować stado i podziwiać wytworną budowę zwierząt. Samce mało się różniły od samic, które dziwną igraszką przyrody były, co się rzadko pomiędzy zwierzętami zdarza, daleko lepiej uzbrojone: rogi ich wysmukłe, łukiem w tył zagięte, zwężyły się regularnie ku końcowi. Trudno znaleźć zwierzę, które by wdziękiem postaci przewyższało oryksy. Żadne nie posiada pstrokacizny czarnej tak regularnie porozkładanej na płowej sierści. Pęk włosów zwiesza się im spod gardła, grzywa jeży się równo, a bujny ogon spływa ku samej ziemi.

Tymczasem stado, złożone z dwudziestu kilku antylop, zbliżyło się ku zaroślom i zaczęło paść spokojnie. Samiec widocznie chciał skłonić je do opuszczenia otwartej równiny. Obchodził wysokie trawy, pośród których znajdowało się stado, i na wzór psa owczarskiego spędzał rozpierzchnięte antylopy w jedną gromadkę. Ale znać nie miały one ochoty uczynić zadość woli swego przewodnika i opuszczać bujnej łąki: opierały się, wymykały, skacząc, i powracały paść się nieco dalej.

Te ich manewry zdziwiły Buszmena, zwrócił na nie uwagę sir Johna, nie umiejąc jednak wytłumaczyć ani uporu starego samca, ani powodu, dla jakiego usiłował stadko wprowadzić w gąszcz.

Postępowanie to powtarzało się ciągle bez zmiany. Anglik niecierpliwił się, ściskając zamek swojego sztucera. To chciał strzelać, to wysunąć się naprzód. Mokum z trudnością go powstrzymywał. Godzina już upłynęła i nie można było przewidzieć, jak długo jeszcze potrwają manewry, gdy jeden z psów Anglika, tak niecierpliwy jak jego pan, zaszczekał przeraźliwie i puścił się jak strzała ku antylopom.

Rozjątrzony Buszmen chętnie posłałby za nim kulę, lecz stado uciekało już z niewypowiedzianą szybkością, a sir John przekonał się teraz, że najprędszy koń nie byłby w stanie doścignąć oryksów. Wkrótce wydawały się już czarnymi punkcikami skaczącymi między wysokimi trawami.

Jednak ku wielkiemu zdziwieniu Buszmena stary samiec nie dał im znaku do ucieczki. Wbrew zwyczajowi tego rodzaju zwierząt, pozostał na dotychczasowym stanowisku, nie myśląc wcale pospieszać za swoim stadem. Starał się nawet ukryć w trawie, jakby zamierzając dostać się do lasu.

— Rzecz arcyciekawa — odezwał się Mokum — czego chce ten stary oryks. Ruchy jego są szczególniejsze. Czyżby był ranny lub bardzo stary, że nie ucieka?

— Dowiemy się wkrótce — odpowiedział Murray, puszczając się ku antylopie z bronią gotową do strzału.

W miarę zbliżania się myśliwca kozioł coraz bardziej poczynił przypadać do ziemi. Wkrótce widać już było tylko zakrzywione rogi, wystające wysoko nad trawą. Nie starał się uchodzić, ale tylko ukryć, mógł więc sir John łatwo zbliżyć się do osobliwego zwierzęcia. Z odległości stu kroków posłał mu kulę. Musiała utkwić w głowie, bo wzniesione dotąd rogi opadły w trawę.

Sir John z Mokumem przypadli do oryksa. Buszmen trzymał w pogotowiu nóż myśliwski, aby go przesyć, gdyby żył jeszcze.

Ostrożność jednak była zbyt duża. Oryks nie żył i był do tego stopnia martwy, że skoro go sir John ujął za rogi, zwiesiła się obdarta skóra, w środku której nie było ani mięsa, ani kości.

— Na świętego Patryka! — zawołał — Nic mi się podobnego w życiu nie wydarzyło! — Wymówił to tak komicznym tonem, że każdy oprócz Buszmena, byłby wybuchnął śmiechem.

Ale Mokum wcale się nie śmiał. Zaciśnięte usta, zmarszczone brwi i zaiskrzone oczy jasno okazywały, że go owładnął niepokój. Złożył ręce i począł oglądać się na wszystkie strony.



Nagle jakiś przedmiot zwrócił jego uwagę. Był to skórzany woreczek, wyszywany w czerwone wzory. Buszmen podniósł go i zaczął uważnie oglądać.

— Co to jest? — zagadnął sir John.

— To — odrzekł Mokum — jest woreczek Makolola.

— A skądże on się tu wziął?

— Właściciel jego zgubił go widocznie, uciekając szybko.

— A więc ten Makololo?...

— Siedział w skórze oryksa i do niego to pan strzelałeś.

Sir John nie miał jeszcze czasu do okazania swego zdziwienia, gdy Mokum dostrzegł jakiś poruszenie w wysokiej trawie. Złożył się szybko i wypalił. Obydwaj popędzili ku podejrzanemu przedmiotowi, ale miejsce było próżne, tylko wydeptane trawy okazywały, że przeszła tamtędy żyjąca istota. Makololo zniknął, trzeba było zrezygnować ze ścigania za nim po nieprzejrzanym stepie, rozciągającym się aż do granic widnokregu.

Myśliwi powrócili mocno zaniepokojeni tym wypadkiem i nie bez słuszności. Spotkanie Makolola przy kamiennej piramidzie na wzgórzu, a obecnie jego powtórne pojawienie się w skórze oryksa dowodziło, że krajowiec uporczywie śledził przebywający pustynię oddział pułkownika Everesta. Nie bez powodu dziki należący do łupieżczego plemienia Makololów szpiegował Europejczyków i ich eskortę. A im dalej zapuszczali się oni na północ, tym bardziej wzrastało niebezpieczeństwo napadu przez tych rabusiów pustyni.

Sir John Murray i Mokum powrócili do obozu, a zawiedziona jego dostojność nie mogła się wstrzymać, ażeby nie szepnąć Williamowi Emery:

— Doprawdy, mój kochany Williamie, że to już potrzeba mojego szczęścia, aby pierwszy oryks, do którego strzeliłem, już nie żył, zanim go ugodziła moja kula.

#### XVII. W PUSTYNI

Buszmen po polowaniu na oryksy miał długą rozprawę z pułkownikiem. Zdaniem Mokuma, opartym na doświadczeniu, mały oddział był tropiony i szpiegowany, a więc zagrożony. Jeżeli go dotąd nie napadli, to tylko dlatego, że im było daleko dogodniej zwabić Europejczyków dalej na północ, w okolice, w której krążyły głównie ich drapieżne hordy. Czy wobec takiego niebezpieczeństwa należało wrócić się i przerwać pomiary, prowadzone dotąd tak znakomicie? Czyż zwalczony przeskody natury, mieli ustąpić ludziom? Czyż krajowcy mogli przeszkodzić uczonemu angielskiemu w dokonaniu ich zadania naukowego? Były to nadzwyczaj ważne pytania, które należało rozwiązać.

Pułkownik prosił Buszmena, ażeby mu powiedział wszystko, cokolwiek było mu wiadome o Makololach, i oto treść tego, co mu strzelec opowiedział szeroko.

Makololowie należą do wielkiego plemienia Beszuanów, które rozciąga się aż ku równikowi. W r. 1850 Dawid Livingstone podczas swojej pierwszej podróży w porzeczce Zambezi przyjmowany był w Seszeke, zwykłej rezydencji Sebituana<sup>81</sup>, naówczas najpotężniejszego naczelnika Makololów. Krajowiec ten był straszliwym wojownikiem, który w r. 1824 zagroził granicom Kolonii Przylądkowej. Sebituan, obdarzony znakomitą inteligencją, potrafił z wolna opanować najwyższą władzę nad rozproszonymi plemionami Afryki Środkowej i stworzyć z nich hordę potężną, a panowania nader chciwą. W r. 1853, to jest przed rokiem, ten naczelnik krajowców umarł na rękę Livingstone'a, a po nim nastąpił jego syn Sekeletu<sup>82</sup>.

Sekeletu zrazu okazywał nader żywą sympatię Europejczykom przybywającym nad brzegi Zambezi. Livingstone szczególnie mu się podobał, ale sposób postępowania króla afrykańskiego zmienił się po odejździe wielkiego podróżnika. Nie tylko cudzoziemcom, ale i krajowcom dokuczał Sekeletu wraz z swoimi hordami. Po gnębieniu nastąpiły napady i rabunki, odbywające się na wielką skalę. Makololowie snuli się nieustannie, mianowicie też w krainie leżącej pomiędzy jeziorem Ngami a górnym biegiem Zambezi. Było więc bardzo niebezpieczne zapuszczać się w te okolice nielicznej karawanie, zwłaszcza też, że ją od dawna uporczywie śledzono. Należało więc spodziewać się lada dzień napadu dzikich hord.

<sup>81</sup>Sebituane a. Sebetwane (ok. 1790–1851) – wódz afrykański, założyciel i król potężnego ludu Makololów w ob. płd.-zach. Zambii. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Sekeletu (ok. 1835–1863) — król Makololów (od ok. 1851) w ob. zach. Zambii. [przypis edytorski]

Tej treści raport zdał Buszmen Everestowi. Dodał, iż uważa za święty obowiązek przedstawić mu zupełną prawdę. Co do siebie samego, zapewnił, że wypełni wszelkie rozkazy pułkownika i uda się za nim, jeżeli poprowadzi karawanę ku północy.

Pułkownik odbył naradę z sir Johnem i Williamem, której wynikiem było postanowienie, ażeby cokolwiek by zająć mogło, prowadzić wciąż roboty. Blisko pięć ósmych łuku było dotąd zmierzonych, uważali więc za święty obowiązek dokończyć rozpoczęte dzieło. Anglicy sami sobie i ojczyźnie swej winni byli wytrwać do końca.

Po zapadnięciu tej uchwały rozpoczęto na nowo trójkątowanie. W dniu 27 października komisja przecięła prostopadłe Zwrotnik Koziorożca, a w sześć dni później, po obliczeniu czterdziestego trzeciego trójkąta i zdjęciu wysokości zenitalnej, stwierdzono, że pomiarzenie dotychczasowe łuku powiększyło się o jeden stopień.

Przez cały listopad prowadzono gorliwie roboty, nie napotykając żadnej przeszkody naturalnej. Kraj ten jest piękny, a tak szczęśliwie położony, że na całej przestrzeni nie znajdowały się większe rzeki do przebywania. Astronomowie mogli pracować łatwo i szybko. Mokum, czuwający bez przerwy, starannie przepatrywał okolicę na przodzie i po bokach karawany i nie pozwalał strzelcom od niej się oddalać. Dotąd żadne niebezpieczeństwo nie zdawało się zagrażać karawanie i nic nie usprawiedliwiała obaw Buszmena. W ciągu listopada nie pojawiły się nigdzie hordy Makololów, ani nie natrafiono na ślady krajowca, który począwszy od piramidy w spalonym lesie tak uporczywie szedł za karawaną.

A jednak, pomimo że niebezpieczeństwo zdawało się przemijać, Mokum dostrzegł kilkakrotnie pomiędzy dowodzonymi przez siebie Bochjesmanami pewne wahanie się. Nie można było ukryć przed nimi wypadków zaszłych w spalonym lesie i podczas polowania na oryksy. Oczekiwali nieuniknionych spotkań z Makololami, a dwa te plemiona są sobie wrogie i nieprzejednane. Zwycięzony nie może się spodziewać najmniejszej litości od zwycięzcy. Szczupła liczba Bochjesmanów, zmniejszona jeszcze do połowy po rozdzieleniu się karawany, doznawała usprawiedliwionej obawy. Bochjesmanowie, oddaleni o trzysta mil angielskich od Oranje, mieli jeszcze posunąć się o dwieście mil dalej na północ; to im dawało wiele do myślenia. Wprawdzie przed zaciągnięciem Mokum nie ukrywał przed nimi ani trudów, ani odległości wyprawy, a ludzie ci nie lękali się wcale, lecz odkąd z trudami poczęło łączyć się niebezpieczeństwo spotkania się z śmiertelnymi wrogami, zmieniło się ich usposobienie. Zaczęli szemrać, wyrzekać i okazywać złą wolę. Mokum udawał wprawdzie, iż tego wszystkiego nie widzi, lecz niepokoił się bardzo o los wyprawy.

Wypadek zaszły w dniu 2 grudnia podniecił jeszcze złe usposobienie zabobonnych Bochjesmanów i wywołał pomiędzy nimi pewien rodzaj buntu przeciw zwierzchnikom.

Niebo dotąd cudnie pogodnie zachmurzyło się. Pod wpływem upałów podzwrotnikowych powietrze przesycone parą wskazywało wysokie napięcie elektryczne. Można było na pewno zapowiedzieć burzę, która w tutejszym klimacie prawie zawsze wybucha z niewypowiedzianą gwałtownością.

W samej rzeczy zaraz z rana niebo pokryło się ciemnymi chmurami, z których meteorolog z łatwością przepowiedziałby burzę. Były to chmury kłębiaste, bałwanowate, jakby ułożone z nastroszonej bawełny, ciemnosine z żółtawym odcieniem. Słońce pobladło, cisza zapanowała w powietrzu. Nagle od wczoraj spadanie barometru nagle zatrzymało się. Ani jeden listek nie zadrzał w tej ciężkiej atmosferze.

Astronomowie zbadali stan nieba, lecz nie uważali za potrzebne przerywać robót. W tej chwili William Emery z dwoma majtkami i czterema krajowcami znajdował się o dwie mile angielskie na wschód od południka, w celu ustawienia celownika trygonometrycznego. Zajmował się właśnie tą pracą, gdy nagle pod wpływem silnego zimnego prądu, zgęszczona para dała początek rozwinięciu się zjawisk elektrycznych. Gwałtowny grad zaczął padać obficie. Połączyło się z tym nader rzadkie zjawisko, gdyż każda kulka gradu świeciła mocno, jak gdyby padały krople roztopionego cynku. Każde uderzenie gradowej bryłki wywoływało z ziemi iskrę, a ze wszystkich okuc wozów wylatywały snopy światła.

Wkrótce objętość brył gradowych zwiększyła się. Padał jakby deszcz kamienny, na który wystawiać się nie można było bez niebezpieczeństwa. Podobny grad padał podczas pobytu Livingstone'a w Kolobengu; pogruchotał szyby w domu misyjnym, pozabijał konie i mnóstwo antylop zaskoczonych w polu. William natychmiast przerwał robotę,

zwołał ludzi, rozkazawszy im schronić się pod wozy, stojące u stóp wzgórza, ale zaledwie opuścili szczyt pagórka, gdy olśniewające błyskawice z przerażającym hukiem gromu rozdarły powietrze.

William padł. Majtkowie, zrazu olśnieni blaskiem, rzucili się ku niemu. Na szczęście młodzieniec uszedł śmierci. Dziwnym a prawie niewytłumaczonym zdarzeniem, jakie czasami pojawiają się przy uderzeniu gromu, fluid elektryczny ześliznął się, że tak powiemy, po ciele Emery'ego; ale śladu przejścia dowodziły stopione końce cyrkla, który miał w ręku.

Podniesiony przez majtków, szybko przyszedł do siebie. Lecz nie tylko on był ofiarą piorunu. Pod tyką umieszczoną na szczycie wzgórza dwóch krajowców leżało bez życia w odległości dwudziestu kroków jeden od drugiego. Jednego grom poszarpał i spalił prawie na węgiel, drugi, ugodzony w czaszkę, zdawał się być nienaruszony, niemniej przecież nie żył.

Tak więc trzech ludzi: Williama Emery'ego i dwóch krajowców ugodził grom rozdzielony na trzy iskry. Zjawisko rzadkie, lecz kilkakrotnie obserwowane, rozdzielenia się iskry piorunowej na trzy części pod kątem znacznie rozwartym.

Bochjesmanowie, przerażeni śmiercią swych współrodaków, zaczęli uciekać, nie zważając wcale na wołania majtków, którzy ich usiłowali zatrzymać, ani też bacząc na to, że szybkim biegiem mogą wzruszyć powietrze i przyciągnąć piorun. Umykali z ogromną szybkością ku obozowi. Dwaj marynarze zanieśli Williama na wóz i złożyli obok niego ciała dwóch zabitych, a wreszcie sami tam się schronili. Obydwaj otrzymali mocne kontuzje od spadających brył gradu, padającego jak deszcz kamienny. Przez trzy kwadranse trwała szalona burza, po czym zaczęła łagodnieć. Grad ustał, a schronieni mogli się puścić w drogę.

Wiadomość o śmierci krajowców wyprzedziła przybywających. Wywarła ona okropne wrażenie na Bochjesmanach, którzy i tak już od dawna z nieufnością przyglądali się pracom Europejczyków, zupełnie dla nich niepojętym. Zaczęli się naradzać, a kilka najbardziej zdemoralizowanych oświadczyło stanowczo, że krokiem dalej nie ruszą. Był to początek buntu mogącego przybrać groźne rozmiary. Mokum zaledwie zdołał użyciem całego swego wpływu powstrzymać wybuch. Pułkownik wziął żywy udział w uspokojeniu tych biedaków i przyrzekł im powiększyć płacę dla nakłonienia, aby zostali w służbie. Zgodzono się nie bez trudności, długo opierali się i o mało nie zostało zagrożone dalsze prowadzenie robót. W samej rzeczy cóż by poczęli członkowie komisji pośród pustyni, z dala od osad ludzkich, nie mając ani eskorty, ani woźniców? W końcu jednak udało się nawiązać stosunki, a po pogrzebie dwóch zabitych oddział wyruszył naprzód ku wzgórzu, na którym zaszedł straszny wypadek.

William Emery po kilku dniach zaledwie odzyskał siły po doznanym wstrząśnieniu: ręka, w której trzymał cyrkiel, była dość długo bezwładna, jakby sparaliżowana, lecz z wolna odzyskał w niej władzę i mógł powrócić do swych zajęć.

W ciągu następnych dni, aż do 20 grudnia, nie zaszło nic godnego uwagi. Makolowie nie pokazywali się, a Mokum, chociaż zawsze nieufny, począł się uspokajać. Około pięćdziesiąt mil angielskich oddzielało wyprawę od granic pustyni, a Karru aż do tego czasu zachowywało pozór i przymioty urodzajnej krainy. Roślinność jej, zasycana wciąż potokami, zachowywała nieporównaną świeżość. Można było przypuszczać, że aż do krańca pustyni nie zabraknie ani ludziom zwierzyny, ani paszy bydłu, brodzącemu w pas w bujnej i soczystej trawie. Zapomnieli jednak nasi podróżni o burzy innego rodzaju, której pojawienie się zagraża wiecznie rolniczym okolicom Afryki.

Wieczorem 20 grudnia, na godzinę przed zachodem słońca, Anglicy i Buszmen wyczywali po całodziennych trudach pod rozłożystymi gałęziami drzewa i rozprawiali o przyszłych zamiarach, gdy począł zrywać się wiatr północny i ochładzać nieco atmosferę.

Astronomowie ułożyli się, że tej nocy wymierzają położenie i wysokość niektórych gwiazd w celu oznaczenia szerokości geograficznej miejsca zajmowanego obecnie przez obóz. Pogoda była cudowna, księżyc na nowiu, spodziewać się więc należało, że gwiazdy świetnie zajaśnieją, że zatem wymierzenie ich wysokości uda się przedziwnie. Ale radość tę pułkownika i sir Johna zmącił William Emery, wskazując w stronę północną i mówiąc:

— Patrzcie, panowie, na krańcu widnokregu chmurzy się; nie najlepsza to wróżba dla nas.

— Prawda — zawołał sir John — lękam się, aby wiatr powstający nie napędził nam tych chmur i nie zasłonił całego nieba.

— Czyżby znów miała powstać burza? — zagadnął pułkownik.

— Jesteśmy w krainach podzwrotnikowych i można się obawiać, że z naszej dzisiejszej pracy nic nie będzie.

— Cóż myślisz, Mokumie? — spytał pułkownik, zwracając się do niego.

Buszmen począł się pilnie wpatrywać w północną stronę nieba. Krańce chmury stanowiła linia krzywa, bardzo wydłużona, tak czysto odkrojona, jakby ją nożem oderżnięto. Długość jej wynosić mogła trzy do czterech mil angielskich. Ta czarna chmura uderzyła Mokuma swym dziwnym kształtem. Niekiedy odbijał się na niej szkarłatny odbłask zachodzącego słońca, lecz całkiem odmiennie od wieczornej zorzy chmur przy zachodzie.

— Szczególniejsza chmura — zauważył Buszmen, wpatrując się w nią bez przerwy.

W kilka chwil potem nadbiegł jeden z dzikich z doniesieniem, że konie, woły i psy należące do karawany okazują dziwny niepokój, że rozpraszają się po pastwisku i nie chcą iść do zagrodzenia.

— Niech więc zostaną przez noc poza ogrodzeniem — rzekł Buszmen.

— A dzikie zwierzęta?

— Och, te wkrótce będą miały tyle do roboty, że im czasu nie stanie na zajmowanie się naszym bydłem.

Bochjesman odszedł. Pułkownik zapytał Buszmena, jakie miała znaczenie jego osobliwsza odpowiedź. Ale Mokum, odszedłszy o kilka kroków dalej, nie przestawał wpatrywać się w dziwną chmurę, z której zjawienia się widocznie zdawał sobie sprawę.

Zbliżała się bardzo szybko. Z łatwością można było poznać, że wznosi się zaledwie na paręset stóp nad ziemią. Coraz bardziej wzmagający się wiatr przynosił od niej jakiś dziwny szmer, jakiś złowróźbny szelest.

W tej chwili poniżej chmury, na bladawym tle nieba, ukazał się rój czarnych punktów, wynurzający się z łona chmury i tonący w niej znowu. Można je było liczyć na tysiące.

— Co to za czarne punkty? — zapytał Murray.

— Są to sępy, orły, sokoły, kanie. Ciągną one z dala za tą chmurą i nie opuszczą jej, dopóki nie ulegnie rozproszeniu lub zniszczeniu.

— Lecz cóż to za osobliwsza chmura?

— To nie chmura — rzekł Mokum, wyciągając rękę w kierunku nadlatującej czarnej masy, która już zakrywała czwartą część nieba. — To żywy obłok, szarańcza!

Buszmen nie mylił się wcale. Europejczycy mieli zobaczyć straszne, a na nieszczęście w tych stronach często powstające zjawisko, które w przeciągu jednej nocy najżyźniejszą okolicę zmienia w pustynię. Szarańcza ta (*Acridium migratorium*) liczy się na miliardy. Zalega ona czasami na cztery do pięciu mil wszcz i wzdłuż okolicę, na której padnie, a pokrywa ziemię na parę stóp grubości.

— Tak — mówił Buszmen — chmury te są strasliwym nieszczęściem dla okolic, na które spadają. Daj Boże, abyśmy od nich nie doznali ciężkiej klęski.

— Alboż jesteśmy właścicielami pól obsianych lub pastwisk? Czegóż możemy się obawiać od tych owadów?

— Niczego, jeżeli przelecą nad naszymi głowami; wszystkiego, jeżeli spadną na dół. Wtedy nie pozostanie jeden listek na drzewie, jedno ździebełko trawy na ziemi. A pamiętaj o tym, pułkowniku, że my żywność wieziemy z sobą, ale nasze konie, woły i muły, cóż się stanie z nimi, jeżeli pastwiska ulegną zniszczeniu?

Wszyscy nagle zamilkli. Wpatrywali się ze zgrozą w nadciągającą chmurę szarańczy. Złowrogi szelest zwiększał się coraz bardziej, pomnażany wrzaskiem dzikiego ptactwa, pożerającego milionami owady.

— Czy mniemasz że spadną w tej okolicy? — zapytał William Mokuma.

— Lękam się — odpowiedział strzelec — wiatr niesie je tutaj. Nadto słońce zachodzi, chłodny wiatr ocieży ich skrzydła, wtedy opuszczą się na drzewa, krzaki i łąki... a wtedy...

Buszmen nie dokończył swoich słów, a już spełniała się jego przepowiednia. Strasliwa chmura z powietrza opuszczała się na ziemię. Wtedy cała powierzchnia ziemi aż do granic widnokregu pokryła się masą żyjącą i ruchliwą szkaradnego robactwa. Cały obóz został

nim dosłownie zalany: namioty, konie, wozy, wszystko znikło pod tym gradem żywym. Zaległ on na stopę wysoko. Anglicy, brnąc po kostki w szarańczy, gnietli ją za każdym krokiem setkami. Ale cóż to znaczy w porównaniu spadłych miliardów?

Obrzydliwe owady miały licznych nieprzyjaciół. Ptaki z chrapliwym krzykiem rzucały się na nie i pożerały tysiącami; spodem węże, przynęcone smacznym pokarmem, połykały ich mnóstwo; konie, woły, psy i muły nie gardziły tą strawą; dzikie zwierzęta, osobliwie też słonie i nosorożce, gniotły i pożerały masy szarańczy. Bochjesmanowie wreszcie, lubiący namiętnie te napowietrzne krewetki, raczyli się nimi do woli. Wreszcie i sama szarańcza niszczyła się, gdyż w braku innej strawy, mocniejsze owady pożerają słabsze. Jednak wszystkie te środki zniszczenia nic nie znaczyły, ubytek ten był żaden w porównaniu do ogromnej ilości spadłej z powietrza.

Buszmen pomimo wstrętu Anglików wymógł na nich, ażeby skosztowali szarańczy. Na pokarm użyto jedynie młodej, gdyż stara, zielona jest za twarda. Ugotowano ją z pieprzem i z octem. Owady te długie na dwadzieścia linii, grubości gęsiego pióra, mają, według twierdzenia krajowców, przed zniesieniem jaj wyborny smak. Po półgodzinnym gotowaniu Buszmen podał Anglikom półmisek tej osobliwszej potrawy; obłamano głowy, nóżki i skrzydła szarańczy. Sir John Murray zasmakował w niej i zalecił swym ludziom, aby się w nią na dłuższy czas zaopatrzyli. Zbiór nie zadał wiele trudu, potrzeba było tylko schylić się i brać.

Nadeszła noc. Wszyscy udali się na spoczynek, ale że i wozy uległy najściu, nie można więc było inaczej dostać się, jak tylko gniotąc tysiące owadów. Spoczynek w takich warunkach był niemożliwy. Ponieważ niebo było bardzo pogodne, przeto postanowiono zająć się pomiarami; gwiazdy błyszcząły cudownie, więc trzech astronomowie spędzili noc na mierzeniu wysokości zenitalnych. Niewątpliwie było to przyjemniej, aniżeli zatapiać się w tej obrzydłej, ruchomej pościeli. Wreszcie Europejczycy i tak nie mogliby zmrużyć oka wobec nieustannego wycia drapieżnych zwierząt, które się zbiegły zewsząd, by pożerać szarańczę.

Nazajutrz słońce zajaśniało w całym blasku, zapowiadając gorący dzień. Promienie jego ogrzały powietrze, a pośród mas szarańczy wszczął się dziwny szelest, zapowiadający, że wkrótce wzleci w górę, by nieść spustoszenie w inne strony. Około godziny ósmej rozwinęła się jakby ogromna chmura i zaciemniła blask słońca. Całą okolicę ogarnęły ciemności, zdawało się, że noc rozpoczyna swe panowanie. Powstający wiatr popędził szarańczę ku zachodowi. Przez dwie godziny wśród gęszącego szelestu ciągnęła chmura ponad pogrążonym w cieniach obozem.

Skoro światło znów zajaśniało, Anglicy przekonali się o prawdzie słów Mokuma: ani jednego listka na drzewie, ani jednego ździebelka trawy na polach — wszystko zniknęło. Powierzchnia gruntu była żółtawa i ziemista. Z gałęzi, okrytych wczoraj jeszcze bujną zielenią, pozostały tylko szkielety. W jednym dniu okolica letnia przybrała postać zimowej, żyzna oaza zmieniła się w nagą pustynię.

I sprawdziło się co do joty przysłowie wschodnie, wywołane zaborczością i łupieżstwem wyznawców Koranu: „kiedy przejdzie stopa Tatara, trawa tam nie rośnie; kiedy spadnie szarańcza, trawa tam nie rośnie”.

#### XVIII. BRAK WODY

Tak, w samej rzeczy, głucha pustynia otaczała teraz karawanę. Po zmierzeniu nowego stopnia południka i wytyczeniu czterdziestego ósmego trójkąta pułkownik Everest ze swymi towarzyszami dosięgnął w dniu 25 grudnia północnych granic pustyni Karru; ale nie dostrzegli najmniejszej różnicy pomiędzy krainą przebytą, a nową do przebycia: jak tam, tak i tutaj ziemia była wyschła i spalona.

Zwierzęta pociągowe ucierpiały bardzo od głodu. Paszy brakło, a i wody nie dostawało. Kałuże, powstałe skutkiem ostatnich deszczów, wyschły. Ziemia piaszczysta nie wydawała roślin. Reszta wód znikła w przepuszczalnym piasku. Ziemia, pokryta żwirem i mnóstwem głazów, nie była przydatna do zatrzymania najmniejszej wilgoci.

Była to jedna z tych płonnych<sup>83</sup> okolic, jakie nieraz Livingstone przebywał w swych niebezpiecznych wędrówkach. Nie tylko ziemia, ale i powietrze było tak suche, że narzędzia żelazne pozostawione pod gołym niebem nie rdzewiały. Uczony doktor twierdzi,

<sup>83</sup>płonny (daw.) — jałowy. [przypis edytorski]

że podczas tej pory liście wszystkich roślin marszczyły się, a mimozy-czulki po całych dniach miały listki stulone. Chrząższe, wyszedłszy na powierzchnię ziemi, po kilku sekundach zdychały. Na koniec po zagłębieniu termometru na trzy cale w ziemię, wskazał on 134 stopni Fahrenheita, czyli +56 termometru stustopniowego Celsjusza.

Takimi przedstawiały się pewne okolice południowej Afryki sławnemu wędrowcowi, taką okazała się astronomom angielskim kraina rozciągająca się pomiędzy granicami Karuru a jeziorem Ngami. Trudy ich były niezmierne, cierpienia dokuczliwe, a między nimi najsroższy brak wody. Dokuczał on najbardziej zwierzętom pociągowym: rzadka, sucha i przykurzona trawa, zaledwie mogła zabezpieczyć je od śmierci głodowej. Rozległa ta kraina nie tylko dla swej jałowości była pustynią, ale także z tego powodu, że żadne żyjące stworzenie nie śmiało się w nią zapuszczać. Ptaki odleciały ku Zambezi, spodziewając się tam znaleźć drzewa i kwiaty, zwierz drapieżny omijał z dala puste przestwory, bo nie spodziewał się znaleźć w nich łupu. W ciągu pierwszej połowy stycznia myśliwi karawany napotkali zaledwie kilka antylop z rodzaju tych, które są w stanie przez dłuższy czas wytrzymać bez wody. Były pomiędzy nimi i oryksy, które na ostatnim polowaniu tyle krwi napsuły sir Johnowi Murrayowi, a nadto *kaamy*, o łagodnym wzroku, o sierści popielatej, zwierzątka niewinne i bardzo poszukiwane dla smacznego i delikatnego mięsa. Zwierzęta te, nie wiadomo dlaczego, zdają się przekładać jałowe pustynie nad żyzne okolice.

Tymczasem astronomowie doznawali wielkiego wycieńczenia pod wpływem palących promieni słońca, w atmosferze pozbawionej wilgoci. Prace w dzień i w nocy wśród upałów, których nie ochładzał najmniejszy wietrzyk, męczyły ich bardzo. Zapas wody, zachowywanej w baryłkach, zmniejszał się z każdym dniem. Musiano więc zmniejszyć racje, na czym wszyscy bardzo cierpieli. Jednak ich odwaga i gorliwość nie upadały; bez względu na trudy i braki, pracowali wytrwale, z drobiazgową ścisłością, bez przerwy.

W dniu 5 stycznia ukończono pomiar siódmej części południka, za pomocą wytyczenia i obliczenia dziewięciu nowych trójkątów. Tak więc dotąd uczeni pomierzyli siódmy stopień i wytyczyli pięćdziesiąt siedem trójkątów.

Astronomowie mieli już tylko zdjąć jeden stopień, a według zdania Buszmena, powinni byli przybyć przed końcem stycznia nad brzegi jeziora Ngami. Pułkownik i jego towarzysze mogli odpowiedzieć za siebie, że wytrwają do końca.

Ale najemnych Bochjesmanów nie ożywiał ten zapał. Nie pojmowali oni wcale naukowych celów wyprawy i nie mieli chęci zapuszczać się dalej w pustynię. Okazywali się coraz drażliwsi na brak wody. Niektóre ze zwierząt pociągowych, osłabione brakiem pokarmu i napoju, musiano dorżnąć lub pozostawić w stepie. Zachodziła obawa, aby i reszta nie uległa trudom. Szemranie pomiędzy krajowcami stawało się coraz większe. Zadanie Mokuma stawało się coraz trudniejsze, a wpływ jego upadał.

Wkrótce przekonano się, że z powodu braku wody trzeba będzie wstrzymać pochód na północ i zmienić kierunek, choćby nawet przyszło zetknąć się z dawnymi towarzyszami, i że koniecznie należy zbliżyć się ku okolicom zamieszkałym i obfitującym w wodę.

Dnia 15 stycznia Mokum oświadczył stanowczo pułkownikowi, że nie zdoła pokonać wciąż rosnących trudności. Woźnice wypowiedzieli mu posłuszeństwo. Co rano przy zwijaniu obozu zachodziły wypadki niesubordynacji, w których brała udział większa część krajowców. Nie można było im tego brać za złe, ale raczej należało litować się nad ludźmi dręczonymi głodem i pragnieniem. Poza tym zwierzęta żyjące trawą suchą i ostrą, a nieotrzymujące prawie napoju, iść nie chciały.

Pułkownik Everest znał doskonale stan rzeczy, ale szczerzy dla siebie, był taki i dla innych. Za żadną cenę nie chciał porzucić pomiarów i oświadczył, że chociażby miał pozostać sam jeden, dokończyć ich musi. Zresztą i koledzy zgadzali się z jego zdaniem i postanowili udać się, dokąd ich poprowadzi.

Nadzwyczajnym usiłowaniem udało się Buszmenowi wyjednać u współrodaków przyrzeczenie, że jeszcze przez jakiś czas będą towarzyszyć karawanie. Zdaniem Mokuma około pięciu dni podróży oddzielało ich od wybrzeży jeziora Ngami; tam bydło i konie znaleźć miały cieniste lasy i obfitą paszę, ludzie całe morze wód słodkich dla orzeźwienia się. Buszmen, zwoławszy starszyznę krajowców, przedstawił im tę okoliczność i przekonał, że najkrótszą drogą dojścia w żyzne te strony jest posuwanie się na północ. Idąc ku zachodowi, puszczano się na niepewne; wracać, znaczyło zapuścić się znowu w straszłą pustynię, gdzie już ani jednego strumyka nie sposób napotkać. Dzicy, przekonani tymi

dowodami, zgodzili się i ruszono w stronę północną.

Szczęśliwym trafem pomiary dały się łatwo wykonywać za pomocą tyk lub piramid geodezyjnych. Dla oszczędzenia czasu uczeni pracowali nocą, robiąc sygnały ze światła elektrycznego. Otrzymywali pomiar kątów nadzwyczaj ścisły i dokładny. Prace szły dawnym porządkiem, a sieć trójkątów wciąż się pomnażała.

Szesnastego stycznia z nieopisaną radością dostrzeżono na krańcu widnokregu jezioro długie i szerokie na milę. Można sobie wyobrazić wzruszenie, jakie opanowało nieszczęśliwych. Karawana wyruszyła szybkim pochodem w stronę, kędy zwierciadło wody odbijało blaski słoneczne.

Około piątej wieczór dosięgali wreszcie jeziora. Kilka koni, zerwawszy się z uzdzeniem, popędziło cwałem ku upragnionej wodzie i jak szalone rzuciły się w nurty. Ale wkrótce biedne zwierzęta wróciły ze zwieszoną głową do karawany. Wnet Bochjesmani dobiegli do brzegu. Niestety! Woda była tak przesycona solą, że o jej picciu nie mogło być mowy.

Rozczarowanie, że nie powiemy rozpacz, była zbyt okrutna. Nic straszliwszego, jak zawiedziona nadzieja. Mokum zwątpił teraz zupełnie, aby mu się udało nakłonić współziomków do dalszego pochodu. Szczęściem dla losów wyprawy, znajdowała się ona bliżej jeziora Ngami i dopływów Zambezi, aniżeli mniemano, aniżeli jakiegokolwiek okolicy obfitującej w wodę. Ocalenie wszystkich zależało teraz od szybkiego pochodu naprzód, a jeżeliby go nie opóźniły prace geodezyjne, spragnieni mogli w czterech dniach dostać się na brzegi jeziora.

Puszczono się w drogę. Pułkownik Everest, korzystając z położenia gruntu, mógł wytyczać trójkąty znacznych rozmiarów, przez co można było ustawiać celowniki rzadziej. W nocy znów wśród pięknej pogody światła elektryczne doskonale dawały się widzieć, z wielką więc łatwością i ścisłością zdejmowano rozwartość kątów za pomocą teodolitu lub koła powtarzającego. Tym sposobem oszczędzono wiele czasów i trudów. Należało jednak pośpieszać nad brzegi jeziora. Uczeni pomimo zapału naukowego doznawali wielkiego zmęczenia. Krajowcy upadali z pragnienia pod palącymi promieniami słońca; zwierzęta zaledwie mogły się poruszać. W takich warunkach nie zdołałby nikt i jednego tygodnia dłużej wytrzymać.

Dnia 21 stycznia grunt dotąd płaski wyraźnie począł zmieniać się w pagórkowaty. Około dziesiątej z rana ukazało się wzgórze na pięćset do sześciuset stóp wysokie, w stronie zachodnio-północnej, w odległości piętnastu mil angielskich. Była to góra Skorcew.

Buszmen zbadał dokładnie okolicę, a wyciągnąwszy rękę ku północy, zawołał:

— Tam jest Ngami!

— Ngami! Ngami — krzyknęli krajowcy z oznakami największej radości.

Bochjesmanowie chcieli się puścić naprzód, ażeby biegiem przebyć piętnastomilową przestrzeń dzielącą ich od jeziora. Mokum jednak powstrzymał ich przestroga, że niebezpiecznie było rozpraszać się w tej okolicy, zamieszkałej przez Makololów. Tymczasem pułkownik, ażeby przyspieszyć przybycie oddziału na brzegi jeziora, połączył za pomocą jednego trójkąta punkt obecnie zajmowany z górą Skorcewa. Wierzchołek wzgórza zakończony stożkiem bardzo wyraźnym mógł przewybornie posłużyć za celownik. Nie czekano więc nocy i nie tracono czasu na wysyłanie majtków i krajowców dla osadzenia światła elektrycznego na wspomnianej górze.

Ustawiono instrumenty. Zmierzony od południa kąt ostatniego trójkąta zdjęto dla dokładności powtórnie. Mokum, zbyt niecierpliwy jak najprędszego dostania się na brzegi jeziora, nie zakładał jak zwykle obozu, lecz tylko tymczasowo. Miał nadzieję, że jeszcze przed wieczorem osiągną upragnionego celu, nie zaniedbał wszakże zwyczajnych ostrożności i wyprawiał kilku jezdnych na przejrzenie okolicy. Po obu stronach obozu rozciągały się lasy, które należało zbadać. Wprawdzie od polowania na oryksy nie dostrzeżono nigdzie śladu Makololów i zdawało się, że zaprzestali szpiegowania karawany, niemniej jednak niedowierzający Buszmen chciał być przygotowany na wszystko.

Tymczasem astronomowie zajmowali się zdejmowaniem pomiaru. Trójkąt ten według obserwacji Williama sięgał prawie dwudziestego równoleżnika, który miał właśnie stanowić koniec łuku południkowego, jaki mierzono w tej części Afryki. Należało zrobić jeszcze kilka obserwacji po drugiej stronie jeziora, aby otrzymać ósmy i ostatni wycinek. Następnie trzeba było jeszcze pomierzyć na gruncie nową podstawę, sprawdzić za jej pomocą dotychczasowe obliczenia, a dzieło będzie skończone. Łatwo wyobrazić sobie

radość uczonych na myśl o tak bliskim ukończeniu ważnej pracy.

Lecz czego w czasie tym dokonała druga połowa wyprawy? Pięć miesięcy, jak członkowie komisji międzynarodowej rozłączyli się — gdzie znajdowali się tamci w tej chwili, co porabiali Mateusz Strux, Mikołaj Palander i Michał Zorn? Czy doznawali takichże trudów jak Anglicy? Czy cierpieli również brak wody pośród zabijającego skwaru? Czy okolica, która przebywali, a leżąca na drodze szlaku Livingstone'a, również była jałowa? Być może, że znajdowali się w lepszym położeniu, gdyż poza Kolobengiem na drodze tej leżały liczne osady Beszuanów, gdzie karawana ich mogła zaopatrzyć się w żywność. Z drugiej jednak strony należało się obawiać, iż w okolicy gęściej zamieszkałej można było łatwo napotkać łupieżcze bandy, a szczupły oddział Struksa był narażony na ich napady. Ponieważ Makololowie przestali ścigać wyprawę angielską, być może, że zamierzili uderzyć na oddział Struksa.

Pułkownik Everest, wiecznie zajęty, nie miał czasu o tym rozmyślać, ale John Murray często z Williamem rozprawiał o losie dawnych kolegów. Czy też ujrzą ich jeszcze kiedy? czy dokonali swego zadania? Czy otrzymali ten sam rezultat swych obserwacji? Czy matematyczny wynik ich prac będzie zupełnie zgodny z wynikiem otrzymanym przez Anglików, to jest czy długość mierzonego łuku będzie ta sama? William Emery myślał nadto wciąż o przyjacielu Zornie, którego nieobecność czuł dotkliwie, a był pewny, że go nigdy nie zapomni.

Rozpoczęto mierzenie kątów. Dla otrzymania miary kąta mającego wierzchołek w obecnie zajmowanym obozie należało celować ku dwu punktom, z których jeden stanowił szczyt Skorcewu. Za drugi cel obrano spiczaste wzgórze odległe na cztery mile angielskie od obozu. Położenie jego oznaczono za pomocą lunety i koła powtarzającego.

Skorcew był w istocie zanadto oddalony. Astronomowie nie mieli wyboru, gdyż był to punkt najwznioślejszy w całej okolicy. Ani na zachodzie, ani na północy, ani poza jeziorem Ngami, którego jeszcze nie można było dostrzec, nie pokazywana się żadna wyniosłość ziemi. Zbyt duża odległość rzeczony góry zmusiła astronomów do znacznego zboczenia w prawo od południka, lecz po dojrzałej rozwadze przekonali się, że można w inny sposób zaradzić trudności. Wymierzili drugą lunetę ku drugiej górze, a rozwartość obydwóch lunet dała im miarę kąta. Dla jak najściślejszego pomiaru pułkownik powtórzył dwadzieścia razy operację przy zmienianiu wciąż ustawienia lunet na kole powtarzającym, a z zsumowanych wyników pomiaru wziął za miarę kąta średnią czyli przeciętną, spodziewając się tym sposobem otrzymać jak najściślejszy wymiar.

Pułkownik pomimo szemrania krajowców zajmował się tymi różnymi pracami z taką pedanterią, jak gdyby znajdował się w obserwatorium w Cambridge. Cały dzień 21 stycznia zeszedł na nich i dopiero o godzinie wpół do szóstej, a więc przy schyłku dnia, kiedy już odczytywanie na podziałkach nie było możliwe, zakończył robotę.

— Jestem na twe rozkazy, Mokumie — rzekł do Buszmena.

— Już za późno, pułkowniku. Wielka szkoda, że pan tak długo przeciągnął roboty. Gdyby nie to, obozowalibyśmy już nad brzegami jeziora.

— A cóż nam przeszkadza puścić się w drogę, czyż piętnastu mil nie da się przebyć nocą? Droga jest prosta, równina przed nami, nie ma więc obawy zabłąkania się.

— W istocie... można by — mówił Buszmen, jakby naradzając się sam z sobą. — Moglibyśmy zdać się na los, zawsze jednak wolałbym podróżować w okolicy jeziora Ngami w jasny dzień. Lecz nasi ludzie pragną dostać się tam jak najprędzej, a więc, pułkowniku, ruszajmy.

— Dobrze, Mokumie.

Wszyscy z radością usłyszeli o nocnej podróży. Zaprzężono woły do wozów, jeźdźcy dosiedli koni i mułów, poukładano przyrządy i o godzinie siódmej wieczór na znak Buszmena wyprawa ruszyła w pochód ku jezioru Ngami.

Mokum wiedziony jakby przecuciem prosił trzech Europejczyków, ażeby dobrze się uzbroili i wzięli amunicję. Sam uzbroił się w sztucer otrzymany od sir Johna i napełnił ładownicę nabojami.

Ruszono z miejsca. Noc była ciemna, a gwiazdy zasłonięte chmurami. Ponad ziemią jedynie mgły się nie snuły. Mokum, obdarzony nadzwyczaj bystrym wzrokiem, śledził wciąż okolicę na przedzie i po bokach karawany. Z kilku słów, jakie wyrzekł do sir Johna, należało wnosić, że okolicy nie uważał za pewną. Sir John trzymał broń w pogotowiu.



Oddział przez trzy godziny posuwał się w stronę północną, lecz postępowano z wolna, bo wszyscy byli mocno strudzeni. Nieraz trzeba było oczekiwać opóźniających się. Przebywano zaledwie trzy mile angielskie na godzinę, a o dziesiątej wieczorem jeszcze sześć mil oddzielało ich od jeziora. Atmosfera była tak sucha, że najczulszy higrometr nie potrafiłby wskazać śladu wilgoci. Bydłęta z trudnością oddychały duszącym powietrzem.

Pomimo najtroskliwszych zalecań Buszmena, oddział nie stanowił zbitej masy, ludzie i zwierzęta rozciągnęli się w długą linię. Niektóre woły, utraciwszy siłę, legły na drodze. Jeźdźcy, zsiadłszy z koni, wlekli się powoli, a najmniejsza gromadka dzikich mogła ich uprowadzić z łatwością. Zaniepokojony tym Buszmen nie szczędził im słów i zachęty, biegając od jednego do drugiego i próbując zgromadzić do kupy rozpierzchłych, ale mu się to nie udawało, i ani się spostrzegł, jak ubywa mu znaczna liczba ludzi.

O godzinie jedenastej wozy idące na czele karawany znajdowały się już tylko o dwie mile angielskie od góry Skorcew. Pomimo ciemności wyniosła i odosobniona góra wznosiła się w oddaleniu jak ogromna piramida. Ciemność nocy powiększała jeszcze jej rozmiary.

Jeżeli Mokum się nie mylił, to jezioro Ngami leżało po drugiej stronie tej góry. Należało więc obejść ją najkrótszą drogą, aby się dostać do słodkiej wody. Co chwila przybliżano się ku niej.

Buszmen właśnie zamierzał z trzema Europejczykami wyruszyć przodem w lewą stronę, gdy strzały ze znacznej odległości, lecz wyraźne, nagle go wstrzymały.

Anglicy natychmiast wstrzymali konie, przysłuchując się z łatwą do pojęcia obawą. W kraju, którego mieszkańcy używają tylko strzał i dziryków, odgłos broni ognistej musiał ich zdziwić i zatrwożyć.

— Co to jest? — zapytał pułkownik.

— Huk broni ognistej — odrzekł sir John.

— Broni ognistej? — krzyknął pułkownik — w której stronie?

Zagadnięty Buszmen odpowiedział:

— Wystrzały te pochodzą ze szczytu Skorcewa. Czy widzisz pan błyski ukazujące się na nim? Tam się biją. Niezawodnie Makololowie uderzyli na Europejczyków.

— Na Europejczyków! — zawołał William Emery.

— Tak panie — odpowiedział Mokum — ten huk może jedynie pochodzić z udoskonalonej broni europejskiej.

— A więc Europejczycy byliby tam — mówił pułkownik. — Jakiegokolwiek byliby oni narodowości, należy pośpieszyć im z pomocą.

— Tak, tak, naprzód, naprzód! — zawołał William Emery, którego serce ścisnęło się boleśnie.

Przed udaniem się ku górze Buszmen usiłował po raz ostatni zgromadzić rozpierzchnięty oddział, który nieprzyjaciele z łatwością mogli otoczyć i zabrać. Lecz gdy przybył na tył karawany, znalazł wozy wyprężone i opuszczone, tu i ówdzie tylko dostrzec można było cienie Bochjesmanów umykających na północ.

— Tchórze! — wykrzyknął. — Zapominają o wszystkim, o trudach, o pragnieniu, byle tylko ująć.

Po czym zwróciwszy się ku Anglikom i dzielnym majtkom, zawołał:

— Naprzód! — chociażby sami.

I nagłąc zmęczone konie do ostatnich sił, pędzili ku górze, ile tchu starczyło.

We dwadzieścia minut później doszły ich uszu okrzyki wojenne Makololów. Robójnicy widocznie szturmowali górę, na której szczycie błyskał raz po raz ogień strzałów. Po bokach góry pięły się gromadki dzikich ku wierzchołkowi.

W mgnieniu oka pułkownik z towarzyszami zsiadł ze zmęczonych koni, zajęli tył dzikim, a wydawszy okrzyk, zaczęli sypać nieustannym ogniem w hordę łupieżców. Na odgłos strzałów Makololowie mniemali, że uderzył na nich liczny oddział. Ten gwałtowny napad przeraził ich i cofnęli się, nie używszy ani strzał, ani dziryków. Europejczycy strzelali celnie i wnet kilkunastu dzikich legło trupem.

Makololowie rozstąpili się, a Europejczycy, korzystając z tego, rzucili się w lukę i gruchocząc wszystkich spotykanych na drodze, pięli się w górę.

W dziesięć minut wdarli się na pogrążony w ciemnościach szczyt. Oblężeni powstrzymali ogień, lękając się ugodzić któregoś z tych, którzy przybywali im z tak niespodziewaną

odsieczą.

Znaleźli się tu wszyscy: Mateusz Strux, Mikołaj Palander, Michał Zorn i pięciu majtków. Spomiędzy towarzyszących im Bochjesmanów pozostał tylko wierny Numbo. Nędzni, opuścili ich również w chwili niebezpieczeństwa.

Właśnie gdy przybywający stanęli na szczycie, Strux wyskoczył spoza ścianki wieńczącej brzeg góry i zawołał:

— A więc to wy, panowie Anglicy?

— My sami, panowie, lecz nie ma tu dziś żadnej narodowości. Są tylko Europejczycy, zjednoczeni dla wspólnej obrony.

#### XIX. MIERZYĆ LUB ZGINĄĆ

Okrzyk powszechny odpowiedział na słowa pułkownika. Wobec wrogich Makololów, wobec niebezpieczeństwa, wszyscy zapomnieli o waśniach międzynarodowych i zjednoczyli się dla wspólnej obrony. Położenie samo się stworzyło; rozdzielona komisja jednoczyła się silniej niż kiedykolwiek. William Emery i Michał Zorn powitali się gorącym uściskiem. Inni uściśnieniem dłoni stwierdzili nowe przymierze.

Pierwszą czynnością Anglików było ugaszenie pragnienia. W bliskości jeziora nie brakowało wody w obozie. Następnie, schroniwszy się pod kazamaty<sup>84</sup> forteczki opuszczonej na szczycie Skorcewa, Europejczycy opowiadali sobie nawzajem, co zaszło od chwili opuszczenia Kolobengu. Tymczasem marynarze czuwali nad ruchami Makololów, którzy chwilowo zaprzestali ataku.

Anglicy przede wszystkim byli ciekawi dowiedzieć się, skąd się wziął Strux z towarzyszami na górze Skorcew, o tyle właśnie na zachód mierzonego przez nich południka, o ile Anglicy zбочyli na wschód od swojego. Góra ta bowiem leży w połowie odległości od obydwu, a jest jedynym miejscem w tej okolicy, które można obrać za punkt trygonometryczny w okolicach jeziora Ngami. Była to jednak rzecz łatwa do wytłumaczenia, że dwie wyprawy zetknęły się na jedynej górze przydatnej do obserwacji. Oba bowiem południki dotykały jeziora w dwóch punktach dość od siebie odległych, Stąd okazała się dla astronomów niezbędna potrzeba połączenia geodezyjnie północnego i południowego brzegu jeziora.

Strux opowiedział Anglikom pewne szczegóły wykonanych przez siebie obserwacji. Od czasu wyjazdu z Kolobengu triangulacja odbywała się bez przeszkody. Mierzony przez niego łuk południka przerywał krainę urodzajną, nieco wzniesioną, na której z łatwością dawało się urządzić sieć trójkątów. Astronomowie wprawdzie wycierpieli dużo od skwaru upałów, lecz nie brakowało im wody. Liczne strumienie zaopatrywały obficie kraj w wodę. Konie i woły odbywały więc, że się tak wyrazimy, przechadzkę wśród bujnych pastwisk, poprzeryzanych zaroślami i lasami. Rozpalane co noc ogniska trzymały w przyzwoitej odległości gromadzące się dzikie zwierzęta. Okolicę zamieszkiwali krajowcy łagodni i spokojni, których gościnność wychwała Livingstone. Bochjesmani tworzący eskortę karawany, mając pod dostatkiem żywności i napoju, a nie doznając wielkich trudów, nie szemrali.

Dnia 20 stycznia wyprawa doszła do góry Skorcew i obozowała tam od trzydziestu sześciu godzin, gdy nagle na równinie przyległej ukazała się horda Makololów licząca około tysiąca ludzi. Bochjesmani strwożeni pierzchli, pozostawiając Europejczyków na pastwę losu. Makololowie przede wszystkim zrabowali wozy, szczęściem instrumenty znajdowały się już w murach opuszczonej forteczki. Nadto ocalała szalupa parowca, gdyż jeszcze przed napadem rozbójników złożono ją i spuszczone na wodę w małej zatoce jeziora Ngami. Od tej strony brzeg spadzisty góry dostatecznie ją zabezpiecza od napadu wroga, lecz z przeciwnej stok jest lekki i niezawodnie udałoby się rabusiom zdobycie forteczki, gdyby nie cudowna prawie odsiecz, z jaką na czas przypadli Anglicy.

Następnie pułkownik Everest opowiedział Struksowi i jego towarzyszom wypadki, jakich od czasu rozłączenia doznała ekspedycja angielska: trudy i cierpienia, bunt Bochjesmanów i przeszkody, jakie musiano zwalczać. Opowiadanie to okazywało, że od czasu rozłączenia los mniej sprzyjał Anglikom.

Reszta nocy minęła bez wypadku. Buszmen z marynarzami czuwał nad bezpieczeństwem ogólnym. Makololowie nie ponowili napadu, lecz ich gęste ogniska rozłożone

<sup>84</sup>kazamata — schron a. twierdza w daw. fortyfikacjach. [przypis edytorski]

u stóp góry dowodziły, że nie zrzekli się swych zamiarów. O brzasku Europejczycy zaczęli badać rozłożoną u ich stóp równinę. Pierwsze promienie zorzy oświeciły całą tę niezmierną przestrzeń. Na południe rozciągała się ponura pustynia, okryta spalonymi trawami. U stóp góry półkolem zalegało obozowisko Makololów, wśród którego roilo się czterystu do pięciuset dzikich. Ogniska obozowe jeszcze gorzały, ćwierci zwierzyny dopalały się na węglach. Widocznie dzicy, pomimo że cały tabor, wszystkie narzędzia, zwierzęta i zapasy wpadły im w ręce, postanowili wymordować Europejczyków, ażeby zdobyć ich broń, o której skuteczności przekonali się wczoraj z własną szkodą.

Uczeni po przejrzeniu stanowiska dzikich odbyli długą naradę z Buszmenem. Należało postanowić coś, lecz to postanowienie zależało od wielu zewnętrznych okoliczności. Nadto w interesie pomiaru południka trzeba było przede wszystkim oznaczyć ściśle położenie geograficzne Skorcewa.

Góra ta panowała swym wzniesieniem nad nieprzebraną równiną rozciągającą się na południe aż do granic pustyni Karru. Na wschód i na zachód przestrzeń pustyni nie sięgała zbyt daleko. Ku zachodowi grunt zaczynał się w niewielkim oddaleniu podnosić, tworząc wzgórze ziemi Makololów, których stolica Maketo leży o sto mil angielskich od jeziora Ngami. Na północ Skorcewa zupełnie inny kraj, stanowiący zupełne przeciwieństwo z pustynią. Obfitość wód przenikających niemal każdy sążeń kwadratowy ziemi, bujne pastwiska, liczne lasy. Wody pięknego jeziora zaległy najmniej sto mil angielskich długości od wschodu na zachód. Największa długość jeziora rozciągała się w poprzek ziem afrykańskich w kierunku równoleżników, ale szerokość jego nie wynosiła więcej niż trzydzieści do czterdziestu mil angielskich.

Poza jeziorem ciągnie się kraina lekko falista, przepysznie urozmaicona lasami i gajkami. Mnóstwo rzek, rzeczek i strumieni niesie stąd wody hołdownicze królowej rzek tutejszych Zambezi, zwanej przez krajowców Liambią. Ten piękny obraz zamyka łańcuch wysokich wzgórz w odległości osiemdziesięciu mil od jeziora.

Ta urocza kraina jest jakby oazą rzuconą w pustynie Afryki Południowej. Gęsta sieć żywych wód przyodziewa ją zieloną szatą żywności. To Zambezi sprawia urodzajność ziemi. Ta potężna wodna arteria jest tym dla podzwrotnikowej Afryki, czym Dunaj dla Europy, a Marañon dla Ameryki Południowej.

Panujący nad piękną tą krainą Skorcew ma, jak już powiedzieliśmy, nagły spadek ku brzegom jeziora, jednakże nie tak stromy, ażeby zręczni marynarze nie mogli schodzić na dół i wspinać się na górę. Przy ich pomocy utrzymano związek z szalupą i dostawano wodę. Europejczycy mogli więc bronić się w forteczce tak długo, dokąd by im starczyło żywności. Co jednak dziwiło wszystkich, to pytanie, skąd na szczycie Skorcewu wzięła się opuszczona forteczka. Jedyne zapytany Mokum mógł kwestię tę objaśnić, gdyż towarzyszył Livingstone'owi w jego podróżach.

W okolicie jeziora Ngami zapuszczali się często handlarze hebanu i kości słoniowej; ostatniej dostarczają słonie, ale hebanem nie zowią tu znanego drzewa, lecz czarnych niewolników, którymi frymarczą handlarze. W krainach przerzniętych przez Zambezi, roją się jeszcze ci nikczemni spekulanci, podniecając drobnych królików afrykańskich do nieustannych wojen, napadów i rabunków, mających na celu jedynie chwytanie i sprzedawanie nieszczęsnych jeńców. Otóż właśnie południowym brzegiem jeziora ciągnęli zwykle drapieżni spekulanci ze swym czarnym towarem. Skorcew niezbyt jeszcze dawno służył im za stację, w której spoczywali przed zapuszczeniem się w dół Zambezi. Ufortyfikowali oni szczyt góry dla zabezpieczenia zakupionych niewolników i siebie przed napadem tutejszych łupieżczych plemion. Zdarzało się to bowiem, że nieraz tracili nie tylko towar, ale nawet i własne życie.

Taki był początek fortecy rozsypującej się dziś w gruzy. Ze zmianą szlaku handlowego forteczka przestała być stacją i nikt nie myślał o jej podtrzymywaniu. Z całych umocnień pozostał tylko półkolisty mur, wygięty łukiem ku południowi, a cięciwą zwrócony ku jezioru. W samym środku tego okolenia wznosiła się reduta z kazamatowym urządzeniem i strzelnicami, ponad którą sterczała drewniana baszta. Ona to posłużyła pułkownikowi za celownik przy ostatnim pomiarze. Forteczka pomimo zniszczenia zapewniała Europejczykom bezpieczne schronienie. Poza grubymi murami, mając wyborną broń odcylcową, mogli bronić się skutecznie całej armii Makololów, a nawet ukończyć pomiar, jeżeliby im tylko nie zabrakło żywności.

Amunicji było pod dostatkiem, znajdowała się ona bowiem w skrzynce na wozie przeznaczonym do transportowania szalupy, a to wóz ten, jak wiadomo, nie wpadł w ręce rabusiów, więc ocalała. Ale daleko gorzej było z żywnością. Wszystkie jej zapasy dostały się w moc Makololów, a forteczka była w nią zaopatrzona zaledwie na dwa dni. Trzeba było żywić osiemnastu ludzi: sześciu uczonych, dziesięciu majtków i dwóch przewodników.

Taki był stan rzeczy. Po otrzymanych wyjaśnieniach uczeni udali się z Mokumem do kazamat, marynarze zaś zaciągnęli warty na murach. Na śniadanie wszyscy otrzymali bardzo szczupłą rację pokarmów.

Radzono nad groźnym położeniem, w jakie wprawiał oddział brak żywności, a nikt nie umiał dać rady odpowiedniej, aby zapobiec zbliżającemu się głodowi, gdy wreszcie głos zabrał Mokum:

— Trwoży panów brak żywności, mogącej starczyć zaledwie na dwa dni. Ale pytam się was, co nas zmusza tak długo pozostawać w jej murach? Czyż nie możemy opuścić jej jutro, dziś nawet? Cóż nam przeszkadza? Makololowie. Ależ oni nie umieją biegać po wodzie, a ja was w paru godzinach przewiozę parowcem na północny brzeg jeziora.

Na ten wniosek uczeni spojrzeli po sobie i po Mokumie, dziwiąc się, że na myśl im nie przyszedł ten tak prosty sposób ratunku. W samej rzeczy nie mogli wpaść na ten pomysł i nie powinni byli o nim myśleć, gdyż ci bohaterowie nauki zanadto byli zajęci szczytnym celem pamiętnej wyprawy, ażeby mogli pomyśleć o własnym bezpieczeństwie.

Sir John Murray pierwszy zabrał głos, odpowiadając Buszmenowi.

— Mój zacny Mokumie, jeszcześmy nie ukończyli prac naszych.

— Jakich prac?

— Pomiaru południka.

— Sądysz więc pan, że Makololowie troszczą się o wasz południk?

— Prawdopodobnie nie troszczą się wcale — odpowiedział John — ale za to my się troszczymy i nie oddalimy się stąd bez osiągnięcia naszego celu. Nieprawdaż, koledzy?

— Nie inaczej — odrzekł pułkownik w imieniu wszystkich. — Nie zaprzestaniemy pomiaru, dopóki chociaż jeden z nas pozostanie przy życiu, dopóki jeden będzie w stanie przyłożyć oko do lunety i zapisywać miarę kątów. Z lunetą w jednej, ze sztucercem w drugiej ręce, będziemy pracowali aż do ostatniego tchnienia.

Huczny okrzykiem powitali uczeni tę przemowę, stawiając interes nauki ponad bezpieczeństwo życia.

Buszmen popatrzył chwilę na uczonych, wzruszył ramionami, ale nie zdobył się na odpowiedź. Pojął ich wybornie.

Zgodzono się więc, aby bądź co bądź prowadzić dalej prace geodezyjne. Lękano się jednak, czy nie stanie im na przeszkodzie położenie miejscowe, mianowicie niemożność obrania punktu celowego za jeziorem Ngami.

Zwrócono się w tej kwestii do Mateusza Struksa, który przebywając od dwóch dni na szczycie góry, powinien by dotąd zastanowić się nad tą okolicznością.

— Panowie — odrzekł — czeka nas praca trudna i drobiazgowa, wymagająca cierpliwości i gorliwości, możemy jej wszakże dokonać. Idzie nam o połączenie Skorcewa z jakimś punktem trygonometrycznym poza jeziorem. Punkt taki rzeczywiście istnieje i obrałem go. Wznosi on się na północnym zachodzie jeziora, tak iż bok nowego trójkąta przetnie je w kierunku skośnym.

— Jeżeli więc jest taki punkt, na czymże więc polega trudność? — zapytał pułkownik.

— Na zbyt wielkiej odległości pomiędzy nim a Skorcewem.

— Jak wielka jest ta odległość?

— Najmniej sto dwadzieścia mil angielskich.

— No, przecież nasza luneta na tę odległość wystarczy.

— Wiem o tym, lecz potrzeba zapalić sygnał na szczycie.

— A więc go zapalimy.

— Lecz trzeba tam zanieść przyrząd elektryczny do wzniesienia światła.

— Zaniesiemy go.

— Ale w czasie tego wypadnie bronić się przeciwko Makololom — zarzucił Mokum.

— Będziemy się bronili. I cóż, Mokumie?

— Panowie, jestem na wasze rozkazy — rzekł Mokum. — Spełnię co rozkażecie.

Człowiek więc pełen poświęcenia, dzielny Buszmen zakończył naradę, od wyniku której zawisała cała przyszłość wyprawy. Uczeni, zgodni pomiędzy sobą i gotowi wszystko poświęcać dla nauki, wyszli z kazamaty dla rozpoznania kraju rozciągającego się poza jeziorem Ngami.

Mateusz Strux wskazał im szczyt przez siebie wybrany. Był to wierzchołek góry Volquiri, mający kształt kręgła, a tak oddalony, że go zaledwie dostrzec można było w niezmierniej odległości. Góra ta bardzo wysoka, lecz mimo oddalenia sygnał elektryczny dałby się widzieć przez wyborne szkła lunet, jakie posiadała ekspedycja. Największa jednak trudność zachodziła w tym, że baterię elektryczną trzeba było zanieść i wywindować na górę. Kąt utworzony przez Volquiri i Skorcew, a przez tę ostatnią górę z punktem zajmowanym poprzednio przez Anglików zakończyłby pomiar, gdyż szczyt Volquiri leżał poza dwudziestym równoleżnikiem. Łatwo pojąć wielką doniosłość tej operacji i zapał, z jakim uczeni starali się przełamać tę ostatnią trudność.

Należało przede wszystkim postarać się o przeniesienie baterii. Znaczyło to przebyć sto mil nieznanego kraju. William Emery i Michał Zorn podjęli się tego zadania. Ofiarę tę przyjęto, a miał im towarzyszyć naczelnik Bochjesmanów towarzyszących karawanie Struksa. Natychmiast przygotowali się do podróży.

Szło o przebycie jeziora. Ochotnicy nie chcieli zabierać parowca, bo potrzebny był dla pozostałych kolegów na wypadek, gdyby byli zmuszeni oddalić się nagle po skończeniu prac. Jezioro można było przepłynąć w czółenku z kory lekkiej, a trwałej, jakie krajowcy bardzo szybko umieją sporządzać. Mokum z Numbem spuścili się na brzeg jeziora, gdzie rosły drzewa z korą przydatną do zbudowania czółna, zajęli się tą pracą i wkrótce ją ukończyli.

O godzinie ósmej wieczorem włożono na czółenka baterię elektryczną, potrzebne narzędzia, broń, amunicję i cokolwiek żywności. Umówiono się, że punktem zbornym będzie mała zatoka na południowym brzegu jeziora, którą Mokum znał dobrze. Na koniec postanowiono, ażeby skoro tylko zabłyśnie sygnał na Volquiri, pułkownik rozpałił także sam na Skorcewie, iżby dwaj młodzi astronomowie mogli nawzajem zdjąć rozwartość kąta.

Pożegnawszy kolegów, dwaj młodzi przyjaciele spuścili się na brzeg jeziora. Poprzedzał ich przewodnik i dwóch majtków.

Ciemność zaległa okolicę. Odwiązano czółno, a lekki statek pod naciskiem wiosel w cichości zaczął pruć czarne wody jeziora.

## XX. DZIESIĘĆ DNI OBLĘŻENIA

Ze ściśniętym sercem przyglądali się pozostali odpłynięciu dwóch młodych towarzyszków. Ileż trudów, ileż niebezpieczeństw czekało tych odważnych młodzieńców, mających przebyć sto mil nieznanego kraju! Buszmen pocieszał ich, wychwalając przebiegłość i odwagę przewodnika. Należało się spodziewać, że Makololowie, zbyt zajęci oblężeniem Skorcewa, nie pomyślą nawet o północnych brzegach jeziora. Twierdził on, że pozostali w forteczce narażeni są na daleko większe niebezpieczeństwo, aniżeli dwaj młodzi astronomowie w drodze do Volquiri. Przez całą noc Mokum i marynarze zmieniali się na czatach.

Ciemność sprzyjała zdradzieckim zamiarom dzikich, lecz płazy te, jak ich Mokum nazywał, nie mieli odwagi wdzierać się na górę. Być może, że oczekiwali posiłków, ażeby potem wdrzeć się na wierzchołek jednocześnie ze wszystkich stron i ogromną liczbą przewyciężyć wszelki opór oblężonych.

Strzelec nie pomylił się w przypuszczeniach. Nazajutrz rano pułkownik dostrzegł, że hordy dzikich znacznie się powiększyły. Obozowisko ich, doskonale rozłożone u stóp góry, nie dopuszczało myśleć o ucieczce. Na szczęście nie mogli roztawiać czat od strony jeziora z powodu niedostępności brzegu, a w razie konieczności oblężeni mogli tamtędy uchodzić.

Lecz o ucieczce nikt nie myślał. Europejczycy zajmowali posterunek naukowy. Szło o ich honor, nie mogli go opuścić. Pod tym względem zgadzali się z sobą zupełnie. Ślady dawnych waśni między Struksem a Everestem zniknęły. Nigdy nie wspomniano o wojnie toczonej przez dwa mocarstwa. Obydwaj uczeni zmiarali do jednego celu; obaj pragnęli dojść do niego i spełnić zadanie naukowe należące do całego cywilizowanego świata.

Oczekując na zapalenie sygnału, astronomowie zajęli się ukończeniem obliczeń poprzedniego pomiaru. Czynność ta polegała na zmierzeniu dwoma lunetami pod kątem

dwóch poprzednich punktów trygonometrycznych. Dokonano jej łatwo, a Mikołaj Palander zapisał wynik obliczeń. W czasie następnych nocy miano przedsiębrać liczne obserwacje wysokości gwiazd stałych dla otrzymania jak najdokładniejszej szerokości geograficznej, pod którą leżał Skorcew.

Zachodziło jeszcze jedno ważne pytanie, do rozwiązania którego zawieszano pomocy Mokuma, a mianowicie o obliczenie, jak prędko Zorn i Emery będą mogli dostać się na górę Volquiri i zapalić sygnał mający być ostatnim punktem trygonometrycznym robionych pomiarów.

Buszmen twierdził, że aby dostać się na miejsce potrzeba pięciu dni. W samej rzeczy na przebycie stu mil angielskich, idąc pieszo i przebywając często strumieniem przerywając okolicę zajeziorne, pięć dni nie było za wiele. Przyjęto więc sześć dni jako maksimum i na tej podstawie postanowiono rozdzielać racje żywności.

Pozostała żywność znajdowała się w bardzo małym zapasie. Część jej musiano dać wyprawionym, ażeby mieli czym żyć, zanim im się uda coś upolować. Reszta zaledwie wystarczała na dwie zwykłe racje dzienne dla wszystkich z załogi. Było tam kilka funtów sucharów, nieco mięsa suszonego i pemikanu. Pułkownik Everest za zgodą kolegów zdecydował, ażeby racje zmniejszyć do jednej trzeciej. Tak żyjąc, można było doczekać się chwili, w której oczekiwane światło zabłyśnie na krańcach widnokrzęgu. Czterech uczonych Europejczyków, ośmiu ich majtków i Buszmen zapewne ucierpią na tym niedostatecznym pożywieniu, ale ludzie ci byli wyższymi nad zwykle ludzkie cierpienia.

— Zresztą nikt nam nie zabroni polować — dorzucił sir John Murray.

Buszmen wstrząsnął głową z niedowierzaniem. Niepodobna, aby na górę tę odosobioną mogła się zabłąkać zwierzyna. Nie szkodziło jednak mieć broń w pogotowiu na wypadek, gdyby się coś trafiło. Po tym postanowieniu trzech astronomowie zajęli się porównywaniem i sprawdzaniem cyfr zapisywanych przez Mikołaja Palandra, sir John Murray zaś w towarzystwie Mokuma opuścił forteczkę i przedsięwziął zbadać stoki góry, na której stała.

Makololowie obozujący spokojnie u stóp Skorcewa nie spieszyli się wcale z atakiem. Być może, że mieli zamiar ogłodzić obłązonych.

Pozycję góry zbadano w krótkim czasie. Płaskowyż, na którym wznosiła się zrujnowana forteczka, miał zaledwie paręset sążni największej średnicy. Ziemię pokrywały dość bujne zioła pomieszane z gęstą krzewiną; rosły tu mietczyki, wrzosa i inne górskie rośliny. Na spadzistych bokach przerywanych sterczącymi załomami skał były zarośla tarniny osypane białym kwieciem.

Zwierząt nie dostrzeżono zupełnie. Po całogodzinnym oczekiwaniu nic się nie ukazało. Kilka ptaszyn o czerwonych dziobkach i ciemnym upierzeniu przelatywało z gałązki na gałązkę. Sir John nie dał do nich ognia, bo za pierwszym strzałem pierzchnęłoby niezawodnie całe stadko. Nie było więc nadziei, ażeby polowanie mogło powiększyć zapasy spiżarniowe.

— Będziemy łowili ryby w jeziorze — odezwał się sir John, wpatrując się w wspaniałe zwierciadło wód u stóp góry roztoczone.

— Łowić ryby bez sieci i wędek — odparł Buszmen — znaczy to samo, co chcieć chwycić ptaki rękami. Lecz nie rozpaczajmy. Wydobyliśmy się już z niejednego kłopotu, a może przypadek i tym razem nam poszczęści.

— Przypadek — mówił sir John. — Przypadek dobry, jeżeli Bóg go nastęrczy. Ach, ten przypadek to najlepszy aprowizator, najdoskonalszy geniusz opiekuńczy. On to połączył nas z przyjaciółmi, on ich doprowadził tam, gdzie my musieliśmy iść koniecznie. A da Bóg, wszystkich nas zawiedzie do upragnionego celu.

— I on nas wyżywi.

— Nie inaczej, dzielny mój przyjacielu, on nas wyżywi, a dokonawszy tego, spełni tylko swoją powinność.

Słowa szlachetnego Anglika niezupełnie trafiły do przekonania Buszmena. Wprawdzie przypadek niekiedy czynił ludziom przysługę, wszelako należało mu dopomagać i strzelec postanowił dopomagać mu.

Dnia 25 stycznia nie zaszła żadna zmiana w położeniu naszych przyjaciół ani ich wrogów. Makololowie obozowali spokojnie, stada ich wołów i owiec pasły się na pięknych

pastwiskach, zasilanych podskórnymi wodami. Złupione wozy umieszczono w koczowisku. Niewiasty i dzieci dzikich, przybyłe tu za wojownikami, zajmowały się wykonywaniem prac domowych. Niekiedy któryś z ich wodzów, łatwy do rozpoznania po bogatszym odzieniu, podchodził ku górze i rozpatrywał najdostępniejsze ścieżki prowadzące na szczyt góry, ale kula posłana ze szczytu wnet mu odbierała ochotę do dalszych badań.

Makololowie na każdy strzał odpowiadali wojennym okrzykiem, wstrząsali asagajami, wypuszczali kilka nieszkodliwych strzał i wszystko znów powracało do dawnego spokoju.

Nazajutrz jednak dzicy przedsięwzięli napad; w liczbie pięćdziesięciu poczęli równocześnie z trzech stron wdrapywać się na górę. Natychmiast cała załoga udała się na mury. Europejska broń odtłycowa, szybko nabijana, zrzuciła spustoszenie w szeregach napastników. Około piętnastu ubito, a reszta pierchła w nieładzie. Atak ten jednak zaniepokoił obłożonych; pomimo szybkości strzałów widoczne było, że liczba zdołała przemóc. Gdyby równocześnie kilkuset Makololów rzuciło się ze wszech stron na górę, nie sposób byłoby ich odeprzeć. Niebezpieczeństwo to nasunęło sir Murrayowi myśl, ażeby użyć do obrony kartaczownicy, która stanowiła potężne uzbrojenie szalupy parowej. Trudno jednakże wywlec taki ciężar na górę po skalistym i nagłym stoku. Jednak marynarze okazali tyle zapału i zręczności, że to straszliwe wojenne narzędzie zostało w nocy 26 stycznia wywindowane i ustawione w strzelnicy muru otaczającego forteczkę. Dwadzieścia pięć wachlarzowato rozłożonych luf mogło swym ogniem ostrzeliwać cały front fortyfikacji. Makololowie pierwsi w Afryce mieli się zapoznać z tą niszczącą bronią, którą w kilkanaście lat później ucywilizowane narody europejskie sprawiały straszne rzezie.

Od chwili swej przymusowej bezczynności astronomowie poświęcali czas na pomiar wysokości gwiazd. Czyste niebo i nadzwyczaj suche powietrze pozwoliły im robić wyborne obserwacje. Szerokość geograficzna Skorcewa wynosiła  $20^{\circ}37'18,268''$ . Wynik dochodzący aż do jednej tysięcznej sekundy, odpowiadającej  $1/3$  sążnia na powierzchni ziemi. Nie można życzyć sobie większej dokładności. Pomiar ten przekonał ich, że nie znajdowali się dalej jak o pół stopnia od północnego końca południka, że trójkąt, za którego wierzchołek obrali górę Volquiri, zakończył się trygonometryczną.

Noc z 26 na 27 przeszła spokojnie. Następnego dnia wydawał się obłożony nadzwyczajnie długi. Piąty to dzień od czasu odpłynięcia dwóch astronomów. Jeżeli im się powiodła podróż, powinni by dziś właśnie dotrzeć do podnóża góry Volquiri. Wypadło więc przez całą noc wyteżać wzrok w tę stronę, czy nie zajaśnieje sygnał. Pułkownik Everest i Mateusz Strux jeszcze za dnia wycelowali lunetę tak, ażeby sam szczyt padał na ognisko szkła. Ostrożność ta zabezpieczała od wyszukiwania wśród nocy oznaczonego punktu, co byłoby nadzwyczaj trudne. Przy jej zachowaniu skoroby tylko zabłysło światło na wierzchołku, w tejże samej chwili doszłoby do oka obserwatora i pozwoliło oznaczyć otrzymany kąt.

W ciągu rzeczonoego dnia sir John Murray na próżno przebiegał boki góry ze strzelbą. Nie ukazało się najmniejsze zwierzątko. Nawet spłoszone przez niego ptaki puciekały na brzeg jeziora schronić się w gajach. Zżymał się szlachetny myśliwiec, irytowało go to niepospolicie, bo teraz nie dla rozrywki, jak najczęściej, ale z potrzeby polował. Pragnął złagodzić głód swoich towarzyszy, a ma się rozumieć, że i swój także, gdyż potężna budowa sir Johna wymagała niemałego paliwa i na jednej trzeciej części racji nie mogąc obstać, doznawał srogiego głodu. Jego towarzysze okazywali się mniej drażliwi na niedostatek pokarmu, bądź że ich żołądki mniejsze i organizm szczuplejszy, bądź też że niektórym, jak na przykład niezrównanemu Palandrowi, dokładne obliczenie kąta optycznego doskonale zastępowało befszytk, a wygórowana gwiazda na zenicie soczysty rostbef. Marynarze i Buszmen podobnie doznawali głodu, jak wielce szanowny dżentelmen. Dającego się tym bardziej uczuć, że żywność była na schyłku. Dzień jeszcze jeden, a nie zostanie jedna okruszyna suchara. Jeżeli więc wyprawieni opóźnili się w drodze, to załoga zostanie doprowadzona do ostateczności.

Cała noc z 27 na 28 stycznia zesła na obserwowaniu Volquiri. Widnokrąg pozostawał ciemny, światelko nie zabłysło. Oznaczony przez astronomów dla Williama i Zorna termin zaledwie dobiegł. Nie powstawało więc, jak tylko czekać cierpliwie.

W dniu 28 stycznia garnizon spożył ostatni suchar i ostatni kęs mięsa. Zwątpienie jednak nie ogarnęło tych dzielnych ludzi, postanowili żywić się ziołami, a wytrwać na stanowisku.

Noc z 28 na 29 nie wydała żadnego rezultatu. Raz albo dwa zdawało się obserwatorom, że widzą światło, lecz po sprawdzeniu przekonali się, że pochodzi ono od gwiazdy wynurzającej się spod widnokrzęgu.

Cały dzień następny wszyscy nic nie jedli. Kilkudniowe przyzwyczajenie do małej ilości pokarmu znać zwięzło tak ich żołądki, że głód niezbyt im dokuczał, ale jeżeli Opatrzność nie ześle im nazajutrz jakiej pomocy, to ulegną srogim cierpieniom.

Lecz Opatrzność i następnego dnia nie zesłała im pożywienia. Na próżno sir John Murray wytężonym wzrokiem upatrywał jakiegokolwiek zwierzyny, nic się nie nasuwało na strzał celnego myśliwca, a jakże załoga pragnęła choćby najmniejszej odrobinki pokarmu!

Sir John i Mokum dręczeni głodem, który im szarpał wnętrzności, poczęli krążyć po pod szczytem Skorcewa. Szukali czegoś — czyżby zamysłali spróbować trawy tam obficie rosnącej?

— Ach, czemuż nie jesteśmy bydłętami! — zawołał sir John. — Jakżebyśmy mogli najęść się na tym pastwisku, a tu ani zwierzęcia, ani ptaszyny... Cóż bym dał za to, gdybym mógł na kwadrans zostać bydłętami.

Mówiąc to, rzucił się na obszerną płaszczyznę wód, rozlaną pod jego stopami. Majtkowie próbowali złowić rybę, ale nadaremnie. Ptactwo wodne za ich zbliżeniem się ulatywało w dal.

Biedny sir John, biedny Mokum zaledwie powłóczyli nogami. Zmęczeni do najwyższego stopnia, rzucili się na ziemię u stóp pagórka na kilka stóp wysokiego. Niby sen, a raczej odrętwienie ogarnęło ich z wolna, tak że sami nie wiedzieli, kiedy im się ociężałe powieki zamknęły. Z wolna zapadli w stan zupełnego odrętwienia. Próżnia, którą uczuwali wewnątrz, odbierała im ostatnie siły, doznawali przy tym dziwnej jakiejś boleści, której przecież poddawali się obojętnie.

Jak długo trwał ten stan odrętwienia, ani sir John, ani Buszmen nie potrafiliby powiedzieć, lecz w godzinę później zbudziły Anglika liczne i dokuczliwe ukłucia. Otrząsł się, przewrócił i usiłował zasnąć, ale zniecierpliwiony ustawicznym kluciem, zmuszony został do otworzenia oczu.

Roje białych mrówek, czyli termitów, literalnie go obsiadły. Ręce, twarz, całe ciało były nimi pokryte. Na widok ten zerwał się na nogi i tym gwałtownym ruchem zbudził Mokuma, lecz Buszmen, zamiast opędzać się od mrówek, zaczął je zbierać garściami i chciwie pożerać.

— Co robisz, Mokumie? — zawołał ze wstrętem Anglik.

— Jedz pan, jedz jak ja! — mówił Buszmen, nie przerywając uczt. — To ryż Bochjesmanów.

Mokum nazwał mrówki ryżem, jak je zowią Bochjesmanowie, uważający owad ten za przysmak. Pożerają oni zarówno czarne, jak i białe mrówki, lecz ostatnie cenią bardziej niż pierwsze. Pożywienie to ma tę tylko wadę, że dla nasycenia się trzeba spożywać ogromne masy mrówek. Dla zaradzenia tej niedogodności krajowcy dodają do mrówek nieco gumy arabskiej, lecz ponieważ na Skorcewie nie rosły mimozy wydające gumę, przeto Mokum zmuszony był spożywać je bez przyprawy.

Głód szarpiący wnętrzności sir Johna i widok Buszmena raczącego się z takim apetytem skłoniły sir Johna do przewyciężenia wstrętu i naśladowania strzelca. Mrówki rojami wychodziły z wielkiego mrowiska, a raczej kopca, pod którym spali dwaj myśliwi. Sir John garściami wsypywał je do ust i wkrótce zasmakował w tej osobliwej potrawie. Kwas, przenikający owady, miał przyjemny smak, a z wolna sir John uczuł ustępującą boleści głodu.

Mokum nie zapomniał o towarzyszach niedoli, pobiegł do forteczki i sprowadził cały garnizon. Majtkowie bez wahania poczęli pożerać mrówki. Everest, Strux i Palander chwilowo wstrzymywali się, ale przykład sir Johna Murraya zachęcił ich i biedni uczeni, na wół martwi z wycieńczenia, rzucili się na termity i zaczęli zajadać je z apetytem, oszukując próżny żołądek.

Przypadek jednak dostarczył im wkrótce jędrniejszego pożywienia. Mokum, chcąc dostarczyć większą ilość pokarmu, postanowił rozburzyć mrowisko. Był to kopiec stożkowaty, około którego znajdowało się kilka innych pomniejszych. Strzelec zadał już kilka potężnych ciosów siekierą, gdy nagle usłyszał wewnątrz jakieś dziwne mruczenie. Natychmiast przestał uderzać i nadśluchiwał. Wszyscy, zachowując jak najgłębsze milczenie,



naśladowali go. Mruk dochodził coraz wyraźniej.

Buszmen zatarł ręce z radości. Nie wyrzekł ani słowa, ale oczy jego dziwnie błyszcząły. Uderzając raz po raz w gliniaste gniazdo termitów, usiłował wybić w nim otwór na stopę kwadratową. Mrówki uciekały na wszystkie strony, ale strzelec bynajmniej na to nie zważał i podczas gdy inni napychali nimi worki, wyrąbywał ścianę.

Naraz w otworze pojawiło się dziwaczne kudłate zwierzę. Był to czworonóg z długim wydłużonym ryjem, niewielką paszczą z wysuwalnym językiem, uszy miał stojące, ogon długi, spiczasty. Popielato-rudawe kudły pokrywały jego ciało o krótkich nogach zakończonych długimi i ostrymi szponami.

Jedno uderzenie siekierą w ryj powaliło go trupem.

— Otóż mamy i pieczeń, moi panowie, na którą im dłużej czekaliście, tym wam lepiej będzie smakować. Dalej, rozpalić ogień, stempel od strzelby posłuży nam za rożen. Będziemy mieli ucztę, jakiej nie mieliśmy jeszcze nigdy.

Buszmen nie przesadzał wcale. Ubity zwierz, którego szybko oprawił i obdarł ze skóry, był mrówkojadem. Holendrzy nazywają go świnia ziemną. Jest to najstraszliwszy nieprzyjaciel mrówek. Burzy on ich gniazda, a jeżeli mu się nie uda zakraść w mrowisko, wsuwa w nie długi i lepki język, a gdy go mrówki oblegną, wyciąga i połyka.

Pieczeń wkrótce była gotowa. Może należałoby jeszcze kilkanaście razy obrócić ją na rożnie, lecz zgłodniałym zabrakło cierpliwości. Mięso przeniknięte kwasem mrówkowym wydawało im się bardzo smaczne; drugą połowę zachowano na później. Po tej uczcie wraz z odzyskanymi siłami energia ożywiła tych dzielnych ludzi.

A zaprawdę potrzeba im było tej energii, bo i następnej nocy zbawienne światło nie zabłysło na szczycie Volquiri.

XXI. *Fiat lux*<sup>85</sup>

William i jego mały oddział od ośmiu dni opuścił obóz. Jakież przygody opóźniły ich pochód. Czyż wstrzymała ich jaka nieprzewidywana zaporą? Skąd pochodzi to opóźnienie? Czyż obydwaj astronomowie ulegli jakiemu wypadkowi... czy ich śmierć spotkała? Łatwo pojąć przejście od nadziei do zwątpienia, a od tego do rozpaczy. Uczuć tych kolejno doświadczyli zamknięci w forteczce. Ich koledzy, ich przyjaciele już przeszło tydzień byli w drodze... a przecież w pięciu, a najdalej w sześciu dniach winni byli stanąć na górze! Nie można ich przecież posądzać o brak odwagi, energii i wytrwałości. Wiedzieli dobrze, że od dostania się ich na szczyt Volquiri zależało powodzenie wyprawy, powiedzenie się wielkiego przedsięwzięcia. Skoro więc wiedzieli, któż by odważył się przypuścić, że zaniedbali się w czymkolwiek? Takiego podejrzenia nikt nie śmiałby na nich rzucić. Jeżeli więc dotąd nie zabłysnęło światło na szczycie Volquiri, znać że zginęli lub też popadli w jasyr koczujących plemion.

Te smutne myśli zajmowały bez przerwy czterech uczonych. Z gorączkową niecierpliwością oczekiwali nadejścia nocy, ażeby jak najprędzej rozpocząć obserwacje, aby stanawszy przy lunecie, z okiem wlepionym w oddalony punkt, nie oddychając prawie, oczekiwać sygnału. Wszystkie nadzieje, wszystkie oczekiwania, całe ich życie skupiło się na tym małym szkiełku lunety, przez które miało zabłysnąć zbawcze światło. Przez cały tedy dzień błędzili w milczeniu po stokach góry, zatopieni w jednej tylko myśli. Zaprawdę, ani dotychczasowe trudy, nieznośne upały, dzikie zwierzęta, ni pragnienie i głód nie dokuczały im tyle, ile ta chwila niecierpliwego oczekiwania.

W dniu tym spożyto resztę mrówkojada. Kto się dostatecznie nie nasycił, szedł do mrowiska dopełniać obiadu termitami.

Na koniec zapadła noc ciemna, bezksiężycowa, cicha, wyborna do obserwacji... Światło jednak nie ukazało się na Volquiri. Już zorze zarumieniły niebo na wschodzie, już zabłysły pierwsze promienie słońca, a jeszcze astronomowie stali przy lunecie z wyciężonym wzrokiem — pułkownik i Strux niezmiernie wytrwali. Na koniec słońce zajaśniało w całym blasku, dalsza obserwacja stała się niemożliwa.

Ze strony dzikich nie zachodziła najmniejsza obawa. Makololowie postanowili głodem zmusić załogę do poddania się. W istocie łatwo to mogło nastąpić. Przez cały następny dzień głód zadawał męczarnie załodze uwięzionej na Skorcewie, a nieszczęśni Europejczycy

<sup>85</sup>*Fiat lux* (łac.) — Niech się stanie światło. [przypis edytorski]

starali się go ukoić żuciem korzeni mieczyka, rosnącego obficie na stokach góry.

Więźnie, alboż nimi nie byli? Nie, dopóki szalupa parowa mogła ich przewieźć na drugi brzeg jeziora, w okolice żyzne, gdzie by im nie zabrakło ani zwierzyny, ani soczystych owoców, ani dziko rosnących warzyw. Nieraz myślano o tym, ażeby wyprawić Mokuma na północny brzeg jeziora, iżby tam zapolował i dostarczył żywności. Lecz cóż by się stało, gdyby Makololowie dostrzegli ten ruch lub gdyby na przeciwnym brzegu strzelec dostał się w ręce koczowniczych rabusiów? Stracono by łódź, a z nią ostatni środek ratunku. Odrzucono więc ten projekt. Postanowili ocalić się lub umrzeć razem. O opuszczeniu Skorcewa przed dokonaniem pomiaru południka nawet mowy nie było. Należało czekać aż do zniknięcia ostatniej nadziei. Wreszcie szło o cierpliwość, a tę mieli.

— Kiedy Arago, Biot i Rodriguez — mówił pułkownik do zgromadzonych towarzyszy — postanowili przedłużyć pomiar południka Dunkierki aż do Ibizy, znajdowali się w położeniu naszym podobnym. Chodziło o połączenie wyspy tej z lądem hiszpańskim za pomocą trójkąta, którego boki wynosiły przeszło sto dwadzieścia mil angielskich.

Astronom Rodriguez zajął najwyższy szczyt wyspy i utrzymywał na nim płonący ogień. W tym czasie francuscy uczeni przepędzali czas pod namiotami o sto mil od niego, w puszczy de las Palmas. Przez sześćdziesiąt nocy Arago i Biot czatowali na sygnał, który mieli zdjąć. Zrozpaczeni, mieli już zaprzestać roboty, gdy sześćdziesiątej pierwszej nocy zabłysło wyglądane światło, które tylko stałą nieruchomością odróżniało się od gwiazd. Jak to, panowie! Oni oczekiwali sześćdziesiąt jeden nocy! Czego astronomowie francuscy i hiszpańscy dowodzili dla dobra nauki, czyż my dokonać nie zdołamy?

Okrzyk uniesienia odpowiedział na tę przemowę. A jednak mogli odpowiedzieć pułkownikowi, że ani Biot, ani Arago nie doznawali męczarni głodu przez cały czas pobytu w puszczy las Palmas.

W ciągu dnia pojawił się ruch niezwykle w obozie Makololów. Biegali oni szybko tu i ówdzie, co wielce zaniepokoiło Buszmena. Czyżby w nocy zamierzali uderzyć na forteczkę albo też zwinąć obóz? Po dokładnym rozpatrzeniu się doszedł do przekonania, że ułożyli napad. Wojownicy gotowali broń, kobiety zaś i dzieci, do obozu przybyłe, opuściły go i pod dowództwem kilku zbrojnych udały się ku zachodniemu brzegowi jeziora. Prawdopodobnie oblegający postanowili raz jeszcze popробować zdobycia szturmem twierdzy przed powrotem do swej stolicy Maketo.

Buszmen zawiadomił Europejczyków o wypadku swoich spostrzeżeń. Postanowiono więc podwoić czujność podczas nocy i trzymać broń w pogotowiu. Liczba wrogów była bardzo znaczna. Nic im nie przeszkadzało z dwóch stron po kilkuset rzucić się na stoki góry. Mury forteczki, w wielu miejscach rozwalone, nie wstrzymałyby ich postępu. Pułkownik uważał za potrzebne wydać pierwsze rozporządzenia na wypadek, gdyby oblężeni zostali zmuszeni do cofnięcia się i chwilowego opuszczenia stanowiska. Parowiec powinien być gotowy do wyruszenia na wodę za pierwszym znakiem. Jeden z marynarzy otrzymał rozkaz rozniecenia ognia pod kotłem i przysposobienia pary na przypadek ucieczki, lecz polecono mu wstrzymać się z tym aż do zachodu słońca, inaczej bowiem nieprzyjaciel dowiedziałby się o istnieniu statku.

Wieczera składała się z termitów i cebulek mieczyka. Smutne pożywienie dla ludzi mających się bić, lecz to bynajmniej nie osłabiło mężnych i gotowych na wszystko.

Po godzinie szóstej, gdy noc zapadła z szybkością właściwą krainom podzwrotnikowym, marynarz spuścił się po urwiskach skalnych na dół, ażeby rozpalić ogień pod kotłem maszyny. Rozumie się, że pułkownik postanowił uchoǳić dopiero w razie ostatecznym, gdyby już dłużej niepodobna było trzymać się w fortecy. Nie miał siły do opuszczenia jej, bo lada chwila mógł zabłysnąć ogień wzniecony przez wysłańców.

Innych marynarzy rozstawiono poza murem opasującym forteczkę, polecając bronić wyłomów do ostateczności. Broń przygotowano. Kartaczownica, nabita i zaopatrzona w zapasowe naboje, wystawiała swe straszne lufy z otworu strzelnicy.

Na oczekiwaniu zeszło kilka godzin. Pułkownik Everest i Strux na przemian czuwali przy szkle lunety umieszczonej na szczycie baszty, wyczekując pojawienia się sygnału. Krańce widnokregu pogrążone były w cieniu, lecz za to na zenicie błyszczwały konstelacje w całej świetności. Najmniejszy wietrzyk nie wzruszał powietrza, cisza uroczysta panowała dokoła.

Tymczasem Buszmen zajmujący wysoką skałę przysłuchiwał się szmerowi, który głucho podnosił się z doliny. Z wolna szmer stawał się coraz wyraźniejszy. Mokum nie zawiódł się na swoich przypuszczeniach: Makololowie gotowali się do ostatecznego szturm.

Aż do dziesiątej atakujący nie poruszyli się. Ognie ich obozowiska z wolna gasły. Pola i równiny pograżyły się w ciemnościach. Naraz Buszmen dostrzegł cienie poruszające się po bokach góry. Dzicy byli już zaledwie o sto stóp poniżej muru.

— Do broni! do broni! — zawrzasnął Buszmen.

Natychmiast szczupła załoga wysunęła się przed południowy front i rzęsiwym ogniem powitała napastników. Dzicy odpowiedzieli na to okrzykiem wojennym i pomimo celnego ognia nie przestawali piąć się do góry. Przy świetle strzałów postrzeżono takie mnóstwo dzikich, że wszelki opór zdawał się niemożliwy. Jednak celne i niechybiające kule sprawiały straszną rzeź w ich gromadach. Makololowie padali kupami i jeden przez drugiego staczali się na sam dół. W krótkich przerwach pomiędzy strzałami można było słyszeć ich krzyk, jakby dzikich zwierząt. Mimo to szli naprzód wytrwale, w ścieśnionych szeregach, coraz wyżej i wyżej, nie wypuszczając ani jednej strzały, gdyż zbyt im było śpieszno dostać się na wierzch.

Pułkownik strzelał na czele oddziału. Jego towarzysze dzielnie go wspierali swym ogniem, nie wyłączając Palandra, który może po raz pierwszy w życiu miał broń w ręku. Sir John dawał dowody cudów zręczności: to na tej, to na owej skale stawał, przyklekał, schylał się, dając tak szybko ognia, że mu się sztucer od gęstych strzałów rozpałił. Buszmen zachowywał zimną krew, strzelał ze spokojem i był pewny siebie, śmiały i cierpliwy, jakim go znamy.

Lecz ani nadzwyczajna odwaga, ani pewność strzału, ni doskonałość broni nie mogły podoląć liczbie. Każdego z poległych zastępowało dwudziestu nowych wojowników. Za wiele ich było na trzynastu ludzi broniących forteczki. Po półgodzinnym oporze pułkownik uznał, że dłużej trudno się bronić, że liczba go zgniecie.

W samej rzeczy nie tylko frontem góry, ale i bokiem wdzierały się tłumy dzikich. Trupy jednych służyły za stopnie drugim. Niektórzy porywali trupy w ręce i zasłaniając się nimi jak puklerzem pięli się w górę. Scena ta, oświetlona krótkimi czerwonymi odbłyśkami strzałów, była przerażająca. Europejczycy wiedzieli o tym dobrze, że nie mogą spodziewać się żadnej litości od okrutnych wrogów. Niczym były najstrasniejsze zwierzęta afrykańskie w porównaniu z zażartymi Makololami. Okrucieństwem zawstydziliby tygrysy, gdyby szczęściem Afryka ich nie wydawała.

O wpół do jedenastej pierwsze zastępy dzikich wdarły się na płaskowyż tworzący wierzch góry. Oblężeni nie mogli wdać się w bój ręczny z hordą rozbójników, bo broń palna w tym przypadku była nieużyteczna, a liczba by ich zgniotła. Należało szukać schronienia za murem. Na szczęście mały oddziałek był jeszcze nietknięty, bo Makololowie, jak już mówiliśmy, nie używali ni strzał, ni dziryków.

— Za mury! — zakomenderował potężnym głosem pułkownik.

Jeszcze raz dawszy ognia, oblężeni, idąc za przykładem wodza, schronili się za mury.

Dzicy powitali odwrót radosnym okrzykiem wojennym i poczęli się cisnąć ku włomowi w murze, aby przezeń dostać się w obręb twierdzy.

Nagle zagrzmiął straszliwy huk — niby trzask pioruna, rozdrabniający się na mnóstwo gromów pojedynczych. To kartaczownica, zakręcona ręką sir Johna, zabrała głos w bitwie. Dwadzieścia pięć lufek armatnich rozłożonych wachlarzowato sypnęło gradem kul na gromady dzikich cisnących się w włom. Deszcz ołowiu druzgotał rozbójników i zmiatał ich setkami. W mgnieniu oka oczyścił plac boju. Straszne wycie Makololów odpowiedziało na huk kartaczownicy, lecz okrzyk ten słabnął, a wreszcie ucichł. Zrazu wypuścili chmurę strzał, lecz te nikogo nie dosięgły.

— Przewybornie sprawa się maleńka — zawołał Buszmen, zbliżając się do sir Johna. — Gdy się pan zmęczysz wygrywaniem na tej katarynce, to pozwolisz, ażebym i ja dał koncert.

Lecz kartaczownica zamilkła. Makololowie przerażeni straszliwym skutkiem śmiertelnego narzędzia pierzchli na obie strony, szukając gdzie można schronienia, pozostawiając płaskowyż gęsto pokryty trupem.

Zaledwie atak dzikich zelżał, a natychmiast pułkownik Everest i Mateusz Strux, korystając z chwilowej przerwy, pobiegli na basztę, by spojrzeć w lunetę. Ani wycia dzikich, ani groźne niebezpieczeństwo nie przeraziło ich. Bez najmniejszego wzruszenia, z dziwnie zimną krwią wpatrywali się kolejno w otwór lunety tak spokojnie, jak gdyby znajdowali się w swoich uniwersyteckich obserwatoriach. Za chwilę okrzyki znowu zabrzmiały, oznajmiając ponowienie się walki, lecz dwaj uczeni pilnowali po kolei swego stanowiska, nie zwracając uwagi na dzikich.

W istocie zacięta walka zawrzała z nową gwałtownością. Już nawet i kartaczownica nie mogła poradzić tłumom pchających się ślepo wszystkimi wyłomami ze straszliwym wyciem. Jeszcze przez pół godziny Europejczycy bronili im każdej stopy ziemi. Oblężeni, broni swej zawdzięczając opór, dotąd otrzymali zaledwie kilka lekkich zadrasnień asagajami. Mimo kilkuset poległych zajadli dzicy cisnęli się naprzód. Broniący się dotrzymywali placu, zażartość obu stron wzrastała.

Nagle około wpół do dwunastej Mateusz Strux, stojący według kolei przy lunecie, przypadł bez tchu do pułkownika strzelającego do dzikich. Twarz Mateusza okazywała silne wzruszenie, malowało się na niej zachwycenie połączone z pomieszaniem. W jego kapeluszu drgała jeszcze świeżo wypuszczona strzała. Ujrawszy Everesta, zawołał drżącym głosem:

- Sygnał! sygnał!
- Co! co? — krzyknął pułkownik, nabijając broń.
- Sygnał!
- Widziałeś go?
- Widziałem.

Everest, wypaliwszy do jednego z wodzów nieprzyjacielskich, wydał okrzyk tryumfu i popędził ku baszcie, a za nim Strux zbladły od wzruszenia. Tam ukląkł przy lunecie i powstrzymując bicie serca, patrzył w nią. Patrzył, zapominając o śmierci wiszącej mu nad głową — o całym świecie.

Na szczycie Volquiri jaśniał sygnał. Widział go wyraźnie między kratkami włosów rozciągniętych przed soczewką lunety. Ostatni trójkąt otrzymał nareszcie punkt oparcia.

Zaiste, wzniosły to widok. Śród grzmotu strzałów, pośród wycia rozżartej hordy dzikich i zgiełku bojowego — dwóch uczonych przy szkłe lunety, obojętnych na śmierć, pamiętających tylko o spełnieniu naukowego zadania, gdy lada chwila mógł ich ugodzić morderczy pocisk, albowiem właśnie tłumy Makololów sforsowały wyłom i gdyby nie kartaczownica, gdyby nie sir John, Buszmen i majtkowie, już by cały garnizon legł pod ich ciosami. A kiedy załoga z ostatnim wysiłkiem broniła każdej piędzi ziemi, Everest i Strux schyleni nad kołem powtarzającym bez przerwy mierzyli rozwartość kąta. Powtarzali kilkakrotnie jeden i ten sam pomiar, ażeby uniknąć błędu, Palander zaś z największą flegmą zapisywał w rejestr wyniki ich obserwacji. Niejednokrotnie strzała zadrasnęła głowę któregoś z uczonych i ugrzęzła w ścianie drewnianej baszty, lecz uczeni, zatopieni w pracy, nawet o tym nie wiedzieli. Jeden patrzył na gorejące światło, drugi odczytywał podziałkę przez lupę na kole, a trzeci pisał.

- Jeszcze jedna obserwacja — zawołał Strux, przesuwając lunetę.

Wtem wielki kamień wyrzucony silną ręką wytrącił rejestry z ręki Palandra i o mało nie zgruchotał lunety. Lecz właśnie operacje zostały ukończone i położenie sygnału oznaczone z dokładnością jednej tysięcznej sekundy.

Pozostawało tylko uchodzić, by zachować rezultaty znakomitej pracy. Dzicy zaczęli się cisnąć do kazamat i lada chwila mieli opanować basztę. Pułkownik Everest i jego koledzy pochwycili broń. Palander porwał narzędzia i rejestry i wybiegli poza obręb baszty wyłomem prowadzącym na ścieżkę, którą się można było dostać do szalupy. Ale w chwili, gdy zaczęli na dół zstępować, Strux zawołał:

- A nasz sygnał!

W rzeczy samej należało odpowiedzieć na sygnał dwóch młodych astronomów; bo dla dokładności przedsięwziętego pomiaru trzeba było, ażeby William Emery z Zornem ze swej strony oznaczyli kąt rozwartości i niezawodnie na szczycie Valquiri niecierpliwie oczekiwali ukazania się ognia na Skorcewie.

- Jeszcze jeden wysiłek! — zawołał pułkownik.

I podczas gdy jego towarzysze z największą trudnością powstrzymywali nawałę dzikich, Everest wpadł do baszty. Była to budowa z drzewa wysuszonego na skwarze słonecznym. Dość było jednej iskry, aby zajęła się płomieniem. Everest, zapaliwszy zwitek papieru, rzucił go na leżącą w kącie kupę wiórów. Buchnęły płomienie, a dzielny astronom wypadł z baszty w celu połączenia się z towarzyszami.

Nagły pożar zwrócił całą uwagę dzikich. Korzystając z tego, załoga spuszczała się stromą ścieżką, unosząc wspólnymi siłami kartaczownicę, której nie chcieli porzucić. Dostrzegli ich Makololowie, ale za późno, bo już byli na łodzi. Maszynista stosownie do rozkazów trzymał parę w pogotowiu, puszczono w ruch maszynę, a statek natychmiast odbił od brzegu i posunął się na otwarte jezioro. Posłano dzikim, stojącym w osłupieniu na krańcu góry, salwę, która jeszcze kilkunastu zwała.

Wkrótce szalupa odplynęła tak daleko, że można było dojrzeć pożar na szczycie Skorcewa. Baszta płonąła jak pochodnia, a światło jej niezawodnie było widać z wierzchołka Volquiri.

Potężnym okrzykiem powitała załoga statku pożar baszty, która jak latarnia morska rozrzuciła daleko w przestrzeń snopy światła.

William i Zorn posłali swym kolegom gwiazdę, a ci odpowiedzieli im słońcem.

## XXII. NOWE ZNIKNIĘCIE PALANDRA

O świcie parowiec przybił do północnego brzegu jeziora. Nie dostrzeżono tu śladu Makololów. Pułkownik i jego towarzysze, trzymający dotąd broń w pogotowiu do strzału, spuścili kurki. Statek spłynął do wąskiej przystani, jakby wydrążonej pomiędzy dwiema wysokimi skalami.

Buszmen, sir John i jeden z majtków poszli na polowanie. Okolica była zupełnie pusta, ani śladu dzikich. Natomiast na wielką pociechę głodniałych snuło się mnóstwo zwierzyzny. Śród wysokich traw i gęstych zarośli przemykały rącze antylopy, na jeziorze pływały stada dzikich kaczek i innych ptaków wodnych. Myśliwi powrócili z bogatym łupem. Pułkownik i jego towarzysze mogli po długim głodzie odżywić się zwierzyną, której im już nie miało zabraknąć.

Tegoż dnia, 5 lutego, rozbito obóz na brzegach jeziora Ngami, nad wpadającym doń strumieniem, w cieniu rozłożystych drzew. Było to miejsce zborne wspólnie naznaczone, gdyż Numbo wyraźnie zapowiedział, aby na nich czekali nad brzegami jeziora przy strumieniu. Everest i Strux rozgościli się tu, wyglądając powrotu kolegów, który niezawodnie miał być łatwiejszy, aniżeli wyprawa na Volquiri. Po przebytych trudach kilka dni wypoczynku było im bardzo na rękę. Palander korzystał z tego czasu, ażeby obliczyć wyniki ostatniego pomiaru trygonometrycznego. Mokum i sir John rozkoszowali się, polując zapalczywie w okolicy tak obfitej w zwierzynę. Wielce szanowny Anglik chętnie zakupiłby to eldorado myśliwskie, gdyby je tylko można przenieść do Szkocji.

Dnia 8 lutego usłyszano wystrzały. Był to sygnał zapowiadający powrót oddziału Williama. Wnet ich ujrzano. Wszyscy mieli się wybornie; odnieśli teodolit, jedyny nieuszkodzony, jaki teraz posiadała międzynarodowa komisja.

Nie potrzebujemy nadmieniać, z jaką radością witano przybywających. Nie szczędzono sobie nawzajem powinszowań. W kilku słowach opowiedzieli swoją wyprawę. Droga była nadzwyczaj mozolna. Najpierw zmarnowali dwa dni na błądzenie w rozległej puszczy rozłożonej u stóp gór. Iгла magnesu była ich jedynym przewodnikiem. Nie mogąc znaleźć punktu orientacyjnego, nie doszliby nigdy do Volquiri, gdyby nie nadzwyczajna roztropność Numba. Okazywał on zawsze i wszędzie poświęcenie. Droga na wysoki szczyt była bardzo niedostępna. Stąd nastąpiło opóźnienie również dla nich, jak i dla pozostałych na Skorcewie bardzo przykre. Na koniec udało im się osiągnąć szczytu Volquiri. Ustawiono sygnał i w nocy z 4 na 5 lutego wzniecono światło elektryczne. Światło to, wzmocnione potężnym reflektorem, było tak silne, że natychmiast po zablęśnięciu dostrzeżono je w lunecie Skorcewa.

William i Michał z równą łatwością zobaczyli płonąca basztę. Za pomocą teodolitu i koła powtarzającego, zdjąwszy położenie Skorcewa, dopełnili pomiaru ostatniego trójkąta, którego wierzchołek stanowił szczyt Volquiri.

— A czy oznaczyliście szerokość geograficzną tej góry? — zagadnął pułkownik Williama.

— Jak najdokładniej — odrzekł Emery. — Za pomocą zmierzenia gwiazd w zenicie.

— Więc szczyt znajduje się...

— Pod  $19^{\circ}37'35,337''$  — odparł Zorn.

— Bardzo dobrze, moi panowie, zadanie nasze można uważać za spełnione. Zmierzyliśmy łuk południka na przestrzeni ośmiu stopni, za pomocą sześćdziesięciu trzech trójkątów, a skoro ostatecznie sprawdzimy nasze obliczenia, będziemy mogli oznaczyć wartość stopnia, a zatem i długość metra w tej części kuli ziemskiej.

Okrzyk radości wydarł się z piersi członków komisji na tę pomyślną wiadomość.

— Teraz nie pozostaje nam nic więcej — dodał pułkownik — jak dostać się rzeką Zambezi do Oceanu Indyjskiego. Wszak pan się na to zgadzasz, panie Strux?

— Nie inaczej — odrzekł astronom — lecz podważę się nadmienić, że działania nasze należy sprawdzić. Proponuję więc, ażebyśmy jeszcze poprowadzili dalej sieć trójkątów ku wschodowi, aż do znalezienia miejsca stosownego do założenia nowej podstawy na gruncie. Tylko tym sposobem nasz pomiar będzie mógł być skontrolowany.

Wniosek Struksa przyjęto bez sprzeciwu. Uznano, że skontrolowanie dotychczasowych prac, począwszy od pierwszej podstawy, jest niezbędne. Postanowiono więc rozciągnąć ku wschodowi sieć trójkątów pomocniczych, aż do chwili, gdy jeden z boków tych trójkątów będzie mógł być pomierzony na gruncie platynowymi sztabkami. Parowiec miano wyprowadzić przodem, ażeby oczekiwał astronomów poniżej sławnych Wodospadów Wiktorii na Zambezi.

Po umówieniu się czterej majtkowie wsiedli na szalupę i puścili się jednym z dopływów Zambezi. Zmniejszony zaś oddział pod przewodnictwem Buszmen, puścił się ku północnemu wschodowi i rozpoczął dalsze prace. Nowe punkty łatwo się nastrecały, ustawiano więc celowniki, zakładano nowe trójkąty i mierzono je dokładnie. Buszmenowi powiodło się schwytać kwaggę, którą poskromiwszy, użył do przenoszenia reszty instrumentów, mianowicie teodolitu, sztabek platynowych, listewek i drewnianych podstawek, mających posłużyć do pomiaru podstawy, a które szczęściem ocalały wraz z szalupą.

Pochód odbywał się dosyć szybko. Obserwacje mało go opóźniały. Łatwo było w tym górzystym kraju wynajdywać miejsca wznioślejsze do ustawiania celowników. Jasna pogoda uwalniała astronomów od obserwacji nocnych. Wędrowcy znajdowali schronienie w cieniu ogromnych drzew, obfitych w tej okolicy, przed upałem słonecznym, który łagodził wpływ licznych strumieni przerzynających przebywaną krainę.

Polowanie obficie zaspokajało potrzeby małego oddziałku. Krajowcy nie ukazywali się wcale. Prawdopodobnie hordy Makololów płądrowały południowy brzeg jeziora Ngami, na próżno szukając łupu, który im umknął.

Stosunki między pułkownikiem a Struksem były bardzo dobre, zdaje się, że o dawnym współzawodnictwie osobistym zapomnieli. Nie było wprawdzie pomiędzy nimi szczerzej przyjaźni, lecz byli względem siebie nader uprzedzający.

Przez dwadzieścia jeden dni, aż do 2 marca, nie zaszło nic godnego wspomnienia. Próżno starano się znaleźć miejsce dogodne do wymierzenia podstawy, nigdzie dotąd nie natrafiono na płaski teren, jakiego wymaga pomiar. O ile dość było wzgórz potrzebnych do triangulacji, o tyle znów zbywało na równinach. Oddział posuwał się wciąż w kierunku wschodnio-północnym, trzymając się prawego brzegu rzeki Szobbe<sup>86</sup>, jednego z najznakomitszych dopływów Zambezi, starając się wszelako ominąć Maketo, główną osadę Makololów.

Wszystko więc sprzyjało uczonym i pewni już byli, że powrót odbędzie się szczęśliwie, że nie natrafiając na przeszkody wynikające z powodu gruntu lub braku pożywienia, nie będą dalej wystawiani na przykre próby, jakich dotąd doznawali. Wyprawa przebywała obecnie okolice znane już Europejczykom i powinna była wkrótce przybyć do osad zwiedzanych już przez Livingstone'a. Nie bez słuszności więc przypuszczali, że największe trudy już się skończyły. Nikt jednak nie jest w stanie przewidzieć, co go może spotkać. W istocie zaszedł wypadek, który o mało nie naraził wyprawy na zupełne i niczym niewynagrodzone straty.

Mikołaj Palander był bohaterem, a raczej ofiarą tej przygody.

<sup>86</sup>Szobbe — ob. *Kuando* a *Kwando*, rzeka w Afryce, prawy dopływ Zambezi, przepływający gł. przez Angole; w dolnym biegu nazywana *Chobe*. [przypis edytorski]

Wiadomo, że nieustraszony, ale nadzwyczaj roztargniony matematyk zwykł był częstokroć zapędzać się gdzieś daleko od swoich towarzyszy. Na równinach zapominanie się to nie pociągało za sobą niebezpieczeństwa, bo bardzo prędko odnajdywano zbłąkanego, lecz w okolicach lesistych roztargnienie Palandra mogło sprowadzić następstwa bardzo groźne. Dlatego też Strux i Buszmen tysiącrotnie upominali go, ażeby nie odchodził od karawany. Palander obiecywał stosować się do przeszkód i nie niecierpliwił się nawet tą zbytnią troskliwością. Czcigodny ten mąż nie domyślał się nawet, że jest roztargniony.

Otóż właśnie w dniu 2 marca nagle spostrzeżono nieobecność Palandra. Po wzajemnych wypytywaniach się i objaśnieniach okazało się, że nie ma go od kilku godzin. Oddziałek przebywał właśnie wielkie knieje podszyte krzewinami, niedopuszczające daleko sięgać wzrokiem. Należało się trzymać w ściśniętej gromadce, gdyż w gąszczu z trudnością przyszloby odszukać śladów zbłąkanego. Palander, jak zwykle zatopiony w rachubach, szedł z ołówkiem w jednej, a rejestrami w drugiej ręce, a nie zauważając tego, odłączył się od gromadki i zniknął w zaroślach. Można sobie wyobrazić niepokój wszystkich, gdy około czwartej z południa zatrzymawszy się na spoczynek, ujrzeli, że Palandra nie ma. Przygoda z krokodylami tkwiła jeszcze żywo w pamięci i sam chyba rachmistrz zdołał o niej zapomnieć. Trwoga opanowała wszystkich i niepodobieństwem było iść dalej, dopóki nie odnalazłby się Palander.

Zaczęli wydawać krzyki, ale nikt nic nie odpowiadał. Buszmen i marynarze rozbiegli się naokoło, przetrząsając w półmilowym promieniu krzaki, badając gąszcze, strzelając z fuzji daremnie. Palander się nie zjawił.

Niepokój wszystkich był nadzwyczaj żywy, a Strux nadto irytował się niezmiernie niedołężnością niezaradnego towarzysza. To już po drugi raz powtarzał się z winy Palandra nieprzyjemny dla wszystkich wypadek i gdyby z tego powodu pułkownik okazał Struksowi niezadowolenie, on nie mógłby nawet tłumaczyć się. W tak przykrych okolicznościach nie pozostawało nic innego, jak rozbić obóz w tym miejscu i zająć się jak najtroskliwiej odszukaniem zaginionego.

Pułkownik i jego towarzysze zamierzali właśnie rozbić na łące leśnej namioty, gdy nagle usłyszeli dziwny jakiś krzyk, niemający w sobie nic ludzkiego. Krzyk ten doszedł ich uszu z zarośli odległych o paręset kroków od obozowiska. Zaraz po tym wybiegł z nich Palander, pędząc bez tchu, z gołą głową, włosami roztarganymi, w podartych sukniach, których strzępy zwieszały się dokoła. Skoro nieszczęsny dobiegł do towarzyszów, zarzucano go zewsząd pytaniami. Matematyk był drżący i nieprzytomny. Z wytrzeszczonymi oczyma, zmienioną twarzą, błądy, wystraszony, sapał straszliwie i bez ruchu. Na próżno silił się przemówić. Słowa nie mogły się wydobyć z bełkocących ust.

Cóż się więc stało? Skąd to przerażenie? Dlaczego Palander odszedł od przytomności? Nikt nie umiał sobie wytłumaczyć.

Na koniec z największym wysiłkiem zdołał wyrzec:

— Rejestry! Rejestry!

Słowa te przejęły astronomów dreszczem. Zrozumieli ich straszne znaczenie. Dwa rejestry, zawierające rezultat całorocznej pracy i niewypowiedzianych trudów, rejestry zawierające wyniki wszystkich obliczeń trygonometrycznych, rejestry, z którymi uczony rachmistrz nie rozłączał się na chwilę, z którymi nawet sypiał... zaginęły! Palander ich nie miał. Czy je zgubił czy mu je skradziono, mniejsza o to. Zginęły! Wszystko więc wypadło robić od początku na nowo.

W czasie gdy towarzysze otaczali go w ponurym milczeniu, Strux wybuchnął. Zapomniał zupełnie, że to kolega, przyjaciel, człowiek uczony. Bez względu na wszystko wymyślał mu najobelżywszymi wyrazami, groził chłostą i wygnaniem i o mało, że czynnie nie obraził.

Ale Palander na groźby i obelgi nic nie odpowiadał. Kiwał tylko głową, jak gdyby potwierdzając ich słusność, jak gdyby przyświadczał, że za popełnioną winę były jeszcze zbyt łagodne.

— A więc okradziono tego nieszczęśliwego? — zapytał na koniec pułkownik.

— A diabeł go tam wie! — krzyknął Strux z największym rozjątrzeniem. — Po cóż ten bałwan odchodził od nas, kiedy mu sto razy tego zakazywałem.

— Co się stało, to się stało — zauważył sir John. — Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, czy zgubił rejestry, czy mu je ukradziono? Czy panu kto ukradł rejestry? —

zapytał, zwracając się do Palandra, który w niemej rozpaczycy rzucił się na ziemię i pięściami walił po głowie. — Mówże pan! Czy cię okradziono?

Palander kiwnął potwierdzająco.

— A któż je skradł, może Makololowie?

Palander pokręcił głową na znak przeczenia.

— Więc Europejczycy?

— Nie — odrzekł matematyk przytłumionym głosem.

— A więc któż? I gadajże do kroćset diabłów, ty głupcze! — krzyknął Strux, przyskakując z pięściami zaciśniętymi.

— Pawiany!

Pomimo okropnych skutków dla całej wyprawy, jakie zgubienie rejestrów pociągało za sobą, uczeni z wyjątkiem Struksa o mało nie parsknęli śmiechem. Palandra okradły małpy!

Buszmen objaśnił, że podobne wypadki zdarzały się często.

Widział on kilkakrotnie podróźnych okradanych przez pawiany. Małpy te licznymi stadami przebiegają lasy Afryki Południowej. Czwororęczni złodzieje okradli matematyka. Widać jednak, że się bronił zacięcie, jak świadczyła podarta w strzępy odzież, lecz to go nie uniewinniło. Gdyby był nie oddalał się, pawiany nie byłyby go splądrowały i nie wyrządziłyby niepowetowanej straty uczzonej ekspedycji. Ileż walk, ileż trudów, cierpień i niebezpieczeństw przebyto, aby ułożyć owe rejestry, a jedno roztargnienie stało się przyczyną tak ogromnej szkody!

— Czyż warto było przedsiębrać podróż na południową półkulę i mierzyć południk na to tylko, aby jeden niezdara...

To mówiąc, pułkownik wstrzymał się, nie chcąc się znęcać nad nieszczęśliwym zgnębionym, tym bardziej, że Strux, zapomniawszy z rozjątrzenia imienia i nazwiska Palandra, zastępował je najgrubszymi przydomkami.

Trzebaż było przecież coś radzić, a Buszmen pierwszy o tym pomyślał. Ponieważ strata najmniej go dotykała, przeto w tym zamieszaniu sam jeden zachował zimną krew, gdyż wszyscy Europejczycy potracili głowy.

— Panowie — rzekł Mokum — pojmuję waszą rozpacz, ale nie traćmy drogich chwil. Pawiany okradły pana Palandra, a więc puśćmy się w pogoń za złodziejami. Małpy te starannie zachowują skradzione przedmioty, rejestrów nie zjedzą, jeżeli więc wysledzimy złodziei, to i rejestry się znajdą.

Rada była dobra, należało ją tylko jak najprędzej wykonać. Na tę propozycję Palander odżył. Wziął kurtkę od jednego majtka, od drugiego kapelusz i oświadczył, że doprowadzi ścigających do miejsca, gdzie go napadnięto.

Stosownie do udzielonych objaśnień zmieniono kierunek drogi i tego jeszcze wieczora oddziałek zwrócił się ku zachodowi.

Maszerowali przez większą część nocy i cały dzień następny, ale nie natrafili na ślady rabusiów. Dopiero ku schyłkowi dnia Buszmen po tropach i zadraśnięciach drzew rozpoznał, że niedawno przeszły tędy małpy. Palander oświadczył że napastników było koło dziesięciu. Myśliwi puścili się za świeżym tropem z nadzwyczajną ostrożnością, gdyż pawiany są nader roztropne i przebiegłe i niełatwo się dają podejść. Buszmen liczył tylko na to, że je zaskoczy niespodzianie.

Na drugi dzień z rana jeden z marynarzy, idący przodem, dostrzegł jednego pawiana i cofnąwszy się ostrożnie, dał znać o tym Mokumowi. Ten dał znak, aby się zatrzymano w miejscu, a wzięwszy z sobą sir Johna i Numba, udał się z nimi na miejsce, gdzie majtek dostrzegł pawiana. Wszyscy trzej posuwali się ostrożnie naprzód, ukrywając za drzewami.

Wkrótce jeden, a potem cała gromada ukazała się w pośród gąszczu. Trzej myśliwcy ukryci za krzakami śledzili je z natężoną uwagą.

Było to stado pawianów o brudnozielonawej sierści; cechowały je czarne uszy i twarz i długi, ruchliwy ogon. Zwierzęta te, spore i silne, mają muskularne ciało, szczęki wystające na kształt psich, uzbrojone w ostre zęby, które wraz z długimi pazurami stanowią ich broń, groźną nawet dla zwierząt drapieżnych.

Ten rodzaj małp lubi się bezustannie włóczyć. Pustoszą pola obsiane kukurydzą i są postrachem Burów, to jest dawnych osadników holenderskich na przylądku Dobrej Nadziei, napadając często gromadnie ich osady. Pawiany dostrzeżone przez myśliwych były



w nieustannym ruchu, szczekały, skomliły jak psy, a żaden nie dostrzegł zaczajonych strzelców.

Najważniejsze było pytanie, czy złodziej Palandra znajduje się między nimi? Lecz Mokum dostrzegł na jednym z nich szczątki sukien matematyka.

Nadzieja ożywiła sir Johna Murraya. Nie wątpił, że rejestry skradła ta wielka małpa. Należało ją koniecznie dostać, lecz to wymagało niezmiernej przezorności. Jedno nieostrożne poruszenie mogło małpy spłoszyć, a gdyby raz umknęły, dopędzenie ich byłoby niemożliwe.

— Zostań tu — szepnął Mokum przewodnikowi. — Jego dostojność i ja połączymy się z resztą towarzystwa i obmyślimy, jak osaczyć małpy, lecz nie spuszczaaj z oka tych włóczęgów.

Numbo został na wyznaczonym miejscu, Buszmen z sir Johnem wrócili do pułkownika.

Jedynym sposobem schwytania złoczyńcy było osaczenie stada. Europejczycy podzielili się na dwa oddziały. Jeden stanowił Strux, Emery i Zorn oraz trzech majtków, którzy mieli połączyć się z Numbem i podchodzić z nim półkregiem. Drugi, złożony z Mokuma, sir Johna, pułkownika, Palandra i trzech innych marynarzy udał się w lewo, ażeby zająć tyły pawianom.

Stosownie do zalecenia Buszmena posuwano się naprzód bardzo przezornie, z gotową do strzału bronią. Wszyscy mieli celować do pawiana-złodzieja, którego łatwo było rozróżnić od innych po zdobytych na Palandrze łachmanach.

Palander był w dziwnym usposobieniu: zamyślenie, flegma i zwykła nieprzytomność opuściły go. Rozjuszony, zapalony, darł naprzód i Mokum zadawał sobie niemało trudów, aby powstrzymać jego zapał i nie dopuścić, żeby popełnił jaką niedorzeczność. Nic dziwnego, dla samego astronoma odzyskanie rejestrów było kwestią życia lub śmierci.

Myśliwi otaczali stanowisko pawianów rozległym kregiem. Po dwudziestominutowym pochodzie Buszmen uznał, że można już się zwrócić i ścieśniając coraz bardziej koło, osaczyć małpy. Szli więc na powrót w odległości o dziesięć do piętnastu kroków jeden od drugiego, zachowując jak najgłębsze milczenie, unikając zdeptania suchej gałęzi i wszelkiego szelestu, aby nie zwrócić uwagi zwierząt. Zdawało się, że to oddział północnoamerykańskich Indian tropiących wroga.

Nagle na skinienie Mokuma zatrzymali się wszyscy z bronią na oku, z palcem na cynglu.

Stado pawianów ukazało się. Zdawało się, że coś ich niepokoi. Stały na czatach. Stary wielki samiec, ów rabuś rejestrów, dawał niedwuznaczne oznaki obawy. Palander poznał go natychmiast, małpa jednak nie miała przy sobie najmniejszego skrawka papieru.

— Ha łotr! rabuś! — mruknął uczony, zaledwie powstrzymując się.

Wielka małpa, przelękniona i niespokojna, dawała jakieś znaki towarzysom. Samice, zarzuciwszy młode na plecy, zbiły się w gromadkę, samce krążyły około nich z niepokojem.

Strzelcy podsuwali się coraz bliżej. Każdy z nich brał na cel dużego pawiana, oczekując dogodnej chwili do strzału. Wtem skutkiem mimowolnego poruszenia strzelba Palandra wypaliła.

— Przekleństwo! — krzyknął sir John, dając ognia ze sztucera. Odpowiedziało mu kilka strzałów, trzy małpy padły trupem, reszta szalonymi skokami, jakby na skrzydłach, przesadziła przez głowy myśliwych.

Jeden tylko pawian, zamiast uciekać wraz z innymi, podskoczył ku ogromnej sykomorze. Ze zrećnością akrobaty wdarł się na jej pień i zniknął w gęstwinie konarów. Był to właśnie sprawca kradzieży.

— Tam są skradzione rejestry! — zawołał Mokum i nie mylił się.

Zachodziła obawa, ażeby pawian nie uszedł, przeskakując z gałęzi na gałąź, lecz Mokum, celując z zimną krwią, dał ognia. Raniona w nogę małpa obsuwała się z gałęzi na gałąź, trzymając w ręce papiery wydobyte z dziupli drzewa.

Palander, dostrzegłszy je, rzucił się z wściekłością na pawiana i powstała walka — ale jaka walka!

Wściekłość ogarnęła matematyka. Na wycia małpy odpowiedział rykiem gniewu. Wzniosły się wrzaski rozdzierające. Nie można było wśród zapasów rozpoznać uczonego od małpy, nie można było strzelać do pawiana, z obawy ubicia matematyka.

— Strzelajcie, strzelajcie do obydwóch! — krzyczał Mateusz Strux. — Pal diabli tego safandulę — i byłby niezawodnie sam wypalił, gdyby nie to, że broń miał rozładowaną.

Walka toczyła się bez przerwy. Raz Palander był na wierzchu, drugi raz pawian. Matematyk starał się zdusić małpę, ta mu pazurami rozdzierała plecy, nie mogąc zębami dosięgnąć, aż wreszcie Buszmen, upatrzwszy stosowną chwilę, jednym uderzeniem siekiery rozplątał jej łeb.

Palander omdlał. Towarzysze cucili go i zaledwie z trudem wydobyli z zaciśniętych konwulsyjnie rąk rejestry, które cisnął do piersi.

Ubite małpy zabrano do obozu. Złodziej rejestrów dostarczył bardzo smacznej pieczeni, którą astronomowie, być może, że przez uczucie zemsty, spożyli z wielkim smakiem.

### XXIII. WODOSPADY ZAMBEZI

Rany Palandra nie były ciężkie. Buszmen, wielki znawca uzdrawiających własności roślin południowoafrykańskich, obkładał mu plecy papką ze świeżych ziół z tak pomyślnym skutkiem, że matematyk mógł wyruszyć w dalszy pochód. Odniesione nad pawianem zwycięstwo dodawało mu sił. Przez pięć dni był człowiekiem dorzecznym i rozsądnym, lecz z wolna zaczął znów zapadać w roztargnienie i często zamiast odpowiedzieć na zadane pytanie, wymieniał szybko jakąś cyfrę logarytmową lub paralaksę którejś z gwiazd stałych. Na usilne prośby pozwolono mu zatrzymać jeden z rejestrów, ale drugi powierzono Williamowi Emery'emu z obawy, aby Palander nie wpadł znów w jaką awanturę i obydwóch nie stracił.

Prace szły szybko i dobrze. Chodziło już tylko o wynalezienie dogodnego miejsca, a mianowicie obszernej równiny, dobrze zniwelowanej, na której można by wymierzyć drugą podstawę.

Dnia 1 kwietnia wyprawa natrafiła na ogromne bagna, których przebycie opóźniło pochód. Za nimi znów napotkano liczne stawy, których woda mocno trąciła siarką. Naczelnik wyprawy, chcąc jak najprędzej wyprowadzić ją z tych niezdrowych okolic, nadał trójkątom znacznie większe rozmiary.

Pomimo tych przeszkód usposobienie i zdrowie wszystkich było wyborne. William Emery i Michał Zorn cieszyli się bardzo, że naczelnicy ich żyli w tak dobrym jak nigdy porozumieniu. Zdawało się, że zapomnieli o zajściach międzynarodowych.

— Mój drogi — mówił Zorn do Williama — zdaje mi się, że po powrocie do Europy zastaniemy zawarty pokój, a więc będziemy mogli pozostać nadal przyjaciółmi, tak jak jesteśmy tu w Afryce.

— I ja także podzielam twe nadzieje. Wojny dzisiejsze trwają krótko, po paru bitwach zawiera się pokój. Wojna trwa już od roku, a więc niezawodnie, powróciwszy do Europy, zastaniemy ją skończoną.

— Ale nie masz zamiaru wracać zaraz do Capetown? Wszak tamtejsze obserwatorium nie potrzebuje cię tak nagle i może przejedziesz się do Europy, a przy sposobności odwiedzisz mnie i obejrzysz nasze obserwatorium.

— Z największą chęcią, pod warunkiem jednak, że postarasz się potem o urlop i odwiedzisz mnie w Capetown. Pokażę ci południowy firmament aż ku samemu biegunowi. Co to za śliczne konstelacje, jakie niebo piękne; mam właśnie sprawdzić paralaksę gwiazdy  $\theta$  Krzyża Południa, będziemy ją razem mierzyć. Nie rozpocznę tej pracy bez ciebie.

— A więc słowo?

— Słowo! Ale ty mi znowu pokażesz twoją mgławicę, o której twój czytałem wyborny artykuł zeszłego roku.

Pocziwi chłopcy rozporządzali gwiazdami jakby swoją własnością. Czyżby by jednak one były, jeżeli nie pracowitych uczonych, którzy poświęcają całe życie badaniu tych niezgłębionych przestrzeni?

— Do spełnienia jednak naszych życzeń — mówił William — trzeba przede wszystkim zakończenia wojny. Zdaje mi się, że prędzej nastąpi zgoda między państwami, aniżeli zawarcie szczerego pokoju między Everestem a Struksem.

— Nie wierzysz więc w szczerą ich pojednanie, po tylu wspólnie przebytych pracach i niebezpieczeństwach? — zapytał Zorn.

— Nie przysięgłbym za nią, mój kochany. Niczym współzawodnictwo narodów wobec współzawodnictwa uczonych, i to jeszcze ciężko uczonych ludzi.

— Ponieważ jednak my nie dostąpiliśmy jeszcze tego stopnia uczoneści, możemy więc pozostać szczerymi przyjaciółmi.

— Zostaniemy i będziemy się kochać zawsze — odrzekł William, ściskając serdecznie przyjaciela.

W jedenaście dni po stoczeniu walki z pawianami wyprawa dosięgła równiny rozciągającej się na kilka mil kwadratowych, a leżącej w pobliżu wodospadów Zambezi. Grunt nadawał się wybornie do zamierzonej operacji. W pobliżu znajdowała się wioska, z kilkunastu zaledwie chat złożona, zamieszkała przez plemię łagodne i spokojne. Przyjęło ono bardzo gościnnie Europejczyków, co było dla nich wielkim szczęściem, gdyż pozbawieni wozów, namiotów, bagaży z trudnością mogliby się tutaj urządzić na dłuższy pobyt. Pomiar podstawy wymagał co najmniej miesiąca czasu, a koczowanie pod gołym niebem, choćby nawet pod konarami drzew lub w szałasach gałęzi, przedstawiało bardzo smutną perspektywę.

Komisja naukowa zakwaterowała się więc w chatach krajowców wyprzątniętych na ich przyjęcie. Uczni umieli bardzo dobrze przestawać na małym i byli bardzo zadowoleni. Chodziło jeszcze o jedną rzecz, o sprawdzenie poprzednich pomiarów, to jest o zmierzenie jednego boku ostatniego trójkąta z jak największą ścisłością, którą jedynie otrzymać była można przez pomierzenie nowej podstawy na gruncie. W samej rzeczy po obliczeniu bok ten miał już matematycznie wyliczoną wartość. Im więc bardziej zbliżałaby się ta wartość do wartości otrzymanej z pomierzenia platynowymi sztabkami na gruncie, tym można by za doskonalszy uważać pomiar południka.

Astronomowie zajęli się pomiarem bezpośrednim. Ustawiono jak poprzednio podstawki, pokładzono na nich drewniane listwy, a sztabki platynowe na tym doskonałym poziomie. Mierzący zachowywali przy tym drobiazgową ostrożność jak przy pierwszym pomiarze, z uwzględnieniem wszelkich wpływów atmosferycznych, zmian termometru, staraniem się o jak najdoskonalszy poziom. Słowem, przy ostatnim pomiarze nie zaniedbali niczego, aby jak najsumiennie dokonać pracy mającej rozstrzygnąć o całym przedsięwzięciu.

Pięć tygodni zajęła ta praca i dopiero w dniu 10 maja ukończono ją. Otrzymane rezultaty zapisywali Palander i Emery.

Im bardziej zbliżał się pomiar do końca, tym większy niepokój ogarniał członków komisji. Jakżeż sówicie byliby wynagrodzeni za swoje trudy, gdyby sprawdzenie pokazało, że ich dotychczasowe prace były dokładne i że wywiązali się dobrze z trudnego zadania.

Po otrzymaniu długości pomiaru i zredukowaniu go do poziomu morza i do ciepłoty  $+16^{\circ}$  termometru stustopniowego, Mikołaj Palander i William Emery przedstawili komisji następujące liczby:

Długość zmierzonej obecnie podstawy wynosi — 5.075,25 sążnia

Długość teje podstawy z obliczenia według pierwszej podstawy i całej sieci trójkątów — 5.075,11 sążnia

Różnica pomiędzy obliczeniem i pomiarem — 0,14 sążnia

a zatem tylko czternaście setnych sążnia, to jest mniej niż dziesięć cali, a jedna podstawa była odległa od drugiej o sześćset mil angielskich.

Gdy wykonywano pomiar południka francuskiego pomiędzy Dunkierką a Perpignan, różnica pomiędzy podstawą w Melun a w Perpignan wynosiła jedenaście cali. Zgodność liczb otrzymanych przez komisję afrykańską była jeszcze znakomitsza, a trzeba zauważyć, że się odbywała w bardzo trudnych warunkach, w pustyniach afrykańskich, pośród niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju, co też tym bardziej podnosiło jej wartość.

Potrójny okrzyk zabrzmiał na cześć tego pomiaru, jednego z najdokładniejszych w dziejach nauki.

Jakaż więc była wartość południka w tej części kuli ziemskiej? Według ścisłego matematycznego obliczenia Mikołaj Palander oznajmił, że stopień południka zmierzzonego przez połączonych uczonych, wyniósł 57.037 toazów (*toise*), czyli sążni francuskich.

W roku 1752 uczonej Francuz Lacaille wykonał pomiar na Przylądku Dobrej Nadziei i obliczył, że długość jednego stopnia południka wynosi w tej części kuli ziemskiej 57.036 sążni francuskich, a więc pomimo przeszło stu lat, jakie minęły między jednym a drugim pomiarem, różnica wynosiła zaledwie jeden sążeń, a wyniki otrzymane z dwu pomiarów

były do siebie bardzo zbliżone.

Co do oznaczenia wartości metra, postanowiono wstrzymać się do nowego pomiaru, jaki zamierzano zrobić w przyszłości na półkuli północnej. Wartość metra powinna równać się jednej dziesięciomilionowej części ćwierci południka ziemskiego. Według poprzednich obliczeń spłaszczenie ziemi przy biegunach wynosi jedną dwieście dziewięćdziesiątą dziewiątą średnicy równikowej, czyli że oś zenitu jest krótsza o jedną dwieście dziewięćdziesiątą dziewiątą część od osi równikowej, że więc *metr* równa się 0,513108 sążnia francuskiego. Czy liczba ta jest ścisła, wykażą to kiedyś dalsze pomiary, jakie mają przedsięwziąć nasi astronomowie.

Prace geodezyjne ukończono. Uczni spełnili swe zadanie. Należało wracać do Europy rzeką Zambezi, płynącą w kierunku odwrotnym do drogi, jaką miał przebyć Livingstone w swojej nowej podróży, w latach 1858–1864. Podróżni puścili się w drogę i po przebyciu krainy przetrniętej licznymi potokami dostali się do wodospadów Zambezi, którym nadano nazwę Wodospadów Wiktorii<sup>87</sup>.

Wspaniale to igrzysko przyrody zasługuje ze wszech miar na podziw. Wody Zambezi, toczące się na milę angielską szeroko, rzucają się nagle, z wysokości dwakroć wyższej niż wodospad Niagary, w czarną bazaltową przepaść. Z jej głębi wydobywa się przerażający huk, jakby spotężnione gromy niebieskie straszliwym grzmotem rozdzierały powietrze. Ponad wodospadem, w tumanach mgły kroplistej, drży w blaskach słonecznych precudna podwójna tęcza. Przerazenie i zachwyty ognia widza napawającego się tym czarownym widokiem.

Poniżej wodospadu, na gładkim już zwierciadle wód, kołysała się szalupa parowa, która przybyła tutaj przed dwoma tygodniami jednym z dopływów Zambezi. Wszyscy się znaleźli tutaj i wszyscy wsiedli na statek.

Nie wszyscy jednak. Na brzegu pozostali Mokum i Numbo.

Mokum był więcej aniżeli przewodnikiem — był on przyjacielem Anglików, szczególnie z sir Johnem Murrayem pokochali się serdecznie. Wspólne całoroczne pożyte, wspólne niebezpieczeństwa i wspólna obu namiętność myśliwska połączyła ich silnym węzłem. Sir John namawiał Buszmena, ażeby popłynął z nim do Szkocji, ofiarując mu gościnność, choćby na całe życie, ale Mokum nie był wolny. Przyjął zobowiązanie, że będzie towarzyszył Livingstone'owi w nowej wyprawie, którą ten odważny wędrowiec zamierzał wkrótce rozpocząć, puszczając się w górę Zambezi. Mokum, wierny danemu przyrzeczeniu, nie mógł go złamać.

Strzelec został dobrze wynagrodzony, lecz przyjemność sprawiły mu nie tyle pieniądze, ile upominki w broni i amunicji, a co więcej, ile serdeczne uściski, jakimi żegnali go Europejczycy. Szalupa pościła się z nurtem wód rzeki, wydostała się na środek koryta, a sir John stał na tyle statku, powiewając to chustką, to kapeluszem, to wreszcie wystrzałami żegnając swojego przyjaciela Mokuma, dopóki nie zginął mu z oczu.

Mały parowiec szybko przerzynał fale Zambezi. Po obu brzegach leżały liczne osady krajowców, którzy wybiegali z chat i z zabobonnym przestachem przypatrywali się dymiącemu potworowi, pierwszy raz widzianemu w tych stronach. Nikt nie śmiał nie tylko zaczepiać, ale nawet okazywać nieprzyjaźni płynącym, obawiając się ich gniewu.

W dniu 15 czerwca statek zawinął do portu Kilimani, miasta na wybrzeżach Mozambiku, leżącego przy ujściu jednego z największych ramion Zambezi, w dziesięć miesięcy po opuszczeniu Kolobengu, w którym odebrali ostatnie wiadomości z Europy.

Pułkownik Everest natychmiast po wylądowaniu złożył wizytę konsulowi angielskiemu dla zasięgnięcia wiadomości, co się dzieje w świecie. Nowiny nie były pomyślne, wojna ciągnęła się jeszcze z całym wysiłkiem obu stron wojujących.

Wiadomość ta zrobiła przykre wrażenie na Europejczykach, tak ściśle z sobą połączonych interesem naukowym. Nie mówili nic o wojnie, lecz wybierali się w drogę do Europy.

Statek kupiecki austriacki „Santa Lucia” miał odpłynąć do Suez. Komisja naukowa postanowiła na nim odbyć żeglugę.

<sup>87</sup>nadano nazwę Wodospadów Wiktorii — nazwę tę nadał im Livingstone, który 17 listopada 1855 dotarł do niech jako pierwszy Europejczyk. [przypis edytorski]

W dniu 18 czerwca, w chwili wsiadania, pułkownik Eyerest, zgromadziwszy swych towarzyszy, ze zwykłym spokojem przemówił do nich w te słowa:

— Panowie! Po osiemnastomiesięcznym wspólnym pożyciu, po wspólnym przejściu i zwyciężeniu różnych niebezpieczeństw dokonaliśmy trudnego dzieła, któremu uczona Europa przykłaśnie. Życie to i praca powinny związać nas dozonną przyjaźnią.

Mateusz Strux skłonił się pułkownikowi, nic nie odpowiadając.

— Dopóki jednak wojna się nie ukończy — mówił dalej pułkownik — musimy trzymać się z daleka, jako należący do państw z sobą wojujących. Płyniemy na jednym statku, lecz gdy prace dalsze nas obecnie nie łączą, uważajmy się za płynących na dwóch odrębnych okrętach i unikajmy się wzajem.

— Toż samo miałem zaproponować pułkownikowi — odrzekł zimno Mateusz Strux.

Położenie wzajemne zostało więc jasno określone. Członkowie komisji płynęli na jednym parowcu, lecz nie widywali się z sobą, pędząc dnie i jedząc osobno.

W kilkanaście dni potem „Santa Lucia” zarzuciła kotwicę w porcie Suez. Astronomowie wysiedli z osobna, nie widząc się. Tylko William Emery zaczął się poza masztem, a gdy Zorn koło niego przechodził, zatrzymał go, uściśnął za rękę i rzekł:

— Ale my zawsze pozostajemy przyjaciółmi, pomimo toczącej się wojny!

— Zawsze! Zaczekaj tylko, niech się raz skończy, a wówczas zrobimy wspólną wyprawę na konstelację Krzyża Południowego.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/przygody-trzech-rosjan-i-trzech-anglikow-w-poludniowej-afryce>

Tekst opracowany na podstawie: Juliusz Verne, *Przygody Trzech Rosyan i trzech Anglików w południowej Afryce*, tłum. Ał. L. Anczyc, wyd. drugie, nakł. Księgarni Ferdynanda Hoesicka, Warszawa 1883.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Katarzyna Czech, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: William Warby@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1008-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).